

WOLNA
SOBOTA

MON zbroi armię na kredyt
– raport • Orkowie spod
Woroneża • Przystojniak
Brad Pitt • Wit Szostak:
Moim miejscem są moi bliscy



WYSOKIE OBCASY
Tatiana Okupnik
Mama idzie w długą
Anja Franczak
mistrzyni ceremonii
pogrzebowych



**DUŻY
FORMAT**
Dziś
wydanie
specjalne



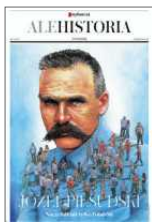
GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



GENERAL
**WAŁERIJ
ZAŁUŻNY**
pierwszy ataman Ukrainy

FOT. UKRAINIAN PRESIDENTIAL PRESS SER./REUTERS / FORUM

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Naczelnik nie tylko
Polaków**
Piłsudski w 1920 r. mówił
do przywódców Zachodu to,
co dziś mówi Zelenski



**Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend**

Bartosz T.
Wielński

Kabaret prezes Manowskiej

Siedem razy w prawo, siedem razy w lewo. Cała Polska oglądała, jak Małgorzata Manowska, pierwsza prezes Sądu Najwyższego (z nadania PiS), losowała skład Izby Odpowiedzialności Zawodowej SN, która będzie sędzić sędziów, prokuratorów, adwokatów. Widok nieostrego obrazu pierwszej prezes wkładającej do niebieskich kulek kartki z nazwiskami sędziów i tzw. neosędziów, a potem mieszającej kulki w szklanej urnie – zgodnie z instrukcją: siedem razy w prawo i siedem w lewo – to obraz upadku polskich instytucji publicznych pod rządami PiS. Z Sądu Najwyższego zrobiono kabaret.

Mieszanie Manowskiej siedem razy w prawo i siedem razy w lewo było psu na budę. Utworzona w miejsce osławionej Izby Dyscyplinarnej, sądu specjalnego na niepokornych sędziów, Izba Odpowiedzialności Zawodowej SN jest ciałem równie niepraworządnym jak poprzedniczka. Jeśli nie jeszcze bardziej – zważywszy na to, że jej członków ma powoływać prezydent Andrzej

Duda, do czego nie ma konstytucyjnego umocowania. Skompletowanie składu tego tworu nie odblokuje 36 mld euro przyznanych Polsce w ramach KPO.

Mieszanie kulek przez Manowską przypomina wydarzenia z października 2018 r., gdy Jaro-

śław Kaczyński w otoczeniu paladynów wbijał na plaży na Mierzei Wiślanej symboliczny słupek, który miał być zaczynem przekopu. Słupek zabrano po kilku dniach morze, ale przekop powstał za 2 mld zł. Miał być oknem na świat dla Elbląga, przez które do tamtejszego portu miały wpływać oceaniczne statki z towarami i polskie okręty wojenne. Ostatecznie skorzystają z niego tylko żagłówki. Siedem w lewo, siedem w prawo. Inwestycja psu na budę. Tak jak uroczyste oddanie do użycia stępka pod polskie promy, którą trawi rdza. Jak potężne pylony elektrowni węglowej w Ostrołęce, które rozebrano.

Ale rządy PiS to nie tylko rytuały wokół nietrafionych inwestycji i puste obietnice (widzieliście gdzie zapowiadane tysiące samochodów elektrycznych, szwalnie czy mieszkania dla młodych?), ale przede wszystkim niszczenie tego, co działało: najpierw stadniny koni w Janowie, potem polskiej dyplomacji, mediów, instytucji kultury i nauki. Wszędzie PiS wysłał odpowiednich ludzi, którzy gdy trzeba, nie zawahają się włożyć przed kamerą ręki do słoika i mieszać siedem razy w prawo, siedem w lewo. ●

Andrzej rysuje



Sankt Petersburg Wyścig na Mojce



FOT. DMITRI LOVETSKY/AP

Uczestnicy zawodów na deskach z wiosłami (stand up paddle) przygotowują się do spływu rzeką Mojka, przepływającą przez centrum miasta. Impreza jest częścią corocznego, organizowanego w sierpniu festiwalu kostiumowego Fontanka.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://wyborcza.pl/zdjecia)

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco przez
cały weekend

JHW22WW

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

Koniec ery rosomaków



FOT. JAGNIESZKA SADOWSKA

Wygasa umowa na produkcję w Polsce transporterów opancerzonych Rosomak, które sprawdziły się w Afganistanie. Okazały się odporne na miny i ładunki wybuchowe. Nowe transportery mają pochodzić z Korei Płn. ► [Wyborcza.pl](https://wyborcza.pl)

Katarzyna Wappa Nominacja za prawdę

Nauczycielka z Hajnówki, tłumaczka, lokalna aktywistka i obrończyni praw uchodźców, ofiar push-backów na Białoruś, jest jedną z kandydatek do Medalu Wolności Słowa. Po raz drugi zostaną wręczone 30 sierpnia w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku.

Zgodnie z regulaminem wyróżnienie mogą otrzymać osoby angażujące się w działalność na rzecz dobra wspólnego, w tym obywatelską, społeczną, kulturalną, artystyczną, naukową, dziennikarską i publicystyczną. Wydarzenie jest organizowane „w trosce o promowanie mądrych słów w przestrzeni społecznej oraz wybitnych osób je głoszących, dojrzałą debatę publiczną oraz utrzymanie wolności słowa w Polsce”.

Katarzyna Wappa jesienią ubiegłego roku była bohaterką reportażu w TVN, gdy opowiedziała, jak pomaga migrantom. Po reportażu na stronie TVP Info pojawił się materiał „Bohaterka reportażu TVN: Wybieram narodowość białoruską, jesteśmy obecni w tym kraju”. Publikacja ta przyczyniła się do hejtu skierowanego



FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

przeciwko Wappie z powodu jej przynależności narodowej, sugerowano nawet jej powiązania z reżimem Aleksandra Łukaszenki. Przeciw tej manipulacji zaprotestowały organizacje mniejszości białoruskiej.

Wappa dotąd sprzeciwiła się m.in. marszom ku czci Romualda Rajsa („Burego”) organizowanym przez nacjonalistów w Hajnówce. Współorganizowała spotkania upamiętniające 79 niewinnych ofiar narodowości białoruskiej wyznania prawosławnego, którzy zginęli z rąk żołnierzy „Burego”. ●

Maciej Chołódowski

We wtorek w „Wyborczej”

Dodatek specjalny

Emerytury 2022-23

- Jaka będzie przyszłoroczna waloryzacja?
- O ile wzrosną świadczenia i dodatki?
- Na jakie wypłaty można liczyć jeszcze w tym roku?
- Dezubekizacja – czy można jeszcze odzyskać świadczenie?
- Kiedy przeliczyć emeryturę?



Mój Biznes

Likwidować czy zawiesić firmę?

Prowadzenie działalności gospodarczej wiąże się z określonymi obowiązkami. Kiedy przedsiębiorca może lub powinien zlikwidować firmę i o czym musi pamiętać?

W przyszłym tygodniu
Zobaczymy, usłyszymy, poznamy

Sobota

Lewandowski
w La Liga

1 Sezon rozpoczyna Barcelona, klub, któremu polscy kibice będą się w tym sezonie przyglądali z jeszcze większym zainteresowaniem. Jego piłkarzem został Robert Lewandowski, najlepszy polski piłkarz w dziejach i gwiazda światowego formatu. Barcelona w sobotę o godz. 21 zagra z Rayo Vallecano, klubem z przedmieść Madrytu. Czy początek przygody z hiszpańską La Liga polski napastnik uczci golem?



FOT. JOAN MONFORT/AP, KAMILA KOTUSZ, PATRYK OGÓRZĄŁEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Poniedziałek

Defilady
nie będą

2 15 sierpnia – Święto Wojska Polskiego. Kulminacja obchodów w południe przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie, gdzie odbędzie się uroczysta odprawa wart, a Andrzej Duda wręczy 11 nominacji generalskich. Będą wojskowe pikniki i koncerty, nie zaplanowano natomiast defilady. Po raz ostatni odbyła się w 2019 r. w Katowicach, ostatnio dwukrotnie odwoływano ją z powodu epidemii.



Sobota

Głośno
nad Wisłokiem

3 Rzeszów Festival ma się stać nową wizytówką Rzeszowa. 20-21 sierpnia na rzeszowskich Bulwarach nad Wisłokiem wystąpią Pezet, Zdechły Osa, Mrozu, Natalia Przybysz, Fisz Emade Tworzywo, Ig, Szczyl, Brodka, Organek, Margaret, Baranowski, Arek Kłusowski. To gwiazdy sceny Live. Na scenie Tanecznej swoje muzyczne wybory zaprezentują dyrektorzy artystyczni – Novika i Baasch – oraz kolejni zaproszeni przez nich twórcy.



Cytat dnia

*Liczenie na to, że na życzenie
KE zafundujemy Polakom
chaos i destrukcję wymiaru
sprawiedliwości, to jest ponad to,
na co moglibyśmy się zgodzić*



ELŻBIETA RAFALSKA
europostanka PiS

Tak skwitowała uwagę,
że od miesięcy jedynym warunkiem odblokowania pieniędzy z KPO
było przywrócenie do pracy szykanowanych sędziów

Polska 1920, Ukraina 2022

Tylko razem się nie damy!

Wojna w Ukrainie to także szansa dla Polaków, by przestały już nimi rządzić „dwie trumny”
– Dmowskiego i Piłsudskiego

Czech

Analogie nasuwają się same, bo historia jakby stanęła w miejscu. Podobnie jak w 1920 roku Polska i Ukraina są razem, choć Wojsko Polskie nie stoi w Kijowie. A Ukraińcy dobrze sobie radzą na polu walki. Najeżdźca jest ten sam, choć obecna Rosja wini Lenina za wspieranie „separatyzmu ukraińskiego” i cesje na jego rzecz z „czysto rosyjskich ziem”.

W 1920 r. państwo polskie obroniło niepodległość i powstrzymało marsz bolszewickiej Rosji na Zachód. Nie udało się utrzymać niepodległości Ukrainy, lecz zwycięstwo w Bitwie Warszawskiej pozwoliło okrzepnąć Polsce. Na bezcennych 19 lat.

Stawka w rozpoczętej 24 lutego br. inwazji rosyjskiej przeciwko Ukrainie jest równie wysoka, a może nawet wyższa. Cel Rosji „na dziś” to zniszczenie państwa i narodu ukraińskiego jako wstęp do rozbicia NATO i Unii Europejskiej. Cel dalekosiężny to położenie – wspólnie z Chinami – kresu „dominacji Zachodu”.

W 1920 r. Ukraina miała kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa Polski. Wbrew propagandzie sowieckiej i endeckiej wyprawa kijowska nie była przejawem idée fixe Józefa Piłsudskiego – utworzenia związku federacyjnego Polski, Litwy, Białorusi i Ukrainy. Dokumenty świadczą, że na początku 1920 roku Lenin zalecił uderzenie na Polskę jako wstęp do „zwycięskiego pochodu światowej rewolucji proletariackiej”. Sojusz wojskowy, który w kwietniu 1920 roku zawarli Józef Piłsudski i Symon Petlura (przywódca Ukraińskiej Republiki Ludowej), miał na celu zażegnanie tego niebezpieczeństwa.

Sojusz okazał się epizodem, bo w marcu 1921 roku Polska zawarła pokój z bolszewicką Rosją, który oznaczał rosyjsko-polski podział Ukrainy. Piłsudski powiedział internowanemu oficerom URL: „Ja was przepraszam, panowie. Ja was bardzo przepraszam. Tak nie miało być”. Bo gdyby sojusz osiągnął zakładane cele, to mógł zmienić bieg dziejów. Niemcom (weimarskim i III Rzeszy) oraz Sowietom trudno byłoby pokonać połączone siły polsko-ukraińskie.

Dziś Ukraina ma szansę, by obronić niepodległość, wyzwolić terytoria okupowane i stać się członkiem UE. To cele realistyczne dzięki heroizmowi i profesjonalizmowi armii, mobilizacji społeczeństwa i jego wierze w zwycięstwo oraz jednoci sił politycznych. A także pomocy USA, UE i pozostałych państw demokratycznych.

W przeciwieństwie do sytuacji z 1920 roku, demokratycznej opinii publicznej nie trzeba tłumaczyć, o co chodzi w tej wojnie – że chodzi o przyszłość Europy i pierwsze zbrojne stracie pomiędzy autokracją a demokracją w XXI w. I że od jego wyniku zależy przyszłość świata.

„Pomagać będziemy tyle, ile trzeba. I tak żeby Ukraina wygrała” – formuła używana przez polityków zachodnich daje nadzieję. Podobnie jak podkreślanie przez nich, że to Ukraińcy zdecydują, co będzie dla nich zwycięstwem i na jakich warunkach podpiszą pokój z Rosją.

Europeizacja (a właściwie globalizacja) wojny w Ukrainie przecina wiele polskich „przeklętych problemów”. Jak ten o „dwóch trumnach” (Piłsudskiego i Dmowskiego), które rządzą Polską, a o czym w latach 90. z pasją mówił Jerzy Giedroyc. Rządzić prze-



• 8 maja 2022 r., marsz antywojenny pod ambasadą Rosji

stały, choć – o paradoksie! – Rosja bardzo się stara, by Polacy nie opuścili zakłętego historycznego kręgu.

Juliusz Mieroszewski w 1974 r. pisał w „Kulturze”, że Rosja – jakkolwiek „biała” i „czerwona” – postrzega Polskę jako imperialnego konkurenta na obszarze Ukrainy, Litwy i Białorusi. Tymczasem „Ukraińcy, Litwini i Białorusini w dwudziestym wieku nie mogą być pionkami w historycznej grze polsko-rosyjskiej”.

Polska powinna opowiadać się za ich samostanowieniem i wolnością oraz wyrzec się jakichkolwiek planów imperialistycznych. W tym „ułożenia się z Moskwą ponad głowami i kosztem owych narodów”. I dodał, że „tak pojęty program mógłby przywrócić polskiej polityce niepodległościowej wysoki motyw moralny”.

Moralny motyw przejawiał się w Wilnie w 1991 r. podczas obrony wieży telewizyjnej, na ukraińskim Majdanie w 2004 r. i latach 2013-14, podczas białoruskiej rewolucji w 2020 r. i po 24 lutego br. w bezpre-

cedensowej pomocy milionom ukraińskich uchodźców. Za każdym razem odradzał się duch pierwszej „Solidarności” oraz impuls z jej posłania do narodów Europy Środkowo-Wschodniej z 1981 r.

Rosja przedstawia wspieranie przez Polskę wschodnich sąsiadów jako przygotowanie do zajęcia ich ziem. Od 2009 r. strategię skorygowano – Kreml sam zaproponował Polsce „odzyskanie” Lwowa. Ofertę ponowiono w 2014 r., po aneksji Krymu i rozpętanu wojny w Donbasie. Bez odwetu.

Dziś Rosjanie oskarżają Polskę o chęć zajęcia Ukrainy Zachodniej. Cel to zasianie ziarna niezgody między Polakami i Ukraińcami, osłabienie zachodniej koalicji oraz danie pretekstu do napaści armii białoruskiej na Ukrainę. Zarazem to zakamuflowana oferta wzięcia przez Polaków udziału w rozbiorze Ukrainy.

Nic za darmo, bo ceną za nowy traktat ryzyki będzie rozwód Polski z UE i NATO.

Dla Putina rozpad ZSRR był „największą katastrofą XX w.”, stąd chęć przekreślenia wyniku wydarzeń z lat 1989-91. Odzyskania suwerenności i niepodległości przez państwa zewnętrzne i wewnętrzne imperium oraz ich integracja z UE i NATO.

O Bitwie Warszawskiej oraz sojuszu Polski i Ukrainy z 1920 roku powinniśmy pamiętać jako o ważnych wydarzeniach historycznych. Ale teraz ważniejszą i przyszłość najmädrzej budować na dziejach późniejszych, z drugiej połowy XX i początku XXI wieku, bo to powód do polskiej chwały i prawdziwej wielkości oraz trwałego uśmierzenia „rosyjskiego kompleksu polskiego”. ● **Mirosław Czech**

ARMIA NA KREDYT

Po wybuchu wojny w Ukrainie Mariusz Błaszczak ogłasza kolejne gigantyczne zakupy dla armii.
– Chaotyczne, nieskoordynowane i nietransparentne – ocenia je nie tylko opozycja

MARCIN SZTANDERA

Potrzeby dobrojenia Wojska Polskiego po ataku Rosji na Ukrainę nikt nie kwestionuje, szczególnie po przekazaniu obrońcom części uzbrojenia, ale chyba tylko nieliczni spodziewali się zapowiedzi aż tak dużych zakupów jak dokonanych w Korei. Szczególnie że lista wcześniejszych też jest długa.

ABRAMSY ZA MILIARDY

Już ponad rok temu zapowiedziano zakup 250 amerykańskich czołgów Abrams w najnowszej wersji M1A2 SEPv3 w ramach „pilnej potrzeby operacyjnej”. Decyzja zapadła po ćwiczeniach „Zima 2020”, gdy okazało się, że Polska w wirtualnym starciu z Rosją i Białorusią przegrywa w ciągu kilku dni. Zamówienie abramsów było niespodzianką, bo zakup nowych czołgów planowano na lata 2028-30.

Abrams jest przez ekspertów chwalony, choć nie jest bez wad. Jest m.in. cięższy od już używanych czołgów i zbudowany w systemie calowym, inaczej niż reszta używanych w Polsce wozów, co komplikuje logistykę.

– Uważam, że to jeden z najlepszych, o ile nie najlepszy czołg na świecie – mówił gen. Mieczysław Gocuł, były szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w latach 2013-17 i pancerniak.

Kontrakt na 250 abramsów, z wozami towarzyszącymi i pakietem logistycznym, podpisano w kwietniu i okrzyknięto najdroższym w historii. Jego wartość to ok. 4,75 mld dol. Dla porównania, za 32 samoloty F-35 zapłacimy 4,6 mld dol.

Abramsy mają trafić do Polski w latach 2025-26, przy czym jeszcze w tym roku amerykańska armia przerzuci 28 czołgów w starszej wersji M1A2 SEPv2 do szkolenia. Część z nich przyjechała w lipcu.

Ale to nie koniec – w połowie lipca minister Błaszczak zapowiedział zakup na preferencyjnych warunkach 116 używanych abramsów starszej wersji M1A1 SA, które mają zastąpić czołgi przekazane Ukrainie. Wartość kontraktu nie jest znana, ale wiadomo, że trzeba będzie zapłacić za ich rozkonserwowanie i pakiet logistyczny. Polska armia ma je dostać w latach 2023-24.

Przed wojną Polska miała niemal 250 niemieckich czołgów Leopard 2, 300 T-72 na licencji sowieckiej i 232 maszyny PT-91 Twardy, czyli polskiej modernizacji tych ostatnich. Po ataku na Ukrainę przekazano jej ok. 230 T-72 oraz zaczęto niedawno przekazywać PT-91. – Przekazywanie posowieckiej techniki pancerniej było słuszne. To schodzący sprzęt, którego utrzymanie było coraz bardziej skomplikowane i kosztowne w stosunku do efektu. A jego opanowanie było dla Ukraińców łatwiejsze – ocenia Andrzej Kiński, redaktor naczelny „Wojsko i Technika”.

PRAWIE 500 HIMARS-ÓW ZA KROCIE

Kolejny kontrakt ma szansę na miano rekordowego. Chodzi o zakup amerykańskiego systemu raketowego

MI42 HIMARS, który robi furorę w Ukrainie, trafiając w cele odległe o kilkadziesiąt kilometrów. Polska o pozyskaniu wyrzutni w ramach programu Homar mówi od dawna. Siedem lat zapowiadano zakup ok. 50 wyrzutni dla trzech dywizjonów. Ale strony nie doszły do porozumienia co do zakresu polonizacji. Ostatecznie w 2019 roku zamówiono całkowicie amerykański zestaw z 20 wyrzutniami z trzema rodzajami rakiet, w tym o zasięgu do 300 km, za 414 mln dol. Ma dotrzeć do Polski w przyszłym roku.

Po wybuchu wojny znów wspomniano o co najmniej trzech dywizjonach. Tymczasem pod koniec maja MON wysłało zamówienie na aż 486 wyrzutni. Dla porównania, w latach 2008-20 wyprodukowano jedynie 414 wyrzutni HIMARS.

Eksperci wyliczają, że tak duże zamówienie będzie musiało być rozłożone nawet na kilkanaście lat, a transakcja, z zapasem rakiet, może być warta nawet 10 mld dol. W praktyce może być jednak taniej, bo list intencyjny zakłada m.in., że polskie mają być podwozie i system kierowania ogniem. Planowane jest także pozyskanie technologii produkcji wybranego pocisku raketowego.

WISŁA I NAREW PŁYNĄ SZYBCIEJ

Na rekord idą też zamówienia w dwóch kluczowych programach – obrony przeciwlotniczej i przeciwraкетowej średniego zasięgu Wisła oraz krótkiego zasięgu Narew. Oba programy, w obliczu doświadczeń ukraińskich, gdzie doskonale widać, jak potrzebna jest skuteczna obrona przeciwlotnicza, ewidentnie przyspieszyły, choć korzeniami sięgają prezydentury Bronisława Komorowskiego.

W maju Błaszczak podpisał zapytanie ofertowe w sprawie pozyskania kolejnych sześciu baterii systemu Patriot, czyli na realizację drugiej fazy programu Wisła. Umowę na realizację pierwszej fazy (obejmującej dostawę dwóch spolonizowanych baterii w 2022 roku) za 4,75 mld dol. Błaszczak podpisał w 2018 roku! A premier Mateusz Morawiecki zapowiadał dostawę patriotów w ramach drugiej fazy Wisły już w 2024 roku. Że tak się nie stanie, już wiemy. Teraz MON zapowiada, że pierwsze dwie baterie w ramach II fazy programu Wisła dostaniemy w 2026 roku, a całość – w 2028.

Takie opóźnienie to częściowo efekt problemów po stronie amerykańskiej. Strona polska zażądała, żeby główny radar widział niebo w promieniu 360 stopni, a nie 120 stopni, jak dotychczas. I Amerykanie taki radar – LTAMDS – opracowali. Ma kosztować w przeliczeniu 700 mln zł, a MON twierdzi teraz, że w ramach offsetu pozyska technologie z nim związane.

Ile ma kosztować druga faza Wisły, nie wiadomo. Marek Świerczyński, analityk z Polityki Insight, wyliczył, że to może być nawet dwa razy tyle, co pierwsza, czyli ok. 9 mld dol.

Najbardziej przyspieszył program Narew, czyli obrony przeciwlotniczej krótkiego zasięgu. Przez lata rządów PiS niewiele się działo – dopiero we wrze-



śniu ubiegłego roku MON podpisał wartą ok. 60 mld złotych – czyli wtedy rekordową – umowę ramową na realizację programu z konsorcjum polskich firm PGZ-Narew. Zapowiadano, że pierwsze strzelania bojowe z nowej broni będą możliwe w 2026 roku, ale nie wskazano najważniejszego elementu, czyli pocisku. To wyjaśniło się w styczniu, gdy wybrano rakiety CAMM produkowane przez brytyjski oddział koncernu MBDA, ale terminy nadal były dalekie.

To się diametralnie zmieniło po ataku Rosji na Ukrainę. W kwietniu Błaszczak podpisał kontrakt – nazywany też „małą Narwią” – na ekspresową dostawę, za ok. 1,5 mld zł, „dwóch jednostek ognio- wych”. Pierwszą, składającą się z trzech wyrzutni, mamy dostać we wrześniu 2022 r., a kolejną kilka miesięcy później. Zestawy nie będą osadzone na pol- skich ciężarówkach i nie będą działać na bazie pol- skich radarów Soła. Wzmocnią polską obronę po- wietrzną opierającą się teraz na systemach jeszcze radzieckich lub sprzęcie stacjonujących wojsk so- jusznicych.

MNIEJSZE KONTRAKTY
TEŻ ZA MILIARDY

Lista tańszych kontraktów jest znacznie dłuższa. To m.in. zakup za 2 mld zł polskiego systemu dronów uderzeniowych i obserwacyjnych Gladius, dodatko- wych zestawów przeciwlotniczych bardzo krótkiego zasięgu Piorun (o wartości ok. 3,5 mld zł), trzech do-

datkowych niszczycieli min Kormoran II za 2,5 mld zł (okręty będą dostarczone w latach 2026-27). Przy- spieszył też wart ok. 8 mld zł program budowy trzech fregat Miecznik w partnerstwie z brytyjską stoczną Babcock.

Na liście jest też kontrakt ramowy na dostawę niszczycieli czołgów Ottokar Brzoza (od nazwiska słynnego artylerzysty z okresu międzywojennego). Wartość tego ostatniego programu nie jest znana, chociaż pierwsze pojazdy mają być przekazane już w przyszłym roku.

Na tle tych zakupów szczególne emocje budzi wart „tylko” 8,25 mld zł kontrakt na dostawę 32 wło- skich śmigłowców AW149. Maszyny mają powstać w należącej do koncernu Leonardo Helicopters fa- bryce PZL Świdnik, a ich dostawy zaplanowano na lata 2023-29.

Warto przy tym pamiętać, że AW149 to maszyna, która przegrała kilka lat temu w przetargu ogłoszo- nym jeszcze za rządów koalicji PO-PSL. W 2015 ro- ku wybrano francuskie caracale koncernu Airbus, a rząd Ewy Kopacz wynegocjował zakup 50 takich maszyn za 13,3 mld zł. Pierwsze caracale miały tra- fić do Polski już w 2017 roku, ale po dojściu PiS do władzy umowy nie podpisano, w czym główną rolę odegrał Antoni Macierewicz. Pretekstem była – po- noć niezadowolająca – umowa offsetowa. Polska musiała zapłacić Airbusowi za zerwanie kontraktu 80 mln zł.

Dziś eksperci nieoficjalnie mówią, że AW149 to młodsza konstrukcja niż caracale i amerykańskie black hawkie produkowane w PZL Mielec. Ale rów-

• **Abramsy to według gen. Mieczysława Gocuła w tej chwili najlepsze czołgi na świecie**

FOT. SHUTTERSTOCK

nie zgodnie twierdzą, że przy zamówieniu ważne było także „uciszenie związkowców” ze Świdnika i zysk wyborczy w regionie.

KOREAŃSKIE ZAKUPY

Prawdziwy worek z zamówieniami rozwiązał się po majowej wizycie Mariusza Błaszczaka w Korei Płn. W lipcu podpisano umowy ramowe na dosta-

4,75

• miliarda dolarów zapłacimy za 250 czołgów Abrams z wozami towarzyszącymi i pakietem logi- stycznym



wę: tysiąca czołgów K2 Black Panther i jego spolonizowanej wersji rozwojowej, która ma być produkowana w Polsce, K2PL, 672 haubic samobieżnych K9A1 i jej spolonizowanej wersji rozwojowej K9PL z wozami towarzyszącymi oraz 48 samolotów FA-50 i ich spolonizowanej wersji rozwojowej FA-50PL.

Błaszczak podkreślał, że w związku z sytuacją za naszą wschodnią granicą: „My nie mamy czasu, nie możemy czekać, musimy zbroić polskie wojsko”.

Każde z tych trzech zamówień jest podzielone na dwie główne fazy. W przypadku czołgów chodzi o bardzo szybko dostawę 180 wozów w wersji K2 już od tego roku, w zamian za czołgi przekazane Ukrainie. Podobnie ma wyglądać sprawa armatohaubic – w latach 2022-23 ma być dostarczonych 48 wozów w wersji bazowej K9A1 w zamian m.in. za kraby przekazane Ukrainie.

Pierwsze samoloty FA-50, czyli praktycznie w wersji aktualnie wykorzystywanej w Korei, mają dotrzeć do Polski w przyszłym roku. Oficjalnie ma to pozwolić na przyspieszenie procesu wycofywania samolotów sowieckiej produkcji – Mig-29 i Su-22.

Wybór Korei jako dostawcy nie dziwi Andrzeja Kińskiego z „Wojska i Techniki”. – Nikt inny nie byłby w stanie dostarczyć tak szybko nowego sprzętu. Mało osób zwraca uwagę na to, że gospodarka Republiki Korei od dawna działa w warunkach wojennych i ma duże zdolności produkcyjne i eksportowe. A Polska jest dla nich istotnym odbiorcą, ponieważ będzie to ważny przyczółek w Europie i NATO – mówi ekspert.

Umowa ramowa zakłada, że do kolejnych dostaw dojdzie po dostosowaniu uzbrojenia do polskich potrzeb i rozpoczęciu – w przypadku armatohaubic i czołgów – ich produkcji w Polsce. Ma to być szansa na rozwój polskiego przemysłu zbrojeniowego, ponieważ z czasem mają być prowadzone wspólne prace nad pojazdami nowej generacji.

MON nie podał wartości zamówienia. Według szacunków koreańskich mediów to 14 mld dol. Wiele jednak wskazuje na to, że to za mało – świadczy o tym informacja, że za 180 czołgów K2 „z półki” Polska ma zapłacić 10,2 mld zł, czyli 2,2 mld dol. A przecież czołgów ma być tysiąc. Ostrożnie szacuje się, że cały kontrakt może być wart nawet 100 mld zł.

Tak gigantyczne zamówienie zaczęło budzić kontrowersje. Przede wszystkim wytknięto brak jawnego postępowania przetargowego i przejrzystego porównania ofert. Norwegia, która też planuje zakup czołgów, przeprowadziła niedawno testy porównawcze K2 i leopardów 2A7 na swoich poligonach.

KIEDY BĘDZIE TA BROŃ?

Ponad 800 czołgów K2 w wersji PL ma być dostarczanych od 2026 roku i wtedy ma rozpocząć się ich produkcja w Polsce. Tymczasem dostosowanie czołgów do polskich wymagań nie będzie tak łatwe – czołg ma być m.in. dopancerzony i konieczne będzie dołożenie dodatkowej pary kół jezdnych.

Nadal nie wiadomo też, gdzie czołgi będą montowane, mówi się, że w Zakładach Cegielskiego w Poznaniu. Nigdzie nie wymieniono za to Bumarze-Łabędy, chociaż to jedyna fabryka produkująca czołgi w Polsce.

– Powinniśmy być naturalnym kandydatem, jako jedyni mamy własny poligon, a czołgi produkujemy od 70 lat – komentuje Zdzisław Goliszewski, szef „Solidarności” w gliwickim Bumarze-Łabędy. Przypomina, że Bumar od dawna czeka na nowe zlecenie, które pozwoliłoby zakładowi odbudować kompetencje technologiczne. – Teraz jesteśmy skazani na vegetację. Możliwe, że się skończy upadkiem i sprzedają zakładu – ocenia związkowiec.

8025
8120

• miliarda złotych wynosi kontrakt na dostawę 32 włoskich śmigłowców AW149, które mają powstać w fabryce PZL Świdnik

To, że polityka informacyjna leży, do brze widać na przykładzie armatohaubic K9. Informację o ich zakupie sporo osób odebrało jako zakończenie produkcji chwalonych krabów. Pomyśl skrytykował na Twitterze nawet prezes Huty Stalowa Wola, producenta krabów, a kilka dni później złożył rezygnację.

Ministerstwo uspokajało, że koreańskie haubice zamówiono, bo Huta Stalowa Wola nie może zwiększyć produkcji. Zapowiedziano też, że obie haubice będą produkowane równolegle.

Z przedstawionego harmonogramu wynika, że dostawa kolejnych 624 koreańskich haubic nastąpi w 2024 r., a od 2026 roku będą one produkowane w Pol-

Sytuacja jeszcze skomplikowała się po wybuchu wojny, bo popyt na zbrojenia i komponenty urósł. – Na ten rok mamy zabezpieczone dostawy dla pełnej zaplanowanej produkcji piorunów [moce zwiększono do produkcji 600 zestawów rocznie], ale nad przyszłym rokiem jeszcze usilnie pracujemy – przyznaje Elżbieta Śreniawska, prezes Mesko SA.

TESTAMENT LECHA KACZYŃSKIEGO?

Kontrowersje budzi też zakup samolotu FA-50. Sytuacja jest tu podobna do zakupu śmigłowców. Wcześniejsza wersja tego samolotu T-50 była już kiedyś oferowana Polsce i przegrała z włoskim samolotem M-346. Znaczący branży półzartem mówią teraz, że zakup samolotu FA-50 to wypełnienie testamentu prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który wg relacji koreańskich mediów miał zapowiedzieć w 2008 roku: „kupimy koreańskie T-50”.

Krzysztof Płatek, rzecznik Agencji Uzbrojenia, tak tłumaczy powody wyboru FA-50, a nie kolejnych M-346: – Trzeba pamiętać, że podczas zakupu przed laty decydująca była cena. Samolot koreański (wtedy szkolny T-50) był lepszy, ale był też wyraźnie droższy. FA-50, który jest następcą i rozwinięciem tamtego samolotu, osiąga prędkość naddźwiękową, co jest wymagane dla samolotów wielozadaniowych, ma znacznie lepsze wyposażenie niż M-346, w tym radar i uzbrojenie kierowane, takie jak pociski Maverick. Strona ko-



– Nie chcę krytykować zapowiadanych zakupów. Trudno bowiem krytykować coś, co powoduje, że armia polska będzie silniejsza. Problem jednak w tym, że nie wiemy, za co to będzie kupione, a bez tej informacji nawet najbardziej ambitnych planów zakupu nie można traktować poważnie

kmdr por. MAKSYMILIAN DURA

sce, w nowej fabryce, ale nie wiadomo, gdzie powstanie. Mają to być wozy w wariantach K9PL, wyposażone w automat do ładowania, co przyspiesza szybkostrzelność. Eksperti uważają jednak, że taka armatohaubica zgodnie z planami koreańskimi miała wejść do produkcji dopiero w 2027 roku.

Wymieniają też trudności obiektywne – brak rąk do pracy – i przypominają o problemach z realizacją już trwających kontraktów. Wytykają, że Polska nadal nie jest w stanie samodzielnie produkować amunicji 155 mm, takiej jak do krabów i K9, a część jej elementów jest importowana. – Nie sztuka chwalić się, ile mamy luf, skoro nie ma czym z nich strzelać – mówi jeden z rozmówców „Wyborczej”.

414

• milionów dolarów będzie kosztował system rakietowy HIMARS z 20 wyrzutniami i trzema rodzajami rakiet, w tym o zasięgu do 300 km

reńska zapowiedziała też jego dalszy rozwój pod kątem wymagań polskich Sił Powietrznych.

Zaznacza, że docelowa wersja dla Polski, FA-50PL, wyposażenie i możliwości będzie miała jeszcze lepsze.

CZY BĘDĄ SAMOLOTY PRZEWAGI POWIETRZNEJ?

Pod uwagę nie brano w ogóle Eurofighter Typhoon, choć nie brak głosów, że to właśnie ta maszyna powinna zastąpić radzieckie konstrukcje, a nie FA-50. – Eurofighter, jako ciężki dwusilnikowy samolot bojowy, nie był rozpatrywany w tej kategorii – mówi Płatek. Przypomina za to, że coraz częściej mówi się o posiadaniu przez Polskę myśliwców przewagi powietrznej. Wspominał o tym Jarosław Kaczyński i w tym kontekście zaczęto spekulować o zakupie przez Polskę samolotów F-15EX.

Czy to oznacza, że Polska kupi samoloty przewagi powietrznej? – Oczywiście jesteśmy nadal zainteresowani konstrukcjami takimi jak F-15EX czy też kolejną transzą F-35. Przyglądamy się też KF-21 Boramae, ale w tym przypadku musi upłynąć jeszcze sporo czasu, aż konstrukcja będzie w pełni gotowa. Generalnie Agencja Uzbrojenia nie prowadzi obecnie żadnego postępowania, którego celem byłoby zakontraktowanie maszyn tej klasy, ale decyzja o ich zakupie zostanie poprzedzona analizą dostępnych ofert. Jeżeli będzie też oferta Eurofightera, trudno sobie wyobrazić, żeby jej nie brać pod uwagę – mówi Płatek.

ARMIA NA KREDYT

Jeżeli Polska zrealizuje plany zakupu czołgów, to będzie ich miała ponad 1,6 tys. (tysiąc K2/K2PL, 366 abramsów i 250 leopardów 2), czyli więcej niż Francja, Wielka Brytania i Niemcy razem wzięte.

– Nie chcę krytykować zapowiadanych zakupów konkretnych typów uzbrojenia. Trudno bowiem krytykować coś, co powoduje, że armia polska będzie silniejsza – mówi kmdr por. rez. Maksymilian Dura z portalu Defence24.pl. – Problem jednak w tym, że nie wiemy, za co to będzie kupione, a bez tej informacji nawet najbardziej ambitnych planów zakupu nie można traktować poważnie.

Dura wylicza, że obecnie roczny budżet MON to ok. 57 mld zł przy siłach zbrojnych liczących 150 tys. żołnierzy. – Przy podniesieniu wydatków na obronność do zapowiadanego poziomu 3 proc. PKB przybędzie dodatkowo 28 mld. Tymczasem tylko realizacja projektów koreańskich, zakup abramsów, samolotów F-35 i systemu obrony przeciwlotniczej ma kosztować, według ostrożnych szacunków, ponad 153 mld zł. A to wszystko dzieje się

22

• miliarda dolarów zapłacimy za partię 180 koreańskich czołgów K2, których docelowo mamy kupić 1000

w sytuacji, gdy liczebność wojska ma się zwiększyć do 300 tys. żołnierzy, więc koszty osobowe też wzrosną ponaddwukrotnie (w tym roku przeznaczono na nie 13 mld zł, a na szkolenie 9 mld zł). Dlatego oczekiwałbym jasnego sygnału, skąd mają pochodzić te pieniądze i komu je trzeba zabrać – mówi Dura.

Zgodnie z przyjętą w marcu ustawą o obronie ojczyzny dodatkowe środki na „Program rozwoju Sił Zbrojnych” mają pochodzić, oprócz budżetu państwa, ze zbycia udziałów spółek zbrojeniowych oraz z nowo utworzonego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych. Ma on być zasilany m.in. z zysku NBP, obligacji BGK oraz darowizn.

Z ujawnionego planu finansowego Funduszu na lata 2022 i 2023 wynika jednak jasno, że będzie on zasilany głównie z obligacji BGK. Przy ogólnych wpływach do Funduszu na poziomie niemal 70 mld zł z emisji obligacji, które kiedyś trzeba będzie wykupić, ma pochodzić w dwa lata niemal 55 mld zł.

Czyli armię będziemy modernizować kosztem zadłużenia.

Poprosiliśmy MON o informację, jaka będzie wartość przyspieszonych zakupów uzbrojenia w związku z wojną w Ukrainie oraz jakie będzie źródło ich finansowania. Odpowiedzi nie otrzymaliśmy. ●

Władza nam się sypie

PiS staje przed wielkim zadaniem: jak wytłumaczyć swojemu elektoratowi utratę potężnych unijnych pieniędzy w czasie kryzysu

Wronski

Miała być „maksymalna mobilizacja” PiS, ale ci, którzy mają lepszy słuch, słyszą, że w partii coś się zacięło i trzaska. Kaczyński właśnie ogłosił fiasko polityki europejskiej Mateusza Morawieckiego, która miała dać Polsce drugi plan Marshalla i niebawem możliwości rozwojowe. Po zapowiedzi rezygnacji z Krajowego Planu Odbudowy trzeba będzie szukać winnych. Premier – niosący za sobą pasmo klęsk, ośmieszony co drugi dzień mailami Dworczyka – słabnie. W kwestii KPO stracił zaufanie nie tylko w oczach UE, ale też własnej partii, którą oszukał w sprawie realizacji tzw. kamieni milowych. Podczas opisanego przez Onet „grilla zawiedzionych”, zorganizowanego na terenie MON przez działaczy PiS niechętnych premierowi, padały nazwiska polityków, którzy „muszą odejść”. Na razie Morawiecki z kamienią twarzą wypowiada propagandowe partyjne frazesy, atakując Tuska i Niemcy. Co-

ca może liczyć na mocną większość w Sejmie. Także sondaże jeszcze nie pokazują, że partia rządząca idzie pod lód. Kolejne badania nie potwierdziły sensacyjnego lipcowego sondażu Kantara, w którym PO o 1 pkt proc. przegoniła PiS (27 do 26 proc.). Inne badania wskazują, że mimo wzrostu PO Zjednoczona Prawica zachowuje bezpieczną przewagę (np. IBRiS 34,9 proc. do 27,7 proc.).

Nadchodzi jednak zima, gdy nie będą najistotniejsze wielkie geopolityczne wizje, ale zapewnienie ciepłej wody w kranie i kaloryferach.

Dość ustępstw wobec Unii – powiedział prezes podczas objazdu kraju i powtórzył w wywiadzie dla „Sieci”. Stwierdził, że trzeba zakończyć dalsze negocjacje w UE, bo ta i tak nie pozwoli nam skorzystać z pieniędzy KPO – 23 mld euro dotacji i 11,5 mld nisko oprocentowanych pożyczek. Wynegocjowanie tej kwoty było w przeszłości przedstawione jako największy sukces pre-

zekonał go w dużej części, że do katastrofy w Smoleńsku w 2010 roku doszło w wyniku wybuchu termobarycznego. Czy przekona elektorat, który głosował na PiS w przekonaniu „kradną, ale się dzielą”? Można mieć wątpliwości.

Wszystko wskazuje, że przyszłoroczne wybory będą wyjątkowo trudne dla rządzących. W Ukrainie trwa wojna spowodowana agresją Rosji. Jej końca nie widać, ale skutki mogą być długofalowe. Szaleje inflacja, ceny rosną z dnia na dzień i nie wiadomo, jaki będzie ich poziom w przyszłym roku. Ludzie tracą oszczędności, a raty kredytów rosną. Szpitale i samorządy nie mają pieniędzy, nauczyciele odchodzą z pracy. Już teraz według badania Kantara 71 proc. Polaków uważa, że sprawy idą w złym kierunku.

Co ma do zaproponowania PiS? Konflikt z UE, kolejną odsłonę wojny z sędziami i budowę wielkiej armii, na którą Kaczyński chce przeznaczyć już nie 3 proc., ale 5 proc. PKB. Wielkie inwestycje, jak Centralny Port Komunikacyjny, i dumę z inwestycji zakończonych. Nie, nie z elektrowni Ostrołęka, w której już utopiono 1,3 mld zł. Skąd na to pieniądze?

Na razie PiS odżegnuje się od 15. emerytury czy zwiększania 500 +, bo i tak wobec inflacji te pieniądze szybko nikną.

Ludzenie swojego elektoratu reparacjami od Niemiec za II wojnę światową wydaje się wątpliwe nawet dla Kaczyńskiego, który przyznał, że to zadanie na pokolenia. Teraz pojawiają się głosy o „pożyczkach z amerykańskiego banku”. Tym bardziej że prezes mówi o wielkim programie zbrojeń, które pozwolą nam samodzielnie obronić się przed Rosją.

Wyborczy problem PiS polega na tym, że niemal każda partia opozycyjna może teraz powiedzieć: zmiana władzy na mniej szaloną, proeuropejską i praworządną natychmiast uruchomi pieniądze z KPO. Tusk, Czarzasty, Hołownia, Kosiniak-Kamysz na każdym spotkaniu powtarzają: to PiS jest ugrupowaniem, które pozbawiło Polaków 160 mld zł. Pozbawiło ich szans rozwojowych i wpędziło w biedę. Tak wielkiej sumy nie da się przykryć patriotyczno-godnością w kampanię.

Na początku lipca na konwencji PO w Radomiu Tusk przypomniał, że był premierem podczas największego kryzysu ekonomicznego XXI wieku i że jego rządy kończyły się, gdy inflacja była na poziomie zero. – Oni z kwitającego, dumnego kraju Europy zrobili kraj, w którym problemem staje się chleb i ciepła woda w kranie – mówił. Tusk stał się try-

bunem biedniejących z powodu drożyzny i słabych zarobków – w dużej części klasy średniej: nauczycieli, drobnych przedsiębiorców, pracowników administracji. Nadał inflacji twarz politycznego nominała – prezesa NBP Adama Głaubińskiego, którego nietrafione prognozy i bajania na konferencji prasowej doprowadzały do rozpacz inwestorów.

Zaskoczył tym nie tylko PiS, ale i własne zaplecze polityczne, czego dowodem był poseł PO Tomasz Lenz, którego wypowiedź o zawieszeniu 14. i 15. emerytur (tej ostatniej jeszcze nie ma) wywołała gwałtowną reakcję lidera PO wraz z zapowiedzią skreślenia go z listy.

Zapewne Tusk z satysfakcją czyta teksty oskarżające go o populizm i demagogię, bo dzięki temu pozbywa się garbu zimnego liberała. Chyba z równą satysfakcją słucha wywodów Morawieckiego oskarżającego go o to, że w czasach, gdy inflacja była kilkakrotnie niższa, nie wprowadzał tarcz antyinflacyjnych.

Jest bardzo prawdopodobne, że oś sporu przyszłorocznych wyborów nie będzie dotyczyła sposobu powoływania sędziów czy zagrożenia ideologią LGBT, ale po prostu tego, kto potrafi lepiej zadbać o ciepłą wodę w kranie, a w tej kwestii Tusk ma większe doświadczenie.

Na razie okazało się, że w kraju, w którym – jak zapewniał początkowo premier Morawiecki – węgiel jest, węgla nie ma, choć ma być, i to w nadmiarze. PiS przedstawiało się jako partia, która walczy o polskie górnictwo, i zapewniało, że węgla mamy na 200 lat. Obecna sytuacja przypomina dowcip o Saharze, na której pod rządami PZPR zabrakło piasku. Tyle że opowiadał go Jan Pietrzak w 1979 roku.

Według Kaczyńskiego – to słowa z tygodnika „Sieci” – jego przerwane tournée było wielkim sukcesem, a on był atakowany jak książd Jerzy Popiełuszko. Sukces polegał na tym, że ujawniona została prawdziwa natura opozycji. – Wszystko to obnażyło, kim są nasi przeciwnicy, jakie metody polityczne stosują, jakiego używają języka i z jakich środowisk się wywodzą – stwierdził.

Prezes twierdzi, że objazd wcale nie został przerwany, ale przerwa wakacyjna została zaplanowana. Zdaje się, że wcześniej jednak prezes mówił coś innego, a rzecznik partii Radosław Fogiel wręcz anonsował objazd po 94 nowych partyjnych okręgach.

Przez półtora miesiąca prezes jeździł po miastach, myląc ich nazwy, nazwiska polityków, potykając się na stolicy Szwecji, opowiadając o amerykańskim sklepie, który

w Pcimiu wymyślił wójt Daniel Obajtek, a którego tam nie ma, dowodząc, że przysięwkę kibiców „Polacy, nic się nie stało” wymyślili PR-owcy PO.

Zapewne prezes czerpie siłę z uwielbienia miejscowych działaczy, kół gospodyń wiejskich, strażaków i leśników. Ale jedyne, co mu się udało zrobić, to zmobilizować opozycję i miejscowych wyborców, których na salę nie dopuszczono, a policja traktowała ich gazem łzawiącym.

Wszyscy z niecierpliwością czekają, czy i w jakiej formie prezes na objazd kraju powróci. Na razie nic nie wskazuje, aby był mocnym elementem kampanii wyborczej PiS.

Politycy PiS wiedzą, że gdyby obecnie odbyły się wybory i rozegrały się wedle dotychczasowych demokratycznych reguł, to ich partia oddałaby władzę. Mimo że ma największe poparcie, nie byłaby w stanie sformować samodzielnie rządu.

Coraz częściej w obliczu zbliżających się wyborów zadawane jest pytanie, jak PiS te wybory przegra. Po siedmiu latach system władzy ma wiele zabezpieczeń. Z tego powodu, nawet jeśli opozycja stworzy rząd, będzie on pozbawiony możliwości skutecznego rządzenia. W koalicji dojdzie do rozłamów i szybko straci władzę, do której powróci w chwałę ugrupowanie Kaczyńskiego.

Najważniejszym zabezpieczeniem dla PiS pozostaje urząd prezydenta, a to oznacza, że aby opozycja mogła efektywnie sprawować władzę, potrzebuje minimum 276 posłów do obalenia prezydenta. Brakuje jej kilkudziesięciu głosów. Prezydent w ostatnim czasie wykazywał zachowania świadczące o niezależności, a jego relacje z Kaczyńskim nie są najlepsze, co nie znaczy, że ułatwi rządzenie opozycji.

Trybunał Julii Przyłębskiej, w całości składający się z wiernych żołnierzy PiS, może blokować zmiany, orzekając o niekonstytucyjności ustaw. Oznacza to, że ugrupowaniom opozycyjnym potrzebnych jest 307 miejsc w parlamencie. Wówczas zapowiedzi wprowadzenia prezesa NBP Głaubińskiego i przywrócenia praworządności poprzez rozwiązanie TK oraz nowej Krajowej Rady Sądownictwa będą łatwe do zrealizowania.

Czy cała opozycja jest w stanie uzyskać większość konstytucyjną, o której jeszcze niedawno marzyło PiS? W obecnej sytuacji politycznej przestaje to być aż tak bardzo niemożliwe. ●

Paweł Wronski



FOT. RAFAŁ POZORSKI / AGENCJA WYBORCZA .PL

raz częściej wszyscy spoglądają na niego jak na bohatera filmu „Dead Man Walking” – który w polskiej wersji nosił tytuł „Przed egzekucją”.

Z punktu widzenia PiS problemem jest to, że na rok przed wyborami musi nie tylko wytłumaczyć się z porażki w negocjacjach z Brukselą, czego skutkiem jest utrata miliardów euro z KPO. Za te pieniądze już od roku w innych państwach refinansowane są fotowoltaika, wiatraki i pompy ciepła, modernizowane są służba zdrowia i edukacja, dofinansowane są inwestycje. Innym problemem – że ma niewiele do zaproponowania.

Pozornie sytuacja wydaje się stabilna. Większość rządowa trwa i dryfuje. Poparcie rządu 0,7 proc. Solidarnej Polski zniechęca Ziobrę do nadmiernego wierzgania wewnątrz obozu władzy. Dzięki kolejnej akwizycji dokonanej przez Kaczyńskiego z posłów koła Polskie Sprawy z Agnieszka Ścigaj Zjednoczona Prawi-

miera Morawieckiego i rządu PiS. Według Kaczyńskiego UE chodzi o stawianie kolejnych żądań w kwestii przestrzegania praworządności. W zamian zapowiedział zaostrzenie walki ze „zanarchizowanymi sędziami”. Słowo „polexit” nie padło, pozostało tradycyjnym dla prezesa niedomówieniem, ale już sekretarz generalny partii zapowiedział wytoższenie przeciwko UE największych armat.

Jak to tłumaczy wyborcom? Otóż w jego przekonaniu UE jest narzędziem Niemiec, a Niemcy dążą wraz z Rosją do panowania nad kontynentem europejskim, czemu sprzeciwia się Polska. Dlatego Polska będzie walczyła o suwerenność i sprzeciwi się niemiecko-rosyjskiemu dyktatowi. Opozycja jest na niemieckim pasku, a niemieckie interesy w Polsce reprezentuje Donald Tusk. Proste?

Zapewne Kaczyński z tym przekazem trafi do swego żelaznego elektoratu. Wszak

Kijów, 28 lipca,
obradę Rady
Najwyższej Ukrainy.
Prezydent Wołodymyr
Zelenski wita
gen. Walerija Załużnego.

FOT. REUTERS/FORUM



Rosyjskim dowódcom nie mieści się w głowie, że Walerij Załużny nigdy nie służył w sowieckiej armii, bo podobno bez sowieckich pagonów i wielgachnych czapek, okrągłych jak ogromny naleśnik, nie ma prawdziwego oficera wysokiej rangi. Tak jeszcze niedawno uważał Władimir Putin, więc inni Rosjanie też byli przekonani, że tego „chachlaczego”, małoruskiego, nieledwie 50-letniego żołnierzyka załatwią raz-dwa-trzy. Nie doliczyli nawet do dwóch.

W praniu okazało się, że sowiecko-rosyjskie doświadczenie, łączone z wojną w Afganistanie, dwukrotnym spacyfikowaniem Czeczenii, wojną w Gruzji oraz najazdem na Krym i Donbas w 2014 roku, to marna szkółka dla tumanów w porównaniu z umiejętnościami i doświadczeniem Załużnego. Co intrygujące – prawdziwą wojnę poznał właśnie w Donbasie po agresji tajemniczych zielonych ludzików, a później regularnych kremłowskich oddziałów. Załużny – zauważmy – w jakimś sensie przegrał tę rozgrywkę. Jego kremłowscy wrogowie wygrali.

Co z tego wynika? Nic. A właściwie tyle, że Walerij Załużny bardzo dobrze odrobił donbaską lekcję. Natomiast rosyjscy wojskowi odbębnił ją po łebkach. No i – to równie ważne – ukraiński generał nie okradał swojej armii. A oni uważali i nadal uważają, że bez tego nie ma sensu służyć w wojsku.

Załużny został bohaterem, nie tylko medialnym, lecz także między zwykłymi Ukraińcami, a przede wszystkim swoimi podkomendnymi, bo szeregowca traktuje tak samo jak pułkownika. Nie szafuje żołnierskim życiem, co wiedzą wszyscy mimo strat ukraińskiej armii. Rosjanie postawili na mięso armatnie i rzeźmieszków, taplają się w błocie złodziei i nieudaczników.

Na dodatek generał nie ma kozackiej gęby jak z dawnych obrazów i rycin, perkaty nos różni go od wielkich atamanów, Maze-

GENERAL

Gdyby Michał Anioł miał na podstawie internetowych wpisów wyrzeźbić generała Załużnego, wyszłoby mu połączenie Dawida z Mojżeszem

Paweł Smoleński

py, Sahajdacznego czy Krzywonosa. Jest raczej pyzaty i z wyglądu dobrotnie pocziwy, choć od wybuchu wojny wielu Ukraińców uważa, że przynajmniej w młodości był bardzo przystojny. Mógłby chociażby nosić oseledec, długi po ramiona pukiel włosów wyrastający ze środka głowy, jak nosili się sławni ukraińscy hetmani. Załużny goli włosy do gołej skóry. A ponieważ taka moda panuje w bodaj wszystkich armiach świata, nie zadano mu pytania dlaczego. Możliwe przecież, że – jak wielu 50-latków – po prostu łysieje. Co Załużnemu w niczym nie przeszkadza.

ZŁOTY MEDALISTA Z NOWOGRODU WOŁYŃSKIEGO

Pochodzi z Nowogrodu Wołyńskiego, miasteczka, które podczas wojny polsko-bolszewickiej znalazło się w garści oddziałów Piłsudskiego. Traktat ryski z 1920 roku zdecydował, że Nowogród jednak przypadnie Sowietom, w końcu to raptem 150 km od Kijowa.

Urodził się w 1973 roku, w rodzinie klasowo słusznej, bo robotniczo-wojsko-

wej. Już w dzieciństwie chciał być żołnierzem. Miał 18 lat, gdy padł Związek Sowiecki, a Ukraina ogłosiła niepodległość, więc nie miał szans nawet liźnąć wojskowej edukacji w radzieckim wydaniu. Studiował w Instytucie Wojsk Lądowych Akademii Wojskowej w Odessie i w Akademii Obrony Narodowej w Kijowie, gdzie za wyniki został odznaczony złotym medalem przeznaczonym dla najlepszych. Zanim zaczął dowodzić brygadą zmechanizowaną, przeszedł wszystkie szczeble wojskowej kariery. W 2014 r., kilka miesięcy po rewolucji godności, która zrzuciła z tronu ówczesnego prezydenta Wiktora Janukowycza, dokończył naukę.

Było już po darmowym oddaniu Krymu, a w Donbasie trwała regularna wojna. Walerij z wątpliwą przyjemnością musiał oglądać obrazki prezentowane we wszystkich telewizjach świata, jak ukraińscy oficerowie z generałami i admirałami włącznie korzą się przed Rosjanami, deklarując lojalność wobec Moskwy wedle dawnych lojalności lub za kremłowskie napiwki i ponad wszystko pragną, podobno z całym ukraińskim narodem, powrócić pod kremłowską opiekę.

UCIECZKA Z DEBALCEWSKIEGO KOTŁA

Symbolem narodowego zaprzaństwa okazał się admirał Denys Bereżowski, który dzień po nominacji na głównodowodzącego ukraińskiej floty czapował zielonym ludzikiem Kremla panoszącym się w Sewastopolu. Rosja zajęła Krym nie dlatego, że była tak silna, lecz w wyniku ukraińskiej słabości.

Armia ukraińska była wówczas w niemal kompletnej rozsypance. W całym kraju organizowały się ochotnicze oddziały samoobrony, wspierane przez niektórych ukraińskich oligarchów, raz ze szczerzego serca, a innym razem dlatego, że putinowska agresja zaczynała mieszać im w interesach. Zachód sądził, że po aneksji Krymu i powstaniu kabaretowych republik ludowych w Ługańsku i Doniecku wreszcie wszystko się ułoży jak pod dawnym rosyjskim lub sowieckim parasolem. Znowu nastanie miła światu normalizacja na Wschodzie. Nie było zbyt wielu chętnych, by dostrzec, iż w Donbasie wierne Ukrainie oddziały wojska i ochotnicze bataliony walczyły z regularną kremłowską agresją. Do krwi ostatniej, jak na lotnisku w Doniecku albo pod Iłowajskiem. Ze świadomością, że ten etap wojny został przegrany, ale też, że wielka bitwa o Donbas będzie się ciągnąć latami, nawet jeśli świat całkiem o niego zapomni.

Walerij Załużny był na donbaskim froncie. Dowodził brygadą w Debalcewie, gdzie siły ukraińskie poniosły dotkliwe straty. Rosja zacierała ręce i karmiła naiwnych propagandowym przekazem, że debalcewski kocioł zamknęły zbuntowane oddziały marionetkowych, prorosyjskich republik z Doniecka i Ługańska. Tymczasem Ukraińcy walczyli z regularnym rosyjskim wojskiem i w takim starciu byli bez szans. Samo wytyczenie w miarę bezpiecznych szlaków ewakuacji z debalcewskiego kotła wydawało się sztuką graniczącą z cudem. Zginęło pod 300 ukraińskich żołnierzy, ale uratowano dziesięć razy tyle. Miasteczka Debalcewe nie ma już na mapie.

Efektom porażki były porozumienia mińskie podpisane przez prezydenta Petra Poroszenkę. Rosja i tak nie miała zamiaru ich wypełnić.

NIE POWITAMY RUSKICH KWIATAMI!

Donbas krwawił, a Zachód ciągle nie dostrzegał, że to nie peryferyjny konflikt, ale preludium prawdziwej wojny o niepodległość Ukrainy. Załuźny zyskiwał na znaczeniu w wojsku, które również dzięki niemu czuło przez skórę, że musi się zreformować. Oficerowie uczyli się wojny w praktyce na donbaskim polu walki, a w przerwach na odpoczynek od frontu ćwiczyli razem z oficerami NATO na poligonach w zachodniej części kraju.

Żadna armia na świecie nie przeszła tak intensywnego szkolenia. Zachodni doradcy byli zaszokowani szybkością jej modernizacji, a zwłaszcza sposobu myślenia. Powtarzały się opinie, że kiedy tuż po 2014 roku po raz pierwszy spotykali się z resztówką ukraińskiego wojska, mieli przed sobą armię bardziej sowiecką niż rosyjska, kierowaną przez niekompetentnych, często skorumpowanych dowódców. Niebawem poziom wyszkolenia sił specjalnych czy powietrzno-desantowych nie ustępował ani na jotę najlepszym jednostkom amerykańskim czy brytyjskim. Admirał Berezowski, symbol zdrady – Putin uczynił go wiceszefem rosyjskiej Floty Czarnomorskiej – i wielu innych podobnych mu oficerów powoli już nie stanowili o obrazie ukraińskiego wojska.

Powtórzmy – generał Załuźny miał doświadczenie bojowe z Donbasu. Wiedział, że ukraińska armia musi nauczyć się dowodzić zgodnie ze standardami NATO, jak prowadzić nowoczesną wojnę. Gdyby znała się tylko na sowiecko-rosyjskiej taktyce i strategii, kształtowanej na wschodnich frontach w latach czterdziestych, a później w Afganistanie i Czeczenii, byłaby skazana na porażkę, choć nigdy nie wierzył, że Rosja dysponuje drugą armią świata.

Za to zachodni obserwatorzy przewidywali, że przyszła ukraińska wojna będzie musiała wyglądać jak front z 1943 roku – wygrają rosyjska masa, liczebność armii, bezwzględność wobec cywilów oraz nielichenie się z życiem własnych żołnierzy.

Jeszcze przed lutową napaścią generał Załuźny nie ukrywał, że wieloletnia wojna w Donbasie i wojskowa współpraca z Zachodem powinny dać Kremlowi do myślenia, jeśli zdecyduje się na pełnowymiarową agresję: – 420 tysięcy ukraińskich żołnierzy i każdy bez wyjątku dowódca już spojrzął śmierci w oczy (...). Nie oddamy ani kawałka ukraińskiej ziemi! Zapewniam, że Siły Zbrojne Ukrainy są gotowe do walki.

Dodawał, że żołnierze ukraińscy, obrona terytorialna, cywile są gotowi na spotkanie wroga. Z całą pewnością nie powitają go kwiatami, nie będą uciekać. Do Rosjan adresował trzy słowa: „Witajcie w piekle”.

MOI LUDZIE TO NIE NAPITE GŁUPKI!

Załuźny prowadzi wojnę tak, jak obiecywał: drony do niszczenia rosyjskich kolumn ze sprzętem i zaopatrzeniem, ataki ukraińskich baterii artyleryjskich oddalonych o wiele kilometrów od frontu, oddziały specjalne i partyzantka prowadzące działania dywersyjne na zajętych terenach. Analitycy wojskowości i teoretycy wojny z najlepszych think tanków i szkół oficerskich mówili o tym od lat. Dowodem ukraińskiego bohaterstwa stało się dwukrotne odbicie podkijowskiego lotniska Hostomel, gdzie Putin posłał doborowe oddziały spadochroniarzy, Charków, wygnanie Rosjan z obwodu sumskiego, a przede wszystkim przegrana walka o Azowstal, wiążąca oddziały napastników na wiele tygodni.

Generał wiedział z Donbasu, że na froncie decyzje nie mogą być podejmowane tylko przez generałów, lecz liczą się też oddolna inicjatywa, lokalne rozpoznanie sił wroga, do czego najwyżsi dowódcy często nie mają dostępu, a przynajmniej nie od razu. Zdecentralizował dowodzenie wojskiem, co dla Rosjan nadal jest czymś niepojętym. Wysyłają więc na linię frontu tuziny generałów, pułkowników i majorów, a ci – to rezultat sprawności ukraińskiego wywiadu i partyzantki oraz współpracy z elektronicznymi systemami szpiegowania – giną i giną, honorowani w uroczystych pogrzebach gdzieś pod Moskwą, Leningradem lub czeczeńskim Groznym. Albo ich pochówki trzeba ukrywać, bo liche morale moskiewskich bojców skiepsi się jeszcze bardziej.

Nadto Załuźny mówi otwarcie, że ukraińska armia pełna jest młodych, zawodowych żołnierzy, a wielu z nich ma w plecaku buławę marszałków: – To są zupełnie inni ludzie, nie tacy jak moje pokolenie, gdy byliśmy porucznikami. Niebawem całkowicie odmienią armię. Znają języki obce, radzą sobie z elektroniką, umieją korzystać z możliwości, jakie dają komputery. Otarli się o NATO, a nawet przechodzili szkolenie na Zachodzie. Znają się na najnowszym sprzęcie. Nasi sierżanci to nie rubaszne starszyny z sowieckiego i ruskiego wojska, tępe, napite głupki. Nie są mięsem armatnim, bo nikt nie śmiałby wyznaczyć im takiej roli. Umieją walczyć i prawie każdy jest tak przygotowany, że może dostać oficerskie szlify.

W umiejętności generała nie wierzyli najbardziej wytrawni znawcy wojskowości. Gdy w końcu ubiegłego roku zachodnie agencje wywiadowcze były już pewne, że Moskwa napadnie na Ukrainę, dawano Kijowowi kilkadziesiąt godzin, wszyscy wieszczyli klęskę, kolejną po 2014 roku niechlubną kapitulację i zmianę władzy na prokremlowskie pacynki. Podobno miał im przewodzić Wiktor Janukowycz, który po rewolucji godności w 2014 roku zwiął do Rosji, kryty przez tamtejszych komandosów.

A trzeba było zaufać generałowi Załuźnemu. Wolałby uznanie jego kompetencji niż miejsca w pierwszej setce najbardziej wpływowych ludzi na świecie, w której umieścił go tygodnik „Time”.

DOSKOCZ, UDERZ, WYCOFAJ SIĘ

Na początku wojny w Ukrainie, gdy odparto atak rosyjskich doborowych gwardzistów i sił specjalnych na Kijów (choć utracono kawał wschodu i południa), nadszedł czas na taktykę „doskocz, uderz, wycofaj się”. Kremlowscy dowódcy kształceni na schematach II wojny światowej nie bardzo wiedzieli, co z tym robić. Przydała się broń dostarczona z Zachodu, którą umie się posługiwać prawie każdy żołnierz: przeciwczołgowe javeliny, stringery i polskie pioruny do walki z samolotami i helikopterami. Rosjanie dawali głowę, że zajmą Ukrainę w kilka dni, przy aplauzie miejscowej ludności. Bajka o ukraińskich nazistach terroryzujących cywilów przyjęła się w wojsku agresorów. Okazało się, że ani Ukraińcy nie chcą żyć pod kremlowskim butem, ani wojsko, obrona terytorialna i partyzanci nie myślą o kapitulacji.

Załuźny zyskał miano „żelaznego generała”. Takiego przezwiska nie dostaje się za darmo. W pierwszych godzinach agresji rzeczywiście wszystko mogło się stać, rozważano wiele wariantów rozwoju sytuacji, a każdy następny był gorszy od poprzedniego. Ważni ludzie w Kijowie mieli w pamięci donbaską i krymską klęskę 2014 roku. Załuźny przekonywał, że da radę. Prezydent Zelenski jest na całym świecie ikoną walki o niepodległość i demokratyczne wartości. Załuźny – dzisiaj zapraszany przez internet na najważniejsze natowskie konwentykłe – sprawił, że Zelenski z wielkim powodzeniem gra najważniejszą ro-

lę swojego życia. Sam stanowczo odmawia wywiadów, nie pcha się przed kamery. No si polowy mundur, a jeśli w internecie pojawiają się jego fotki, to z linii frontu.

DOBRY GENERAL I ZŁY GENERAL

Ukraiński komik Jewhen Krutogłowow powiedział całkiem poważnie: – Jeśli umieścisz zdjęcie dowolnego rosyjskiego generała obok zdjęcia naszego głównodowodzącego, od razu zobaczysz, gdzie jest zło, a gdzie dobro. Patrząc w oczy Walerija Fedorowycza, widzisz pewność siebie, inteligencję, dobro. Wszystkiego najlepszego, Panie Generale, dobrego zdrowia i sił.

Wyszedł Załuźnemu naprzeciw rosyjski as, generał Aleksandr Dwornikow, starszy od Walerija o dekadę, namaszczony przez Putina na głównodowodzącego w Ukrainie po innych armijnych przegranych. Dwornikow umiał pacyfikować czeczeńskich górali łącznie z niszczeniem do gołej ziemi zbuntowanych wiosek. Mordował Syrię, obracał w gruzy Aleppo, nie zważając na cywilów. Kształcony na wojaka jeszcze za Sowietów w dalekowschodnim Ussuryjsku, a potem w Akademii im. Frunzego, przeszedł pełną drogę armijnej sowiecko-rosyjskiej kariery. Na nic mu się to zdało.

A i tak Dwornikow może mówić o szczęściu. Gdyby mu go zbrakło, wyjechałby z Ukrainy w cynkowej skrzynce jak Czeczeniec Magomied Tuszajew, Władimir Fromow plus kilkunastu innych, wliczając niejakiego Kutuzowa z moskiewskich oddziałów sformowanych w zaanektowanej części Donbasu, którego nie ustrzegło nazwisko po wielkim dowódcy wojen napoleońskich. Dwornikow przypadkiem zdążył zwiąć z punktu dowodzenia na chwilę przed precyzyjnym ukraińskim atakiem.

ZABILI GO I UCIEKŁ

Dużo miejsca Załuźnemu poświęcają kremlowskie portale. Już kilka razy zdążył na nich pożegnać się z życiem, a dowodem były materiały wideo i zeznania naocznych świadków. Kłopot sprawiało jedynie to, że dzień lub tydzień po udanym – wedle Rosjan – zamachu generał Załuźny rozmawiał z oficerami NATO.

Wytknęli mu moskiewscy propagandyści, że kradnie. Może nie osobiście, ale z pewnością żona i córki, bo mają trzy wiejskie działki i jedno mieszkanie. Koronnym dowodem moralnego upadku genera-

POD OPIEKĄ CIAŁ ASTRALNYCH

Skoro Załuźny unika mediów, niewiele o nim wiadomo. Żona Elena pracuje w banku. Starsza córka wybrała karierę wojskową. Młodsza jest lekarką. Generał podobno lubi koty, czemu daje wyraz w mediach społecznościowych, a przed wojną w czas urlopu zrzucał mundur, wkładał wygodne ciuchy i razem z żoną jeździli po Ukrainie, najlepiej tam, gdzie kończą się bite drogi, a zaczyna interior. No i do Nowogrodu Wołyńskiego, bo generałowi często się ckną za rodzinnym miastem.

Możemy przypuszczać, że ma poczucie humoru. Wojna już wisiała w powietrzu, gdy pewna dziennikarka doprosiła się wywiadu z generałem i żartem spytała, czy chciałby przejechać się czołgiem pod ukraińską flagą po placu Czerwonym. Załuźny odpowiedział, że oczywiście, a nadto planuje też przejażdżkę po moskiewskim Arbacie. Chciałby jednak uspokoić moskwiczán, że robi to w sposób delikatny, bo Arbat to zabytek, a zabytków nie wolno niszczyć. Skoczyły mu za to do gardła kremlowskie portale, dziś sławiące bojców Putina, gdy zniszczą starodawny sobór albo cerkiew.

Lubi Facebooka. W mediach społecznościowych informuje, jak jego żołnierze zestrzelili kolejny samolot lub helikopter, rozbili „starodawną, bo jak z czasów II wojny”, kolumnę czołgów i generalnie dali radę. Dodaje wpisy z wyższego piętra: „Siły Zbrojne Ukrainy są tarczą Europy”, „Cena wolności jest wysoka. Pamiętaj o tym!”, „Ukraińcy zapomnieli się bać. Naszym celem jest zwycięstwo”.

Dzięki Facebookowi znana jest data jego urodzin (8 lipca), więc sieciowe życzenia zdrowia i szczęścia można było liczyć w okolicach stu tysięcy. Słowa ciepłe, szczerre i poważne gratulacje, ale też wpisy, jakie rozedrgane nastolatki umieszczają na profilach gwiazd światowej popkultury: że generał Załuźny jest najlepszy, najzdolniejszy, wie, umie, zna języki (akurat to fakt); przymioty Walerija można by porównać do listy cech, jakimi Polacy obdarzali papieża Polaka, gdy wiedzieli o nim nieco mniej niż dzisiaj.

Załuźny to heros, mentor, ukochany obrońca, przewyższa największych ukraińskich kniaziów. Nawet ciała astralne – pisały wyznawczynie astrologii – darzą go szczególnie ciepłą opieką. Chylą głowy przed generałem zwyczajni ludzie, gwiazdy estrady, pisarze, poeci, artyści, celebryci. Pewna transplciowa piosenkarka, bar-

Nasi sierżanci to nie rubaszne starszyny z sowieckiego i ruskiego wojska, tępe, napite głupki. Nie są mięsem armatnim, bo nikt nie śmiałby wyznaczyć im takiej roli

ła miał być samochód Chery Tiggo t1l obfotografowany z każdej strony, luksus i zbytek, pasujący ukraińskiemu banderowcowi. Tak naprawdę ten Chery Tiggo to chiński erzac, kopia Toyoty Rave 4; a produkujący auto koncern zrobił nawet podróbkę Daewoo Matiz.

Oraz – podobno Walerij Załuźny permanentnie myli się w zeznaniach podatkowych. W komentarzach zwykle pada pytanie: „Czy to nie daje do myślenia?”.

dzo popularna w Ukrainie, oznajmiła, że w życiu ma jednego bohatera, pana generała. Gdyby wedle tych internetowych wpisów Michał Anioł miał wyrzeźbić generała, ale nie widział oryginału, wyszłoby mu połączenie Dawida z Mojżeszem, najpiękniejszy i zarazem najmądrzejszy mężczyzna świata. A najciekawsze w tym wszystkim jest to, że – jak to celnie ujął autor tekstu na portalu Politico – Załuźny jest bohaterem, ale w żadnym wypadku gwiazdą. ●

Obcy i lewicowe starcie

Sprawa aborcji dla wielu ludzi jest sprawą życia i śmierci. Dlatego w dyskusji trzeba się z nią obchodzić delikatniej.

Marcin Matczak*



Magdalena Środa odpowiedziała na mój felieton o agresywnym języku lewicy, który wzmacnia polaryzację i pomaga prawicowym populistom utrzymać władzę. Jej odpowiedź potwierdza, że mogą oni spać spokojnie.

Piszę, że nazywanie ludzkiego płodu pasożytem albo nowotworem obraża nawet umiarkowanych konserwatystów, którzy nie chcą zakazywać aborcji. Prof. Środa pisze, że płód pasożytem „bywa”. Rozumiem, że uznaje transparenty „Pasożyty nie mają praw” za rzeczowe wyrażenie stanowiska pro-choice. Ja nie – kwiat róży jest organem służącym do rozmnażania, jednak niewielu porównuje go do penisa. Mówimy o formie wyrażania stanowiska, nie o dokładności biologicznych analogii.

Uważam, że język lewicy (płód jako dzikie zwierzę atakujące kobietę, jako kawałek jedzenia, którym się dławi, jako agresor chcący wykorzystać jej organy) jest zły. Prof. Środa uważa, że naprawę złego języka używają katolicy i że oni pierwsi zaczęli się przezywać, nazywając aborcję holocaustem. Poza tym płód „nie zawsze jest święty”.

Czy odpowiedzią na uświęcanie płodu musi być totalna dehumanizacja? To właśnie eskaluje polaryzację. Czy prof. Środa nie widzi, jak ryzykowna jest strategia, by oskarżany o holocaust bronił się, że to, co robi, to nie holocaust, ale likwidacja pasożytów? Nie ma innych sposobów komunikacji w tej kluczowej dla praw kobiet kwestii?

Trzeci argument wskazuje, że zupełnie się nie rozumiemy. Pisze prof. Środa, że zakaz aborcji nie jest elementem konserwatywnego porządku normatywnego, bo w wielu krajach, gdzie rządzą konserwatyści, aborcja jest dozwolona.

To nie zakaz aborcji jest elementem tego porządku normatywnego. Jest nim wizja relacji „kobieta – płód”, w której płód nie jest postrzegany jak Obcy z „Ósmego pasażera Nostromo”, a taki obraz pokazuje lewicowa narracja o pasożycie, raku i agresorze.

Atak na porządek normatywny zwiększa poparcie dla polityków, którzy rzekomo tego porządku bronią. Pomysły Solidarnej Polski, by zaostrzyć kary za obrazę uczuć religijnych, nie wynikają z głębokiego chrześcijaństwa Ziobry i dewocyjności Warchoła. Są efektem kalkulacji politycznej: jest wielu ludzi gotowych wesprzeć głosami prawicę, gdy ta broni wartości przed agresywną lewicą. Niestety, prof. Środa nie analizuje, skąd ci polityczni klienci prawicy się biorą.

Po czwarte, pisze prof. Środa, że za polaryzację odpowiada nie stosunek do aborcji, ale niechęć do kobiecej wolności i wyrwania się spod buta patriarchy. Tu się zaczyna wreszcie ciekawa dyskusja. Oczywiście skrajna prawica używa zakazu aborcji, by przedmiotowo traktować kobiety. Ale do tego samego używa także

tematu dostępności środków antykoncepcyjnych, edukacji seksualnej czy edukacji kobiet w ogóle (Czarnek).

Te tematy jednak nie polaryzują – umiarkowani konserwatyści, których głosów lewica potrzebuje do mądrego uregulowania aborcji, nie oburzają się w tych kwestiach. A w kwestii płodu-pasożyta, raka i wirusa tak! A więc to nie sprawa kobiecej wolności polaryzuje, ale sprawa aborcji, która dla wielu ludzi, w przeciwieństwie do antykoncepcji czy edukacji, jest sprawą życia i śmierci. Dlatego trzeba się z nią obchodzić delikatniej.

Po piąte, zgadzam się, że „po drugiej stronie konfliktu nie stoją bezmózgowi wyznawcy dogmatu”. Bynajmniej! Stoją tam jak najbardziej racjonalni, zorganizowani, posiadający władzę ludzie, którzy mają swoje organizacje, służby, uniwersytety, doskonały piar i potężne środki materialne (jak Ordo Iuris), by świat i kobiety przywołać do porządku.

Prof. Środa widzi wyłącznie skrajności. Ja nie piszę o Ordo Iuris. Ja piszę o pani Zosi i panu Czesławie z małej miejscowości na wschodzie Polski, którzy cieszą się na narodziny wnuka. Jak im ktoś powie, że ten wnuk to rak albo pasożyt, to pomyślą, że to niesmaczny żart. A jak Kaczyński im powie, że to nie żart, ale nieludzki program polityczny, to pewnie na niego zagłosują.

Czy w wizji lewicy po prawej stronie jest tylko Ordo Iuris? Czy to typowe dla lewicy myślenie klasowe, które różnych wrzuca do jednego worka i zaciemnia złożoność sytuacji? Zapominacie, że obserwuje was milcząca większość. I to ona decyduje o wyniku wyborów, nie Kaja Godek.

Po szóste, prof. Środa podkreśla, że polityczna troska o plody nie ma nic wspólnego z konserwatywną wrażliwością. A zaraz potem pisze, że konserwatystami są Kaczyński i Ziobro. Już pisałem, że to populisci, nie konserwatyści. Gdyby to przysparzało im głosów, chodziliby na Parady Równości.

Prawica nie troszczy się o dzieci. Zgoda na to, by te już urodzone umierały na granicy z Białorusią, jasno tego dowodzi. To hipokryci, którzy bezwzględnie wykorzystują każdy lewicowy upust agresji. Na przykład Strajk Kobiet, graffiti na kościołach i przerywanie mszy. Gdzie jest sukces polityczny, który te działania miały przynieść? Ich efektem jest uśmiechnięty wiceminister sprawiedliwości, który ogłasza wspomniane zaostrenie kar za obrazę uczuć religijnych przy oklaskach dużej części wyborców, którzy tej agresji się boją. Oni chętnie dodadzą mu parę procent poparcia, mówiąc o Strajku: „Panie, ale kto to widział...”.

Po siódme, nieprawdziwy jest rzekomo mój argument, że społeczeństwa się jednocześnie laicyzują i stają konserwatywne. Zdaniem prof. Środy prawica w Polsce i USA rządzi „nie dzięki woli ludu, ale dzięki środkom, które zgromadził broniący się konwulsyjnie patriarchalizm”. To jest już naprawdę hardcorowe kwestionowanie demokracji w stylu Trumpa. Lud jest omamiony i normalnie glosowałby na lewicę? Nie wszystko da się załatwić potężnym zaklęciem „Petrificus patriarchalus”, które, jak wiemy z „Harry’ego Pottera”, powoduje, że ciało przeciwnika sztywnieje. W tym przypadku ze zdziwienia. ●

***Marcin Matczak** – ur. w 1976 r., specjalista od teorii i filozofii prawa, profesor UW

PO PRAWDZIE

Zamach smoleński nie zatriumfował

Podkomisja Macierewicza kosztowała nas już 30 mln złotych.

Agnieszka Kublik



Skandal. Wielki skandal. Macierewicz kompromituje tragedię smoleńską. Nadal.

Bo choć jego podkomisja przygotowała tzw. raport – a to było jedynym celem podkomisji – nadal bierze publiczne pieniądze. Przyzwyczailiśmy się. No po prostu przyzwyczailiśmy się – że w państwie PiS skandal goni skandal, afera – aferę, a winnych i kary nie ma. A nie wolno nam.

Krzysztof Brejza, senator PO, właśnie ujawnił, że podkomisja Antoniego Macierewicza od 11 kwietnia, czyli od ogłoszenia tzw. raportu, do 11 lipca wydała 541 tys. złotych. Czyli 180 tys. złotych co miesiąc. A w ogóle podkomisja od powstania, od 4 lutego 2016 roku, do teraz kosztowała nas 30 mln złotych.

MON, któremu podkomisja Macierewicza podlega, ujawnił te dane pod pretekstem – nakazał mu to sąd administracyjny, do którego poskarżył się Brejza. Wcześniej podkomisja utajniała skład, ekspertów, eksperymenty, wszystkie swoje wydatki. Rządowa instytucja, która miała pomóc Jarosławowi Kaczyńskiemu dojść do prawdy, sama stała się źródłem zakłamania.

Bo urobek tej podkomisji jest żaden (poza skandalami, wewnętrznymi sporami, a nawet konfliktem z tzw. PiS-owską częścią rodzin smoleńskich). Gruby plik papierów, nazwany przez Macierewicza raportem (co ciekawe, powstał w sierpniu 2021 roku, a został pokazany publicznie dopiero 11 kwietnia tego roku), w żadnym wypadku nie jest dokumentem analizującym przyczyny katastrofy lotniczej z 10 kwietnia 2010 roku i formułującym na przyszłość zalecenia, jak uniknąć takiego dramatu. A właśnie po to powstają raporty po katastrofach.

To publicystyka ubrana w pseudonaukowy belkot, by zrobić wrażenie na statystycznym czytelniku. Gorące zapewnienia Macierewicza o współpracy z naukowymi instytucjami okazały się zwykłym łgarstwem.

Na łamach „Gazety Wyborczej” opowiadał o tym w kwietniu tego roku dr Marek Michalewicz, były szef Interdyscyplinarnego Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego UW. Tu podkomisja miała przygotować symulację lotu Tu-154.

Nie umieli zrobić tych obliczeń, ten problem przerósł ich możliwości. Nie wychodziła im symulacja. W obliczeniach naukowych obowiązuje zasada GIGO, czyli Garbage In – Garbage Out, jak wrzucasz błędne dane, dostajesz błędny wynik, co w tym przypadku jest doskonale widoczne. Dodatkowo rzetelne badanie naukowe opiera się na zbadaniu wszel-

kich możliwych scenariuszy, czyli takiego z wybuchem i takiego z uderzeniem w drzewo. Podkomisja całkowicie zignorowała symulowanie uderzenia w drzewo, bo nie chodziło jej o zbadanie realnej przyczyny katastrofy, ale o podparcie politycznej tezy argumentami (pseudo)naukowymi – opowiadał Michalewicz.

Te nieudane i nieskuteczne obliczenia kosztowały nas 87 tys. złotych.

Czy kogoś to dziwi? To, że musiało im nie wyjść?

Jeśli tak, to nie powinno. Przypominam, co tzw. eksperci Macierewicza – profesorowie Wiesław Binienda, Jan Obrębski, Jacek Rońda – zeznali w prokuraturze o swojej „eksperskiej wiedzy” w 2012 roku, czyli przed powstaniem podkomisji Macierewicza. Np. jeden z nich wyznał, że od dziecka interesuje się lotnictwem, w młodości sklejał modele samolotów, siedział kiedyś w kokpicie Su-33 (samolot myśliwsko-bombowy) i latając samolotami, obserwuje, jak zachowują się skrzydła, wreszcie był świadkiem eksplozji w szopie.

Prokuratorzy zapytali prof. Obrębskiego, czy „uważa, że istnieją dowody wskazujące na wybuch bądź wybuchy, jako przyczynę katastrofy”.

Profesor zeznał: „W moim przekonaniu, poza doniesieniami gazetowymi nie mam żadnej wiedzy na ten temat. Nie posiadam żadnych materiałów tego dotyczących”.

Rzecz jasna, żaden z nich nie przedstawił prokuratorom dowodów na zamach.

No cóż, potem Obrębski i Binienda zasiedli w podkomisji. W kwestii dowodów – bez zmian.

Ta podkomisja w ogóle nie miała prawa powstać. Macierewicz, by ją stworzyć, obszedł prawo (bo w jej skład wbrew ustawie o prawie lotniczym powołał ludzi bez niezbędnego wykształcenia i doświadczenia). Dlatego mamy podkomisję, a nie komisję. I dlatego tzw. raport podkomisji nie ma statusu oficjalnego, państwowego dokumentu opisującego przyczyny katastrofy z 10 kwietnia 2010 roku.

Jest nim raport rządowej komisji Jerzego Millera z lipca 2011 roku. Z tego raportu wiadomo, że prezydencki tupolew leciał w gęstej mgie, bez widoczności ziemi, za nisko, za szybko. Zawadził lewym skrzydłem o brzozę na wysokości ledwo 7 metrów, przekreślił się i runął. 96 osób, w tym prezydent Lech Kaczyński, zginęło na miejscu.

Pamiętacie, iż Macierewicz przez jakiś czas upierał się, że trzy osoby przeżyły? W 2013 roku, w trzecią rocznicę dramatu, zarzekał się publicznie: „Po trzech latach badań mogę powiedzieć, że są dowody świadczące, że trzy osoby przeżyły katastrofę. Nie wiemy, dlaczego rząd nie spytał, co się z nimi stało i kiedy umarły. Potwierdzają to trzy niezależne źródła”.

Ta podkomisja to klęska Macierewicza i hańba państwa PiS. Mimo to ciągle dostaje rządowe pieniądze, a sam Macierewicz nadal ma ochronę Żandarmerii Wojskowej. Maciej Wąsik, wiceminister spraw wewnętrznych, tłumaczy powód: „tajemnica”.

– Jeśli chodzi o rabunek, złodziejstwo, nieudolność, to oni byli mistrzami – snuł swoją opowieść o Polsce Kaczyński w ostatnim wywiadzie dla „Sieci”. – To było złodziejstwo w skali, która nawet nieudacznikom nie mogła umknąć.

No właśnie, niech nam ten smoleński skandal nie umknie.

Kaczyński ujawnił w innym wywiadzie, że podkomisja Macierewicza ma „jeszcze ma sporo do zrobienia”. A konkretnie co? Jedynie, co mi przychodzi do głowy, to niszczenie dowodów na to, że nie ma dowodów na zamach z 10 kwietnia.

Ale to się da udowodnić. I tak oto w końcu do Kaczyńskiego dotrze prawda. Choć po prawdzie, dla niego będzie i tak tylko kłamstwem. ●

UKRAINA NA OSI HISTORII

Ponad wiek temu utworzenia niepodległej Ukrainy domagali się nie tylko Ukraińcy i Piłsudski, ale też pewien brytyjski geograf, autor najsłynniejszej mapy geopolitycznej w historii

Dariusz Wójcik*



• Halford John Mackinder (1861–1947), brytyjski geograf, geopolityk, ekonomista. Współzałożyciel wydziału geografii na Uniwersytecie w Oksfordzie, a także London School of Economics, której szefował. W latach 1910–1922 parlamentarzysta Liberalnej Partii Unionistów, a potem Partii Konserwatywnej.

W ogłoszonym w 1904 roku artykule „The Geographical Pivot of History” (Geograficzna oś historii) na podstawie analizy historycznej, geograficznej i współczesnych mu wydarzeń politycznych sformułował odważną tezę, że ten, kto kontroluje Europę Wschodnią, kontroluje świat. Po wybuchu wojny w Ukrainie jest ona znów przywoływana.

FOT. WIKIPEDIA

13

13 kwietnia 2022 roku. W okręt flagowy rosyjskiej Floty Czarnomorskiej „Moskwa” uderzają ukraińskie pociski Neptun. Okręt tonie. Kilka tygodni wcześniej świat obiegały słowa żołnierza ukraińskiego z Wyspy Wężowej, który na wezwania z „Moskwy” o poddanie wyspy odpowiedział: „idi nachuj”.

13 kwietnia 1904 roku. Rosyjski okręt flagowy „Petropawłowski” biorący udział w bitwie o Port Artur tonie na Morzu Żółtym po wpłynięciu na japońskie miny. Wraz ze statkiem ginie legendarny admirał Stiepan Makarow, projektant lodolamaczy i kolei transsyberyjskiej. Ten dzień i ta śmierć to jedne z decydujących momentów, które doprowadziły do przegranej Rosji w wojnie z Japonią i zahamowały jej ekspansję na Dalekim Wschodzie. Ta porażka wywołała rewolucję 1905 roku, którą Lenin nazwał próbą generalną rewolucji październikowej w 1917 roku.

GEOGRAFICZNA OŚ HISTORII

25 stycznia 1904 roku, Londyn. Halford Mackinder, wykładowca geografii na Uniwersytecie w Oksfordzie i dyrektor London School of Economics and Political Science, wygłasza referat dla Królewskiego Towarzystwa Geograficznego „The Geographical Pivot of History”, czyli „Geograficzna oś (albo sworzeń) historii”. Na ścianie wisi mapa, ambicją Mackindera było pokazanie, jak geografia kształtuje historię świata.

„Geograficzna oś historii” to wnętrze Eurazji – dwukontynentu Azji i Europy – jako wspólnej, największej na planecie masy lądowej. Tu znajdował się środek mapy, co już było szokiem dla publiczności przyzwyczajonej do map skoncentrowanych na południku Greenwich, przebiegającym przez Londyn. Dla Mackindera punktem wyjścia jest geografia fizycz-

na, która stworzyła ogromny obszar na wschód od Uralu (pokrywający się mniej więcej z Syberią), z którego rzeki wpływają do Oceanu Arktycznego, oraz ogromny obszar bezodpływowy w centrum Azji, z którego rzeki nie wpływają do żadnego oceanu, lecz głównie do jezior, takich jak Kaspijskie i Aralskie. To połączenie tych dwóch obszarów Mackinder zdefiniował jako ową „geograficzną oś”, wokół której toczy się historia świata.

OŚ, DWA PÓŁKSIĘŻYCE I HEARTLAND

Geograficzna oś historii jest wielka i bogata w zasoby naturalne. Od północy otoczona zamrażniętym Oceanem Arktycznym, od wschodu i południa – górami i pustyniami, a więc trudno dostępna. Kto ją kontroluje, jest samowystarczalny i trudny do pobi-

cia. To z kolei wpływa na historię konfliktu światowego jako starcia między potęgą lądową a oceaniczną, czyli między państwami kontrolującymi geograficzną oś historii a tymi, które panują nad lądami i oceanami wokół niej. Te ostatnie podzielone są na „półksiężyc wewnętrzny” – od Europy Zachodniej do Japonii, oraz „półksiężyc zewnętrzny” – resztę świata.

W 1904 roku potęgą kontrolującą oś była Rosja. Mackinder wytłumaczył, jak do tego doszło: „Podczas gdy morskie ludy zachodniej Europy pokryły oceany swoimi flotami, zasiedliły kontynenty i podporządkowały sobie krawędzie Azji, Rosja zorganizowała Kozaków i, wyłaniając się z północnych lasów, zajęła stepy, wysyłając własnych nomadów przeciw Tatarom. W czasach Tudorów i ekspansji morskiej Europy Zachodniej władza Rosji rozciągnęła się z Moskwy na Syberię. Najazd jej jeźdźców na wschód Azji był prawie tak waż-

ny w skutkach politycznych jak opłynięcie Afryki, choć wydarzenia te dzieliła wielka odległość”.

Słowa „Ukraina” Mackinder nie użył, ale zwrócił uwagę na ekspansję Rosji również na zachodzie. „Podczas gdy wcześniej granica rosyjskich osad rolniczych przebiegała blisko granicy między lasem a stepem, teraz centrum populacji europejskiej Rosji leży na południe od tej granicy, pośród pól pszenicznych, które zastąpiły zachodnie stepy”.

Swoją teorię Mackinder rozwinął w książce „Ideale demokratyczne a rzeczywistość” (1919), podkreślając w niej wyjątkową rolę Europy Wschodniej w dostępie do geograficznej osi historii. Tu basen Oceanu Arktycznego spotyka się z basenem Atlantyku bez poważnych barier naturalnych, umożliwiając swobodny ruch na osi wschód-zachód. Doceniając unikalne znaczenie tego regionu, Mackinder poszerzył obszar geograficznej osi historii o baseny Morza Bałtyckiego i Czarnego, nazywając całość Heartlandem. Podkreślił też wagę połączenia Eurazji z Afryką, nazywając ten trójkontynent Wyspą Świata. W ten sposób do mapy doszedł trójwiersz: Kto rządzi Wschodnią Europą, włada Heartlandem: Kto rządzi Heartlandem, włada Wyspą Świata: Kto rządzi Wyspą Świata, włada Światem.

TRZEBA NIEMCOM ZABRAĆ PRUSY

Gdy Mackinder pisał „*Ideale demokratyczne a rzeczywistość*”, w Wersalu mocarstwa ustalały mapę świata po I wojnie światowej. Dla Mackindera konflikt strategiczny między Niemcami a Wielką Brytanią, który leżał u podstaw wybuchu tej wojny, był nieunikniony. Ponieważ „zarówno wolny handel w najbardziej liberalnym wydaniu, jak i agresywny protekcyjizm gospodarczy są politykami imperialnymi i prowadzą do wojny” – tłumaczył. Według niego Brytyjczycy i Niemcy wsiedli do pociągów ekspresowych jadących w przeciwnych kierunkach i „prawdopodobnie od około 1908 roku zderzenie było nieuniknione; a gdy przyszedł moment na hamowanie, było już za późno”.

Wracając do Heartlandu, terytorialnym celem ekspansji Niemiec była wschodnia Europa. Chciały one podbić Słowiańszczyznę, „po to, by produkowała żywność i kupowała niemieckie towary”. Mackinder radził politykom obradującym w Wersalu: „To absolutna konieczność, żeby między Niemcami a Rosją istniała strefa niepodległych państw”. I proponował: „W jakiś sposób Polska musi uzyskać dostęp do Morza Bałtyckiego... bufor terytorialny między Niemcami a Rosją musi być kompletny”. Pozostawienie Prus Wschodnich Niemcom uważał za załazek przyszłej wojny, gdyż „byłoby odskocznia do penetracji Rosji”. Sugerował nawet wymianę ludzi między Prusami na wschód od Wisły a Wielkopolską. „Prawa przejazdu przez terytorium innego kraju zazwyczaj stają się niewygodne i prowadzą do konfliktów” – tłumaczył. Jak wiemy, na mocy traktatu wersalskiego powstały nowe państwa w Europie Wschodniej, w tym Polska, ale problem Prus Wschodnich nie rozwiązali.

Kłeska w I wojnie światowej i utworzenie bufora państw nie powstrzymały ekspansji Niemiec. W swoim ostatnim artykule z 1943 roku pt. „Okragły świat i wygranie pokoju” Mackinder twierdził, że „teoria Heartlandu” jest teraz jeszcze bardziej aktualna. Przyszły pokój – pisał – wymaga ograniczenia ekspansywnych zapędów Niemiec z dwóch stron: w Heartlandzie i na północnym Atlantyku. Jako podstawę pokoju uznawał sojusz między Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią i Francją, ale podkreślał potrzebę ich współpracy z Rosją. Wbrew tym zaleceniom po II wojnie światowej pomysły Mackindera zainspirowały amerykańską politykę „powstrzymywania” Związku Radzieckiego i jego sojuszników poprzez otoczenie

Heartlandu łańcuchem własnych sojuszników – od Paktu Północnoatlantyckiego przez Bliski Wschód aż do Japonii.

RASISTA, IMPERIALISTA, GEOGRAF

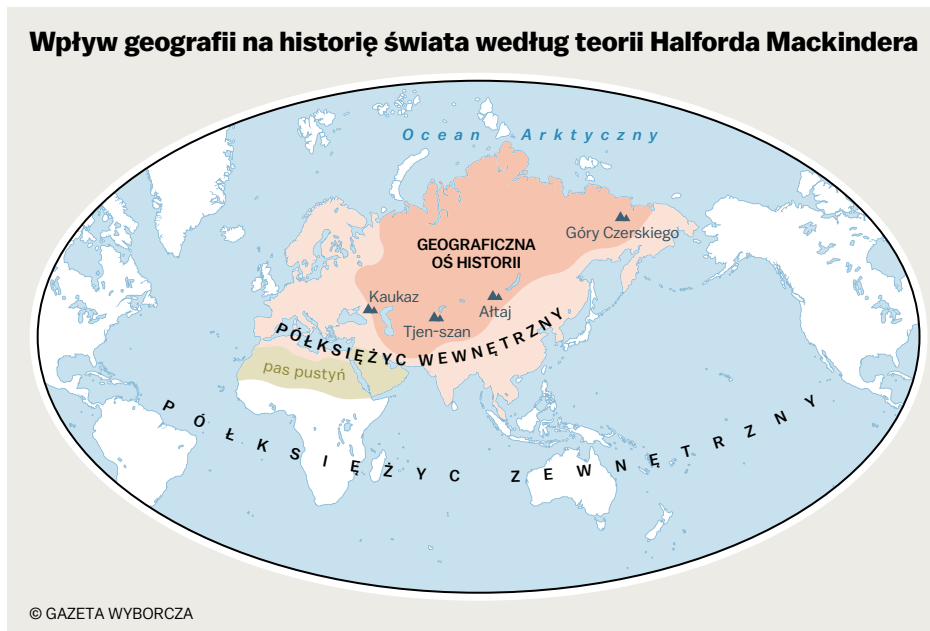
Do teorii Mackindera należy podchodzić krytycznie. Na jego mapie brak Antarktydy, a wyolbrzymiona jest Syberia. Amerykę Południową zostawia na marginesie geografii i historii. Krytycznik trzeba też patrzeć na samego Mackindera i jego podejście, łączące geografie fizyczną z historią świata.

storię okazuje się użyteczne, choć z pewnością jest kontrowersyjnym punktem odniesienia.

Ukraina leży na pograniczu opisanego przez niego Heartlandu.

SFRUSTROWANY WIZJONER

Trudno toczącej się wojny nie widzieć przez pryzmat starcia Rosji, jako potęgi lądowej, i NATO, jako potęgi oceanicznej. Trudno nie widzieć jej jako wojny o władzę we wschodniej Europie. Można przypusz-



Jeśli celem pomocy dla Ukrainy jest pokonanie Rosji, to czy naprawdę tak trudne dla Waszyngtonu i Brukseli jest wyliczenie, ile sprzętu potrzebują wojska ukraińskie, by osiągnąć zdecydowaną przewagę?

A może wystarczyłoby lepiej słuchać prezydenta Zelenskiego i jego generałów?

ta. Wbrew oskarżeniom o darwinizm społeczny Mackinder nie twierdził, że przyroda determinuje historię. Pisał, że „w nie-małym mierze człowiek kontroluje siły natury...”, i podkreślał, że o produkcji gospodarczej decyduje bardziej organizacja społeczna niż zasoby naturalne. Był nieustraszo-nym edukatorem, walczył o status geogra-fii w szkołach, na uniwersytetach i w zastoso-waniach w polityce i gospodarce. Zawsze używał słowa „geografia”, nigdy „geopolityka”, choć stworzył najbardziej znaną mapę geopolityczną w historii. Podobno nie lubił słowa „geopolityka”, bo w Niemczech inspirowało ideologów narodowego socjalizmu.

Można Mackindera uważać za imperialistę i rasistę. Był członkiem Imperialnego Komitetu ds. Żeglugi i Imperialnego Komitetu Gospodarczego. Sięgał po rasistowski język, np. Chińczyków określał czasem jako „żółte niebezpieczeństwo”. Obwiniano go o śmierć kilku czarnoskórych porterów, uczestników ekspedycji na górę Kenia, której przewodził, i m.in. z tego powodu niedawno usunęto Mackindera z nazwy głównej sali wykładowej wydziału geografii Oksfordu, choć to on go założył. Choć nie brak też głosów, że dowody na jego udział w zastrzeleniu porterów nie są wystarczające.

Mimo tych kontrowersji dorobek zmarłego 75 lat temu Mackindera prowokuje do analizy wojny w Ukrainie w kontekście globalnym. Jego spojrzenie na geografie i hi-

czać, że tak widzą ją Władimir Putina, jego doradcy i duża część Rosjan.

Geopolityka stała się w czasach Putina bardzo popularna. Czy to problematyczne, jeśli analizując wojny, użyjemy schematów myślowych agresora? Czy obserwacja i opis nie tworzą świata? W pewnym stopniu – tak. Jednocześnie nie możemy przypisywać obserwacji świata ujętej w teorie i opisy, w tym Heartland, cech demonicznych. Żadna książka nie zmienia położenia Kijowa lub Odessy. Idee i teorie mogą być użyte w celach dobrych i złych.

W książce z 1919 roku słowo „Ukraina” pada tylko raz, we wzmacnianie o pasie osadnictwa niemieckiego ciągnącego się od północnej Ukrainy aż do rzeki Wolgi. Mackinder pisze też o ucisku mieszkańców Galicji Wschodniej przez polską arystokrację za przyzwoleniem Habsburgów. Sugeruje więc, że Ukraińcy byli ofiarami układu sił w cesarstwie austro-węgierskim. Ale kilka miesięcy po pierwszym wydaniu książki zaangażowanie Mackindera w sprawy Europy Wschodniej, w tym Ukrainy, stało się bardzo osobiste i namacalne.

23 października 1919 roku lord Curzon, minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, powierzył mu misję – chodziło o poparcie Wielkiej Brytanii dla Sił Zbrojnych Południa Rosji dowodzonych przez gen. Antona Denikina, walczących z Armią Czerwoną głównie na terenach dorzecza Donu i dzisiejszej Ukrainy i Białorusi.

Mackinder dotarł w okolice Krasnodaru na rozmowy z Denikinem, namawiając po drodze rządzą w Warszawie, Bukareszcie i Sofii, by i one mocniej wsparły jego wojska. Po kilku tygodniach wrócił sfrustrowany, bo wraz z porażkami i odwrotem armii Denikina zainteresowanie Londynu wschodnią Europą słabło. Zdesperowany wezwał rząd brytyjski do budowania koalicji antybolszewickiej od Finlandii do Kaukazu oraz stworzenia większej liczby niepodległych państw w Europie Wschodniej, w tym Ukrainy.

W zmęczonej wojną Wielkiej Brytanii, w której lewica sprzeciwiała się walce z bolszewikami, pomysły Mackindera pozostały bez echa. Lord Curzon kreślił już wschodnie granice Polski, ale granic Ukrainy nie narysował.

W ten sposób siła bolszewików pospołu z brytyjską demokracją uniemożliwiły re-

alizację radykalnych wówczas idei Mackin-dera, który nie miał złudzeń w ocenie bolszewików. Źródłem konfliktu między kapitałem a klasą robotniczą był według niego niezrównoważony rozwój między narodami oraz nadmierna siła międzynarodowych firm, którą krytykował na równi z wolnym handlem.

Ćwierć wieku przed „Folwarkiem zwierzęcym” Orwella i 70 lat przed masakrą na placu Tiananmen i zwycięstwem „Solidarności” pisał: „Po zdobyciu władzy liderzy robotników nie zawahają się użyć karabinów maszynowych przeciw tłumom. (...) Jeśli robotnicy wygrają, to ich liderzy wkrótce staną się podobni do swoich wojskowych i kapitalistycznych poprzedników, robiąc wszystko dla utrzymania władzy, aż zostaną obaleni przez nową rewolucję”.

NAJWAŻNIEJSI SĄ LUDZIE!

Komunizm był dla Mackindera kolejną autokracją, choć nakrytą liściem figowym władzy robotników. A jakkolwiek autokracja była sprzeczna z demokracją, którą praktykował jako parlamentarzysta. Uważał, że autokracja bazuje na eskalacji przemocy wewnętrznej i zewnętrznej, uniemożliwiając pokojowe współistnienie i rozwój narodów. Tłumaczył to na przykładzie Niemiec początków XX wieku, które uważał za autokratyczne: „Niemcy cesarskie zaczęły budować imperium, a żeby to osiągnąć, rozwijały siłę ludzką; nie zmienili tej polityki pomimo tego, że pchała ich w kierunku wojny, ponieważ alternatywą była rewolucja”.

W 2022 roku te myśli prowokują refleksję o tym, jak szybko komunistyczny Związek Radziecki przeobraził się w autokratyczną Rosję Putina, byłego oficera KGB. I czy jednym z powodów inwazji na Ukrainę nie było prawdopodobieństwo rewolucji obalającej jego reżim?

Mniej znana niż Heartland i polityka Mackindera, ale równie prowokująca do myślenia jest jego ekonomia. Mackinder stworzył termin „siła ludzka” (ang. *manpower*), rozumiany jako funkcja liczby ludności i jej wydajności, która to z kolei zależy od organizacji społecznej. Dziś można by ten termin kojarzyć z produktem krajowym lub narodowym. Na siłę ludzkąj opierały się według Mackindera siła militarna i międzynarodowe znaczenie państw. Uważał on ją za ważniejszą od siły pieniądza. Ludzie i ich umiejętności znaczą więcej niż to, co można kupić za pieniądze.

Kiedy w 1920 roku Mackinder wracał od Denikina, Rosja liczyła około 130 mln mieszkańców, Stany Zjednoczone – 100 mln, Niemcy – 60 mln, a Wielka Brytania – ponad 40 mln. W kontekście demograficznym Mackinder podkreślał rosnącą siłę Rosji i malejącą siłę jego ojczyzny. Ostatni wiek w historii Rosji można podzielić mniej więcej na 50 lat wzrostu i 50 lat upadku. Już w latach 70. XX wieku gospodarka Związku Radzieckiego przestała rosnąć szybciej niż gospodarki Stanów Zjednoczonych i Europy Zachodniej. Dzisiejsza ludność Rosji jest tylko o 10 proc. większa niż 100 lat temu i o wiele starsza. Populacja Stanów Zjednoczonych Ameryki, na obszarze o połowę mniejszym, się potroiła.

IMPERIUM NA GLINIANYCH NOGACH

Organizacja społeczna jako czynnik siły ludzkiej jest w Rosji zacofana. W rankingu kompleksowości gospodarczej, mierzącej zawartość wiedzy w gospodarce, w 2020 roku Rosja zajęła 43. miejsce, a jeszcze w 1998 roku była 21. Polska w tym czasie awansowała z 31. na 24. pozycję. Gospodarka rosyjska, co najmniej od 20 lat, w uproszczeniu działa tak, że pieniądze z surowców częściowo wyciekają wraz z oligarchami do Londynu i na Cypr, a częściowo płyną na Kreml, który płaci nimi za wojsko i arsenał nuklearny i buduje z nich

rezerwy finansowe. Import jest minimalny i skupia się na technologiach, których Rosja ma mało, ponieważ gospodarka surowcowa udusiła rozwój przemysłu.

Czy znamy dziś inne produkty rosyjskie oprócz wódki i czolgów? Rosyjska gospodarka pod względem wielkości spadła na 11. miejsce na świecie, za Koreę Południową. W tym roku być może wyprzedzą ją Brazylia i Australia. Jest tylko dwa razy większa od gospodarki polskiej. Być może agresja na Ukrainę to ostatnie tantrum Rosji w układzie sił światowych.

Zacofanie organizacji społecznej w Rosji widać na przykładzie jej armii. Stary sprzęt, stare metody, połączone z brakiem motywacji i organizacji oraz barbarzyństwem. Ale konwencjonalność wojny w Ukrainie nie wynika wyłącznie z zacofania agresora. Błędne okazały się oczekiwania, że będzie to nowoczesna wojna hybrydowa. Tu znów można nauczyć się czegoś od Mackindera, który w 1943 roku pisał: „Niektórzy zdają się fantazjować na temat światowej potęgi lotniczej, która zlikwiduje floty i armie. Ale na mnie większe wrażenie robi niedawna wypowiedź praktyka lotnictwa: »Potęga lotnicza zależy absolutnie od jej organizacji lądowej«”.

Siła lądowa i morska wciąż mają fundamentalne znaczenie. Nie pomniejsza go nawet broń nuklearna, dopóki funkcjonuje jako straszak. Widzimy to w Ukrainie. Mariupol ma kluczowe znaczenie strategiczne jako port, który jednocześnie spina południowe (skupione na Krymie i wybrzeżu Morza Czarnego) i wschodnie (skupione w Donbasie) zdobyczne terytorialne Rosji.

AMBIWALENCJA, PROSTA DROGA DO PIEKŁA

Przejdźmy do reakcji świata na wojnę w Ukrainie. W 1920 roku Mackinder sprzeciwiał się brytyjskiej inwazji w południowej Rosji, twierdząc, że Moskwę musi zdobyć „słowiańska krew”. Nawoływał do wsparcia politycznego, gospodarczego i wojskowego. Podobna jest strategia państw NATO – sankcje gospodarcze i dostawy sprzętu wojskowego. Sankcje są jednak na tyle ograniczone, że wciąż zapewniają Rosji rekordowe, ze względu na ceny, przychody z eksportu gazu i ropy.

Podstawowe znaczenie, zdaniem Mackindera, ma adekwatne użycie siły w stosunkach międzynarodowych, w tym użycie jej w celu zatrzymania rozlewu krwi. Stosowanie niewystarczającej siły jest karygodnym marnotrawstwem. W 1906 roku, krótko po porażce Rosji z Japonią, Mackinder pisał: „A o nieszczęsnym i zupełnym marnotrawstwie siły, która jest tylko trochę nieadekwatna, niech wam przypomni rosyjska flota rdzewiejąca na dnie Morza Japońskiego”.

NATO wydziela Ukrainie czołgi, haubice i inny sprzęt z gorliwością godną skąpego księgowego. Jeśli celem pomocy dla niej jest pokonanie Rosji, to czy tak trudne dla generałów w Waszyngtonie i Brukseli jest wyliczenie, ile sprzętu potrzebuje ukraińska armia, by osiągnąć zdecydowaną przewagę? Może wystarczyłoby słuchać prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i jego generałów?

Problemem NATO i Zachodu nie jest brak siły militarnej, lecz ambiwalencja wobec Rosji i Ukrainy, a nawet samego Putina, najbardziej oczywista w przypadku Niemiec. Wojna zakłóca tam proces pokuty narodowej (oczyszczającej Niemców z poczucia historycznej winy wobec Rosji) podszyty liczeniem zysków z handlu i inwestycji rosyjsko-niemieckich. W szwach trzeszczy nie tylko jedność NATO i Unii Europejskiej, ale również jedność wewnątrz krajów, w tym w Niemczech i Francji, gdzie proputinowska Marine Le Pen o mało nie została prezydentem. Mackindera fascynowała heterogeniczność Niemiec na początku XX w. „Berlin nie może wybrać między celami politycznymi – Hamburg i posiadłości zamorskie czy Bagdad i Heartland”.

Brak zdecydowania, zdaniem Mackindera, doprowadził Berlin do dwóch wojen światowych niemożliwych do wygrania, bo toczonych na dwa fronty. Niepewność i podział Niemiec wciąż pokutują, a poszkodowana jest znów Europa Wschodnia.

NAJWAŻNIEJSZY TEST DLA EUROPY

Sto lat temu Mackinder sceptycznie podchodził do jedności europejskiej: „Zachodnia Europa, wyspiarska i półwyspiarska, funkcjonuje w opozycji do siły, która dąży do kontroli nad Europą Wschodnią i Heartlandem”. Jednocześnie twierdził, że inwazja ze wschodu ukształtowała tożsamość europejską: „Z Węgier [Hunowie pod dowództwem Attyli w V w. n.e.] wyruszyli w trzech kierunkach. Na północnym zachodzie zrobili tyle zamieszania wśród plemion germańskich, że wypchnęli Anglosasów za wodę do ich nowego domu na wyspie Brytania. Na zachodzie dotarli aż do Galii, ale przegrali pod Châlons, gdzie Frankowie, Goci i inne prowincje dawnego imperium rzymskiego stanęli ramię w ramię przeciwko wspólnemu wrogowi, rozpoczynając fuzję, z której powstał naród francuski. Na południowym zachodzie Attyla dotarł aż do Mediolanu, niszcząc po drodze ważne miasta rzymskie Akwileję i Padwę, których mieszkańcy uciekli do lagun nadmorskich i założyli Wenecję”.

Orientalistyczny wydźwięk tych słów, kojarzący Wschód z egzotycznym barbarzyństwem, jest oczywisty, ale trudno nie uznać wojny w Ukrainie za ogromny test solidarności Europy, którego stawką jest jej tożsamość. „Idee, które tworzą naród, a nie tylko tłum ludzi, zazwyczaj zostały przyjęte w warunkach wspólnej męki i oporu wobec siły zewnętrznej” – pisał Mackinder w 1904 roku.

Jego podejście jest globalne, świat rozumie jako organizm połączony gospodarczo i politycznie w całość. Dziś wojnę w Ukrainie musimy rozważać w kontekście miejsca Chin na mapie świata. Na początku XX wieku Mackinder obserwował rosnącą potęgę Niemiec i Stanów Zjednoczonych. Ostatni rozdział „The Geographical Pivot of History” poświęcił jednak Chinom. Przewidywał, że gdyby Chińczycy pokonali Rosję i zawładnęli jej terytorium, to „mogliby stworzyć żółte zagrożenie dla wolności świata, choćby dlatego, że połączyliby wielki dostęp do oceanu z zasobami ogromnego kontynentu, czyli zrobiliby coś, czego Rosja jako strażnik osi nigdy nie miała”.

**Jednym z problemów
wyznawców bezmyślnej
odmiany pacyfizmu
proponujących jak najszybszy
„pokój” z Putinem,
wraz z oddawaniem Rosji
różnych części Ukrainy,
jest to, że losy Europy
Wschodniej tych ludzi tak
naprawdę nie interesują**

NA ŁASCE CHIN

Przy wzroście gospodarczym Chin spadającym w kierunku 5 proc. rocznie i Stanach Zjednoczonych zdolnych do wygenerowania 3 proc. wzrostu szanse, by Chiny stały się największą gospodarką świata, drastycznie maleją. A od bycia największą gospodarką do wiodącej siły finansowej i militarnej droga daleka, bo obydwie wymagają ogólnoswiatowych wpływów i technologii, których same pieniądze nie załatwią.

Chiny są głównym partnerem gospodarczym Rosji. Nie ogłosiły wobec niej sankcji. Chiński eksport technologii do i import surowców z Rosji neutralizuje wpływ słabych sankcji zachodnich. Zatrzymanie rozwoju NATO to wspólny interes Rosji i Chin. Od aneksji Krymu w 2014 roku prawie wszystkie rezerwy walutowe Kreml inwestuje w złoto oraz w Chinach, żeby zmniejszyć uzależnienie od wrogów. Jednocześnie Rosja (i strefa wpływów rosyjskich w Azji Centralnej i Europie Wschodniej) jest kluczowym elementem chińskiej polityki zagranicznej. Budowa morskiego szlaku arktycznego, o którym decyduje Rosja, daje Chinom jedyną szansę uniezależnienia się od cieśnin Malakka i Suez, nad którymi nie mają kontroli, a którymi przepływa większość handlu chińskiego. Były dyrektor rosyjskich linii kolejowych na seminarium w Oksfordzie stwierdził kiedyś, że linie budowane przez Chiny i łączące Eurazję są inwestycją idealną, bo z natury czysto pokojową.

**Rosja Putina jak dziecko
na krześle próbuje odepchnąć
od siebie Zachód jak duży stół
z jedzeniem, którego nie lubi,
ale w efekcie tylko przesuwając
się w drugim kierunku i może
przewrócić się z krzesłem na
plecy lub głowę**

Zapewne nie widział mapy Mackindera z 1919 roku przedstawiającej wizję Wyspy Światowej połączonej zygzakami linii kolejowych i lotniczych. Dla Mackindera infrastruktura była kluczowa dla przyszłości geostrategii. Piszze, że „któregos dnia, kiedy zasoby węgla i ropy będą wyczerpane, Sahara może stać się miejscem opanowania bezpośredniej energii Słońca”.

Próba wzięcia Europy Wschodniej gwałtem pcha Rosję głębiej do Azji i skazuje na łaskę Chin. Zresztą Rosja od 30 lat coraz bardziej się azjatyzuje. Zaczęło się od odepchnięcia jej od Bałtyku i Morza Czarnego po stworzeniu niepodległych krajów bałtyckich, Gruzji, a przede wszystkim Ukrainy, 70 lat po nawoływaniach Mackindera. Centrum gospodarcze Rosji przesunęło się więc na Syberię, gdzie wydobywana jest większość surowców. W efekcie także centrum demograficzne przesunęło się na wschód, więc nic dziwnego, że wielu żołnierzy do Ukrainy przyjechało z Syberii. Rosja Putina niczym dziecko na krześle próbuje odepchnąć od siebie Zachód jak stół z jedzeniem, którego nie lubi, ale w efekcie tylko przesuwając się w drugim kierunku i może przewrócić się z krzesłem na plecy lub głowę.

Dla Mackindera w 1919 roku odpowiednie zakończenie wojny było kluczowe. „Skrawki papieru, choćby były konstytucją Ligi Narodów, nie są w dzisiejszych warunkach gwarancją, że Heartland nie stanie się znowu centrum wojny”. Ostrzegał, że „koniec obecnego nieporządku może być tylko początkiem nowej bezwzględnej organizacji”. I tak stało się za sprawą hitlerowskich Niemiec.

A jaki będzie koniec wojny w Ukrainie? Czy przy wciąż niewystarczającym wsparciu Zachodu wojska ukraińskie odepchną agresora poza granice sprzed aneksji Krymu? Czy dojdzie do sytuacji patowej i rezejmu, jak w Korei w 1953 roku, z prorosyjskimi marionetkami w Ukrainie wschodniej i południowo-wschodniej, podczas gdy zachodnia i środkowa zostaną włączone do NATO i UE, rozpoczynając nowy rozdział zimnej wojny?

A może w końcu wypłynie na powierzchnię silna opozycja w Rosji i wywoła rewolucję, jako odpowiedź na autokrację?

Inwazja Rosji na Ukrainę jest bardzo nieracjonalna pod względem gospodarczym. Ukraina nie jest dla Rosji ważna jako źródło surowców ani rynek zbytu. Celem Putina jest odzyskanie wpływów w Europie Wschodniej, jakkolwiek efekt może być odwrotny.

SEN O ZRÓWNOWAŻONYM ŚWIECIE

Jako sposób na pokój Mackinder postulował zrównoważony rozwój oparty na niepodległych państwach współistniejących w ramach Ligi Narodów, bez tyranii wolnego handlu, bez nadmiernego rozrostu międzynarodowych firm i kapitału i idącej za tym koncentracji władzy finansowej. Na siedzibę Ligi Narodów proponował Konstantynopol. Jego wizja obejmowała Indie i Chiny, choć opisywane w 1943 roku w ostatnim paragrafie artykułu znów z perspektywy brytyjskiej wyższości: „(...) tysiąc milionów ludzi starożytnych orientalnych cywilizacji zamieszkujące monsunowe ziemie Indii i Chin. Muszą wzbogacić się w tych samym czasie, kiedy Niemcy i Japonia oswajane są do cywilizacji. Zrównoważą drugi tysiąc milionów, który żyje między Missouri a Jenisejem. Zrównoważony świat ludzkości. I szczęśliwy, bo zrównoważony, więc wolny”.

Zasada zrównoważonego rozwoju według Mackindera działała zarówno na arenie międzynarodowej, jak i krajowej. Centralizacja władzy i koncentracja gospodarki były dla niego wrogiem stabilności. Twierdził, że to lokalne społeczności są kluczowe dla stabilnego i spokojnego życia narodów, i przestrzegał, że dopóki pozwoli się „wielkim metropoliom polykać najlepsze młode mózgi ze społeczności lokalnych (...), tak długo ta organizacja będzie zdominowana przez metropolie i stanie się organizacją interesów klasowych na skalę krajową”.

Mackinder ubolewał nad koncentracją i centralizacją brytyjskiego życia w Londynie, ale echo tych poglądów można znaleźć na całym Zachodzie, gdzie poczucie odrzucenia społeczności lokalnych przez metropolie stworzyło walkę polityczną tak toksyczną, że np. miliony Francuzów spoza Paryża właśnie Paryż, a nie wojnę w Ukrainie i Rosję, uważają za główne źródło zagrożenia.

Analizowanie wojny w Ukrainie z perspektywy dorobku Mackindera można krytykować jako odgrzebywanie imperialnego lub zimnowojennego sposobu myślenia. Ale jest to perspektywa globalna, w której Europa Wschodnia jest autentycznym centrum uwagi. Jednym z problemów wyznawców bezmyślnej odmiany pacyfizmu proponujących jak najszybszy „pokój” z Putinem (wraz z oddawaniem Rosji różnych części Ukrainy) jest to, że losy Europy Wschodniej tych ludzi tak naprawdę nie interesują. To oni, a nie Mackinder, traktują kraje i narody tego regionu jak pionki na szachownicy. Inni z kolei przenoszą swoje sympatie marksistowsko-leninowskie na zrozumienie lub współczucie dla ludobójczego reżimu Putina w sposób przeczący logice, a często podszyty zwyczajnym antyamerykanizmem.

W 1919 roku Mackinder pisał: „Przed wojną nauczyciele, w sporej liczbie, sprzeciwiali się nauce geografii, twierdząc, że promuje ona imperializm, tak samo jak sprzeciwiali się nauce kultury fizycznej jako przejawowi militaryzmu”. W 2022 roku – jak w książce Mackindera – demokratyczne ideały zderzają się z rzeczywistością, nie tylko na wschodzie Europy i w kolebkach nowoczesnych demokracji na Zachodzie, ale na całym świecie. Można dziś geopolityce lub geostrategii powiedzieć „idi na chuj”, ale zatopić ich nie można. ●

***Dariusz Wójcik** jest profesorem geografii ekonomicznej na Uniwersytecie w Oksfordzie i szefem światowej sieci geografii finansowej

ORKOWIE SPOD WORONEŻA

Ukraińskie ciało i miasto napadli Rosjanie i pastwią się. Ale ta historia jest o czym innym. O orkach spod Woroneża i Krasnodaru, wyhodowanej przez Putina ukrytej Rosji.

Marta Panas-Goworska, Andrzej Goworski



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Iej zimy z synkiem, 8-letnim Władkiem, rozpoczęliśmy czytanie „Władcy Pierścieni” Tolkiena i po 24 lutego orkowicie z książki zaczęli wypełzać do codzienności. W naszej pamięci rezonuje materiał, jaki na początku marca przesłał nam drohobycki dziennikarz Leonid Golberg. Ukraiński żołnierz nagrywa na nim tylko co zakończone, wygrane starcie. Przy spalonym transportercie leżą zwłoki rosyjskiego żołnierza, obok drogowej barierki drugie i już w rowie trzecie. Był to jeden z pierwszych obrazów prawdziwej wojny, zbierającej śmiertelne żniwo już 20 km od polskiej granicy. Później napływały kolejne: z Mariupola – ciężarnej, przykrytej kocem w truskawki, ojca wbiegającego na SOR z zamordowanym niemowlęciem na rękach, w końcu uchodźców z Irpinia przeprawiających się przez zniszczony most czy straszne, demaskatorskie kadry z Buczy.

NIGDY SIĘ ORKOM NIE PODDAMY!

Wracając jednak do wczesnego nagrania, zwycięski obrońca jest tam jedną wielką emocją, przeklina, ale słowa nie rażą, są raczej zasłoną dla desperacji, bo rozpoznaje, że broniąc ojczyzny, musi uczestniczyć w okropieństwach wojny. Dlatego pewnie wykrzykuje do nieba i kamery: „Po coś tu przychodził?!”. Spalone trupy Rosjan są jak ze starych grafik 3D, oble, bo to, co powiewało na wietrze, strawił płomień, i zatrzymane w dynamicznych pozycjach; ogień musiał być gwałtowny. Niemal czuć spaleniżnę. Pod tym wideo, choć żołnierz nie używa tego słowa, w komentarzach czytaliśmy po ukraińsku, rosyjsku, polsku i angielsku „ork”, „orkowie”, „orki”. Ale określenie to bodaj najmocniej wybrzmiało w języku rosyjskim, w swego rodzaju orędziu, jakie 11 marca do najeźdźców wygłosił Władimir Kliczko. Na YouTube znajdziemy je, wpisując: „Kliczko ostro do Rosjan: nigdy się nie

poddamy!”. W 1 minucie 20 sekundzie bokser mówi: „Wiedziecie, nazywają was tutaj orkami! Wszystkich!”. Wypowiedź ta stanowiła wyłom, bo wcześniej „ork” pojawiała się w odniesieniu do rosyjskich żołnierzy. Teraz dotyczyło całego narodu.

CV Z MORDORU

Kim są orkowicie? Dajmy spokój etymologom czy powiązaniom ze starymi bóstwami. Dziś, dla wszystkich, może z wyjątkiem mieszkańców krajów totalitarnych, będą to postaci z „Hobbita” (1937) czy „Władcy Pierścieni” (1954). Autor tych powieści, Anglik J.R.R. Tolkien, czerpał z różnych mitologii i wykreował Śródziemie, które ze skwapliwością demiurga zasiedlił rzeszą różnych bohaterów, w tym orków właśnie. Są oni humanoidami, zazwyczaj niższymi od człowieka, przygarbionymi, o zdeformowanych kształtach. Rozrośnięte barki, przydługie ręce, krótkie, krzywe nogi, szerokie

karki i twarze o płaskich nosach, skośnych oczach i ostrych, powykrzywianych zębach. Tolkien nie bał się wieloznaczności i tak jak w prawdziwych mitach zaproponował dwie koncepcje ich pochodzenia. Jedna głosi, że zostali stworzeni w pradawnych czasach przez złego ducha na przekór dobrem istotom. Inna wywodzi ich od elfów, a więc najstarszych, najmądrzejszych i najpiękniejszych mieszkańców Śródziemia. Przez wieki poddawani torturom, ztratili poczucie dobra i zła i ulegli degradacji. Ta wizja inspirowała później nie tylko miłośników fantasy, ale też tych, którzy doszukiwali się aluzji do przedstawicieli konkretnych narodów czy grup społecznych, ale o tym przyjdzie nam jeszcze powiedzieć. Orkowicie wyszli więc z kazamatów zdeformowani fizycznie i psychicznie. Nadawali się tylko do żołnierki i ciężkich, nieskomplikowanych prac fizycznych. Te cechy doceniło dwóch wielkich złoi Śródziemia: Sauron z Mordoru oraz Saruman z Isengardu. Obaj, i przedwieczny zły duch, i zdeprawowany czarodziej „hodowa-

li” orków, aby uzyskać lepsze walory bojowe. Tak też powstały rasy Uruk-hai. Ich przedstawiciele byli wyżsi, wytrzymalsi, mniej pokraczni, w odróżnieniu od pozostałych orków nie lękali się słońca, a przy tym byli dumni i żądni władzy. Zresztą ta cecha byłaby jedyną z tych naznaczonych ziarnem dobra; nieliczni orkowie umieli się sprzeciwić dowódcom, gdy ci traktowali ich jak przysłowiowe mięso armatnie. Przy tym wszyscy jak jeden mąż byli kłótiwi, wystarczył byle drobiazg, aby sięgali po maczugi i rzucali się na siebie. Tu ważne będą również dość prozaiczne cechy. Oszukiwali, wykradali zdobyte wojenne i robili wszystko, żeby je ukryć. Karność w ich szeregach można było uzyskać przemocą i zastraszaniem. Żyli w brudzie, otaczali się śmieciami, nie tworzyli kultury wyższej, nie znali pieśni, a tym bardziej literatury, i jedynie sięgali po wojenne bębny i rogi. Za to pili na umór.

Niejasna pozostaje też kwestia rozrodczości. Gdzieś, poza światłem narracji, istniały orkowe kobiety, bo kilkukrotnie w dziełach Tolkiena natrafimy na sugestie, zgodnie z którymi mieli rozmnażać się tak jak elfy i ludzie. Jednak ani w jego książkach, ani w ekranizacjach, autorstwa Nowozelandczyka Petera Jacksona orkini nie spotkamy. No i, rzecz jasna, nie byli postrzegani jako indywidua, ich trupów nikt nie liczył. Jeśli dostępu do murów bronila fosa, ginęli dopóty, dopóki ich ciała nie zasypały rowu i mogły przejść kolejne zastępy.

PERSPEKTYWA OFIARY

I tu pamięć sama podsuwa analogie do materiałów oglądanych w mediach społecznościowych. Oto więc ośnieżony las, po jednej stronie polany Ukraińcy, po drugiej trupy Rosjan i tylko jeden, jedyny ocalały. Jest bez szans, obrońcy okazali się lepszymi żołnierzami, przekrzykują się, znów pada pytanie, po co przyszedł na ich ziemię. A poniżej, w opisie i komentarzach, „orki” i orkowe hasztagi. Znajdziemy je też pod zdjęciami z nor, które Rosjanie wykopali w Czerwonym Lesie nieopodal Czarnobyła. Walają się paczki żywnościowe z przeterminowanym jedzeniem, jakiś kłapek w błocie, dookoła rozrzucone śmieci.

Albo też nagrania z kamery przemysłowej z punktu pocztowego na Białorusi, gdzie okupanci nadawali skradzione w Ukrainie przedmioty. Oddzielny typ materiałów z odniesieniami do orków to filmiki, na których niszczony jest rosyjski sprzęt. Z czasem będzie ich coraz więcej, w końcu wręcz zasypiani zostaniemy latającymi wieżami czołgowymi. Potem ich liczba zmniejszy się, ale po przekazaniu Ukraińcom systemów wyrzutni HIMARS znów będą częstsze i tylko z 2 sierpnia pochodzą m.in. „Orki gryzą trawę”, „Orkowie nie będą dziś spać” czy „Kozacy nastukają orkom”.

Pojawiają się i nagrania przechwyconych połączeń między rosyjskimi żołnierzami a ich bliskimi. Niosą one nowe treści, ukazując orkowe oblicze Rosjan, niezaangażowanych bezpośrednio w konflikt. Rozmowa, w której żona mówi do męża: „Gwałć ukraińskie baby, tylko się zabezpieczaj”, zapada w pamięć. Ale ostatnio największą popularnością cieszą się vlogi i znany aktor i youtuber, urodzony w Mariupolu Aleksiej Durniew, dwa odcinki poświęcił orkom. Zamieszczony 17 kwietnia i mający 3,3 mln odsłon materiał rozpoczyna się od słów: „Masz ochotę na rację żywnościową orka?”, po czym z towarzyszącą mu dziewczyną próbuje zjeść zawartość takiego pakietu. W nagraniu z 6 maja „Jak żyją orkowie” skupia się już nie na żołnierzach, ale rosyjskich celebrytach. Tu, podobnie jak 3 mln innych widzów, możemy zapoznać się z instagramerką z Petersburga Nastią Iwlejewą. Później Durniew zaprezentuje wideo z kanału aktorki i celebrytki Kseni Borodiny, która oznajmia, że jest zakupoholiczką i cierpi ze względu na braki markowych towarów, ale pozostałe ma „pochuj”, czyli o resztę nie dba. W nagraniu pojawi się komik Saburow i muzyk Kirkorow. Ukraiński

youtuber ich także nazwie orkami, choć daleko im do Tolkienowskiego wzorca.

ORKOWIE W LENINGRADZIE

Stąd tylko krok, a znajdziemy się po drugiej stronie lustra i staniemy przed czymś, co niełatwo zrozumieć. Wpiszmy w wyszukiwarkę YouTube’a frazę „Zoya orki”. Otworzy się krótkie nagranie, na którym czarnowłosa, 26-letnia Rosjanka śpiewa z akompaniującym jej gitarzystą w tle. Dziewczyna posługuje się pseudonimem Zoja, choć faktycznie nazywa się Ksenia Rudienko i pochodzi z Krasnodaru na Kubaniu, a więc z Kozaczyzny. Artystka, co jest tu kluczowe, występuje w znanym rosyjskim zespole Leningrad, którego założycielem i frontmanem jest Siergiej Sznurów alias Sznur. Twierdził on, że jego muzyka to „prawdziwa rosyjska sztampa, która łączy ludzi z różnych warstw społecznych, światopoglądów i kierunków politycznych”.

Utwory Leningradu mogą się podobać chociażby za rockandrollowy sznyt i liczne wulgaryzmy, ale – jak przekonuje rosyjskojęzyczny, żydowski poeta i eseista ukraińskiego pochodzenia i niemiecki lekarz w jednym, Demian Fanszel – sam Sznur to człowiek zarazem „dobrze wykształcony i tchórzliwy, wie, czego trzeba władzy”, i kiedyś jeszcze „próbował siedzieć na dwóch stołkach, ale dziś to całkowity podnózek Kremla”.

Mając to w pamięci, wsłuchajmy się w słowa pieśni „Wyszli orki iz Mordora”, którą na kozacką nutę wykonuje Zoja: *Wyszły orki z Mordoru
Tuż o świcie
Nucąc piosnkę razem
Orki, bojowe orki
I o losie i obcyźnie
I o matce w domu
I o orkowej maczudze
Żeby elfy thuc
Cały świat – w proch, pozostałe pochuj
Cały świat, tak, w proch
Pozostałe – pochuj*
Czy to kpiarski, ale w swej wymowie antywojenny song? Został zamieszczony pod koniec kwietnia, a więc w czasie, gdy „ork” jednoznacznie kojarzyło się już ze wszystkimi Rosjanami i całą Rosją, która dokonała bandyckiej inwazji na Ukrainę. To jednak ładność utworu zdaje się temu przeciwieć. Zaskakuje również tak otwarte zestawienie Tolkienowskich postaci i trudno sobie wyobrazić, żeby Rosjanin, nawet wierny humanistycznym i antywojennym ideałom, na poważnie rodaków-orków przeciwstawiał Ukraińcom-elfom. Ale potraktujemy to jako ironię, a wyda się prawdopodobiejsze. Poza tym, jak u celebrytki Borodiny, wybrzmiewa tu znów „pochuj”, czyli „mam to gdzieś”, „nie potrzebuję tego”. Byłaby to odpowiedź na „Russkij wojennyj korabl, idi na-

i atosznikami Rosjanie nazywają Ukraińców broniących ojczyzny. Jeśli zaś włączymy sortowanie według popularności, przeczytamy m.in. „Uwielbiam zabijać elfy” czy „Nigdy nie lubiłem elfów, ale może nie potrafię ich gotować”. I rozleje się morze podziękowań od Rosjan utożsamiających się z... orkami.

QUI PRO QUO

Fanszel zdaje się zgadzać z odczytaniem, zgodnie z którym część Rosjan utożsamiałaby się z orkami, i przypomina, że coś podobnego już się wydarzyło, ale dotyczyło nie napastników, ale obrońców. I kiedy Rosjanie zajmowali Krym, ich propaganda nazywała Ukraińców „ukropami”. Słowo to pierwotnie oznaczało po prostu „koper” i część ochotników walczących po stronie Kijowa przypieła naszywki z wyrysowaną rośliną. „Tak, jesteśmy ukropami – odczytuje ten gest Fanszel. – I tak, jesteśmy po jasnej stronie mocy”.

Ale historia rosyjskich orków okazuje się dłuższa. Jeszcze przed wojną 2014 roku rosyjski dziennikarz i analityk polityczny Leonid Berszidski zamieścił tekst „Moskwa pochoża na Mordor”, „Ukraina – na stranu chobbitów” (Moskwa przypomina Mordor, Ukraina – kraj hobbitów). Pisał go jako redaktor zarządzający kijowską odsłoną portalu Forbes i dowodził, że w Rosji ludzi o mentalności orków spotyka się na każdym kroku. Podał też przykłady wśród posłów do Dumy – Irina Jarowa, która w 2013 r. stała się twarzą projektu karania za „rehabilitację nazizmu”, czy Witalij Milonow, który nawoływał do przyłączenia do Rosji Charkowa, Doniecka i Odessy. Zabawne, że dwa miesiące przed tą publikacją w Moskwie powołano kanapową partię nacjonal-tolkienistów. Ruch ten czerpał z nieprawdziwej, choć w niektórych kręgach fantasy popularnej koncepcji, jakoby Tolkien zakładał istnienie ludzkich ras, co symbolicznie przestawił w powieściach, i aktywnie wspierał walkę między rasami lepszymi i gorszymi, reprezentowanymi przez narody ZSRR.

Zwolennicy tego konceptu twierdzą, że opóźnienia w tłumaczeniu na rosyjski „Hobbita” czy „Władcy Pierścieni” były celowe, bo radzieccy sekretarze mieli świadomość zawartych tam tajemnic. Oprócz tego interpretują słowa Reagana z 8 marca 1983 r., gdy Związek Radziecki nazwał „imperium zła”, jako odwołanie do świata orków. Rosyjski politolog i analityk bliski Kremlowi przekonuje nawet, że amerykański prezydent pierwotnie użył określenia Mordor.

Niejasne jest, co sądzą o tym moskiewscy nacjonalisci-tolkieniści, ale w 2011 r. ukazała się poczytna i niezła literacko książka Wiktora Pielewina „S.N.U.F.F.”. Motorem tej powieści są relacje między krajami, które można utożsamiać z Rosją i Ukrainą. Tę ostatnią zamieszkują orkowie, którzy nie mają jed-

riła Ješkowa. Historia tam opisana jest polemiką z Tolkienowską wizją Śródziemia. U Ješkowa orkowie są koczownikami, którzy przeistoczą się w pracowników fabryk podczas nieuchronnej rewolucji przemysłowej, zaś elfy, hobbici i zwłaszcza czarodzieje to feudalowie broniący archaicznego modelu życia. Iście marksistowska perspektywa. Przykłady te każą przypuszczać, że orkowych znaczeń jest jeszcze więcej. Skąd się tyle wzięło i dlaczego Rosjanie identyfikują się z tak odrażającymi stworami? Jedna z odpowiedzi prowadzi do czasów wojny w Afganistanie. Wojska, które wysłano wtedy do walki, nazwano Ograniczonym Kontyngentem Wojsk Radzieckich w Afganistanie. Wielu skracало tę nazwę do orków.

FASZYŚCI I ZBRODNIARZE

A stąd blisko już do twardego, by nie rzec, żołnierskiego postrzegania świata. Z takiej perspektywy wychodzi też współczesny rosyjski pisarz Igor Sawieljew. Pochodzący z Ufy literat, rocznik 1983, jest jednym z kilku rosyjskich ludzi pióra, którzy sprzeciwili się kremłowskiej agresji, a swoje zdanie wyraża wprost na demonstracjach, w mediach społecznościowych, jest też pomysłodawcą projektu „Miasto bez Z”. Rzecz jasna ma to swoje konsekwencje i kilkakrotnie był zatrzymany i przesłuchiwany. I zapytany o rosyjskich orków nie szuka wyjaśnień w kulturze. W 2022 roku – twierdzi – wszyscy zobaczyliśmy oblicze „ukrytej Rosji”. Rosła ona przez dekady, karmiona socjalnymi nierównościami, których korzenie sięgają jeszcze ZSRR. Jej rozwojowi sprzyjały i lata 90., i „putinowski reżim, który w ciągu 20 lat nic praktycznie nie zrobił pozytywnego, aby wesprzeć mieszkańców Rosji”. W efekcie wytworzyła się „ogromna warstwa, praktycznie zdegenerowana – uważa pisarz – to miliony ludzi, którzy nie mieli perspektyw, byli pozbawieni zwyczajnego wykształcenia, zwyczajnej pracy, [a] tam, gdzie mieszkali, były tylko epidemie alkoholizmu, narkomanii, przestępczości”.

Tu Sawieljew wraca do Tolkienowskich analogii. „W początkach wojny w Ukrainie reżim poszedł dalej i zaprojektował eksperyment z zakresu socjalnego darwinizmu, szokujący amoralnością [i] na wojnę rzucił głównie ludzi z tej »ukrytej Rosji«”. To nie pozostało bez wpływu na ich zachowania na froncie i „stąd ci, którzy jadą na czołgach po zniszczonych ulicach Ukrainy, tak przypominają orków”. Dlatego też „możemy mówić nie tylko o niesamowitej amoralności samej wojny, wywołanej przez Putina, ale i o amoralności owego darwinizmu społecznego i »selekcji«, której Putin poddał mieszkańców swojego kraju, bez zmuszenia oka wysyłając część z nich jako mięso armatnie”.

Trudne, wnikliwe i odważne słowa, ale na koniec zapytajmy jeszcze starego Ży-

– Lonieczko, kim są rosyjscy orkowie?

– Oni nie są orkami, tylko faszystami

i zbrodniarzami. Tak się wydaje, że świat chce

pozbyć się problemu i nie chce wiedzieć,

czym jest na prawdę Rosja

chuj””? Taka interpretacja może wydać się naciągana, ale spójrzmy na ponad 5 tys. komentarzy pod utworem, mającym 1,5 mln wyświetleń. Wśród wyrazów zachwytu i nielicznej tylko krytyki najnowsze wpisy brzmiały: „Och, nie pokonać urkom orków” czy „Atosznicy gorsi są od orków”. Urkami

nak wiele wspólnego z bohaterami Tolkiena. Za to Pielewin rozpisuje się o ich niższości cywilizacyjnej i książka ta zrobiła później wiele złego w postrzeganiu Ukraińców w Rosji. Tu należałoby także przypomnieć jeszcze jedną powieść, wydanego w Rosji w 1999 r. „Ostatniego władcę pierścieni” Ki-

da z Drohobycza, jak zwykł siebie nazywać przywoływany już Leonid Golberg:

– Lonieczko, kim są rosyjscy orkowie?

– Oni nie są orkami, tylko faszystami

i zbrodniarzami. Tak się wydaje, że świat chce pozbyć się problemu i nie chce wiedzieć, czym jest naprawdę Rosja. ●

NASZA EUROPA

Nie tylko Grupa Wagnera

KREML STAWIA
NA NAJEMNIKÓW,
BO ARMIA NIE DAJE
RADYRosyjska niezależna redakcja Meduza dotarła do
kilkudziesięciu najemników walczących w Ukrainie.
Opowiadają ze szczegółami o chaosie w rosyjskiej armii.

Redakcja Meduza

Dla najemnika o pseudonimie „Morela” wojna zaczęła się dzień wcześniej niż dla innych, bo 23 lutego.

W połowie grudnia spotkał się w kawiarni z werbownikiem z prywatnej firmy Reduta. – Powiedzieli nam, że przed Nowym Rokiem jedziemy do Donbasu – wspomina. Ostatecznie do Ługańska trafił dopiero w styczniu, wtedy też podpisał kontrakt z Redutą. – Przez miesiąc patrzyłem, jak przygotowuje się wojna – wspomina z nieskrywaną satysfakcją „Morela”.

Nocą 23 lutego jego oddział wyruszył na zwiad. – Przeprawiliśmy się przez Doniec i w ciemnościach przeszliśmy na tyły Ukraińców. Człógaliśmy się wokół Ługańskiej Stolicy, od dwóch dni lał marznący deszcz, a my leżeliśmy na brzuchach. Dowódca nie pozwolił nam wtedy zdjąć trzech Ukropów [tak najemnicy nazywają ukraińskich żołnierzy].

Zwiad posuwał się głębiej. – Minęliśmy osadę Bołotnoje, wysłędziliśmy pozycje wroga – wspomina „Morela”. – I wtedy się zaczęło! To my umożliwiliśmy pierwsze przerwanie linii obrony, krótko mówiąc, to my rozpoczęliśmy tę wojnę.

Na początku marca operującą na północy Ukrainy oddział „Moreli” trafił na umocniony ukraiński posterunek. – Gdyby nie ten jebany posterunek... Śnieg stopniał i wszędzie leżały ciała naszych chłopaków – wspomina najemnik. – Mieli tam ukryty czolg i jak wałnął, to jeden z naszych dostał w policzek odłamkiem wielkości pudełka zapalek!

Wojna trwała już od paru tygodni, a tu, jak mówi „Morela”, wciąż ani słyhu o Grupie Wagnera, najsłynniejszych rosyjskich najemnikach, którzy walczyli już w Donbasie przed ośmiu laty.

PRIGOŻYN KLÓCI SIĘ Z
MINISTERSTWEM OBRONY

W lutym wagnerowcy nadal nie wybierali się do Ukrainy – relacjonują Meduzie weterani rosyjskiej prywatnej firmy wojskowej i osoby bliskie dowództwu.

W przededniu wojny stosunki Jewgienija Prigożyna – biznesmena z kręgu samego Władimira Putina, jak mówią, zarządzającego najemnikami – z kierownictwem kraju się skomplikowały. Popadł w konflikt z rosyjskim ministerstwem obrony i nawet z administracją prezydenta.

Prigożyn skrytykował m.in. pierwszego zastępcę szefa administracji prezydenta Federacji Rosyjskiej Siergieja Kirijenkę, członka nowego, ukształtowanego po 24 lutego „wewnętrznego kręgu” Putina, a także nadzorowaną przez Kirijenkę sekcję polityki wewnętrznej administracji.

Prigożyn rzucił uwagi typu „kremłowski technokrati partacz”, nie cieszyło go też popieranie przez Kreml gubernatora Petersburga Aleksandra Biegłowa, z którym był od dawna skonfliktowany.

Z ministrem obrony i kolejnym członkiem „wewnętrznego kręgu” Putina Siergiejem Szojgu Prigożyn pokłócił się z dwóch powodów. Po pierwsze, skrytykował działania armii rosyjskiej w Syrii, twierdząc, że „mogły być znacznie efektywniejsze”. Jego zdaniem armia rosyjska walczy „przestarzałymi metodami” (w Syrii działała także Grupa Wagnera).

Z kolei Szojgu nie podobało się to, jak Prigożyn, zwany „kucharzem Putina”, bo działający od lat w branży żywnościowej, czerpał zyski m.in. z kontraktów na zaopatrzenie armii. W 2018 r. rosyjska sekcja BBC doniosła, że Prigożyn stracił większość kontraktów z ministerstwem. Według stacji mogło to być spowodowane konfliktem z Szojgu. Jednak spółki Prigożyna zachowały część kontraktów, a od czerwca 2022 resort nadal podpisywał z nimi umowy. Niemniej spór ochłodził stosunki Prigożyna z Putinem.

– Przed 24 lutego Prigożyn bezskutecznie próbował dotrzeć do swoich kontaktów w Zarządzie Głównym Sztabu Generalnego – opowiada dziennikarz śledczy Bellingcat Russia Christo Grozew. – Udało mu się dopiero po rozpoczęciu inwazji.

W rezultacie Grupa Wagnera nie szła do udziału w „operacji specjalnej” – nawet po jej rozpoczęciu werbownicy informowali chętnych, że na razie nie zwiększają naboru. – Prigożyn nie angażuje się w żaden sposób w Ukrainie – mówił w pierwszych dniach wojny Meduzie jego znajomy. – Powiedział, że zrobi to tylko na osobiste polecenie Putina, z którym inaczej niż online nie komunikował się od pół roku. Od pół roku Putin nie dopuszczał do siebie nikogo.

LUDZIE Z CZARNEJ LISTY

W pierwszych tygodniach wojny wagnerowców zastępowała na froncie właśnie Reduta. Jak wspomina jej najemnik: – Cały Ługański i Donieck zajmowały oddziały Reduty. My działaliśmy na kierunku Charków, a inni z naszych ruszyli przez Białoruś na Kijów. Z tym że nie znamy się

nawzajem, jest tu mnóstwo różnych ludzi. Wracająca z Charkowa do Ługańska kolumna Reduty była ogromna: UAZ-y, autobusy. To byli wszystko reutowcy, tyle że z różnych oddziałów – setki ludzi.

Ilumowcy, Chuliganie, Wilki, Piechota Morska, Topory – to nazwy jednostek Reduty. Przed „operacją specjalną” zajmowali się wyłącznie ochroną obiektów za granicą, ale wiosną 2022 formacja szybko się rozrosła. W niesłychanym pośpiechu formowano i słano do Ukrainy kolejne jednostki Reduty. Szukając chętnych, sięgnięto po czarne listy żołnierzy i dowódców, którzy nie przeszli kwalifikacji lub zostali zwolnieni dyscyplinarnie.

Np. Iwan Michejew, dowódca liniowy, pseudonim „Północ”, trafił na czarną listę Reduty w 2020 r. – Odszedł, trzaskając drzwiami, a teraz znów dowodzi – dziwił się najemnik, który kiedyś służył pod nim. W ramach umowy z ministerstwem został pospiesznie przywrócony. – No cóż, potrafi strzelić focha, ale przynajmniej to zawodowy oficer.

W pierwszych dniach wojny mały oddział Północy przekroczył granicę białorusko-ukraińską i dołączył do idącej na Kijów kolumny. Niemal natychmiast ponieśli duże straty. – Trafili pod bratobójczy ogień. Dwie poruszające się równoległe kolumny zaczęły strzelać do siebie – opowiada towarzysz Michejewa. – Szwankowały komunikacja i koordynacja.

Ofiary bratobójczego ognia udało się wywieźć z Ukrainy. Ale dowódca zmarł 20 marca na stole operacyjnym.

„PAŃSTWO WROBIŁO NAS
WSZYSTKICH”

Prywatna grupa Reduta, obecna na wszystkich liniach frontu w Ukrainie, jest w pełni kontrolowana przez ministerstwo obrony. – To formacja podlegająca Głównemu Zarządowi Wywiadu – mówi Meduzie werbownik, pseudonim „Cybard”, który pracuje na poligonie Trigulaj w obwodzie tambowskim. Potwierdza jego słowa źródło zbliżone do kierownictwa Grupy Wagnera.

O tym, że za Redutą stoją wysocy rangą wojskowi, pisała też „Nowaja Gazieta”, która jako pierwsza poinformowała o istnieniu tej prywatnej formacji. Sugerowała m.in., że działaniami Reduty kierować może były zastępca dowódcy 45. pułku (potem brygady) Konstantin Mirzajanc. On sam zaprzeczył, ale żołnierze Reduty walczący teraz w Ukrainie twierdzą, że był z nimi na froncie. „Chłopcy, przesramy tę wojnę i nie będzie już Federacji

Rosyjskiej”, cytowali Mirzajancja najemnicy. „Toczymy tu wojnę z całym światem”.

Do tej 45. brygady włączano przeformowane po stratach pod Kijowem oddziały Reduty. Żołnierzom proponowano przejście na służbę kontraktową – zamiast kontraktów z prywatną grupą, krótkoterminowe kontrakty z armią rosyjską. Było wielu chętnych. Według jednego z najemników masowy transfer reutowców do służby kontraktowej nadzorował wiceminister obrony Junus-biek Jewkurow, kiedyś prezydent kaukaskiej Inguszetii. Na nasze pytania o Redutę nie odpowiedział ani on, ani nikt w ministerstwie.

Z reutowców, którzy podpisali kontrakt z armią, sformowano na bazie 45. brygady powietrznodesantowej nowy, siódmy oddział, nazwany Siekiery. – Żeby wszystko szło przez ministerstwo, żeby było wsparcie i żeby nie było głupich pytań – wyjaśnia najemnik.

Niewiele to dało. – Państwo wrobiło nas wszystkich, ranni żołnierze myśleli, że Ojczyzna jest z nimi, a oni nawet zlikwidowali odszkodowania za rany! – skarży się najemnik Reduty, który przeszedł na krótkoterminowy kontrakt. – Płacą tylko za ciężkie okaleczenia.

Za pierwszy miesiąc służby kontraktowej jeden z reutowców zamiast obiecanych 1,8 tys. dol. dostał niespełna 50 tys. rubli. Inny nie dostał nic. – Pieniędźmi nas skusili, odszkodowaniami. Są mi winni ponad 10 tys. dol. – gażę za półtora miesiąca, plus za walkę, plus 10 tys. dol. odszkodowania za ranę.

– Chcę tego, co mi się należy, ale jestem bezsilny! – ciągnie z żalem najemnik. – Ufam już tylko sobie i mojemu AK-47.

GDY DOWÓDCA OKAZUJE
SIĘ TĘPAKIEM

Żołnierze Reduty walczący w Ukrainie byli zdumieni żenującym stanem regularnej armii i skalą strat. Rozmawia z nami doświadczony najemnik.

– Żal mi tych 18-latków podpisujących kontrakty z wiarą w kraj i swojego dowódcę, który okazuje się zwykłym tępakiem z wielkimi pagonami. Kiedy zobaczyli na naszym przykładzie, że można zdobywać miasta i punkty oporu bez strat, byli w szoku. W rosyjskiej armii ludzie giną masowo i na darmo. Wojsk powietrznodesantowych jako rodzaju sił zbrojnych już nie ma – w wielu kompaniach po pierwszych miesiącach wojny zostało po kilkunastu żołnierzach, a powinno być 100.

Najemnicy z Reduty widzieli, jak 11 maja Ukraińcy pokonali Rosjan próbujących przeprawić się przez rzekę Doniec. Powodem klę-

NASZA EUROPA

• Świeży mural wystawiający Grupę Wagnera, centrum Belgradu

FOT. PIERRE CROM/GETTY IMAGES



ski były błędy taktyczne rosyjskiego dowódcy.

– Na naszych oczach zniszczyli 66 wozów bojowych, po prostu je spalili, razem z ludźmi [czyli mogło zginąć nawet 200 osób] – wspomina żołnierz Reduty. – Poza tym, kiedy ich już nieźle przetrzepali podczas pierwszej próby sforsowania Dońca, usłysze-
li: „Chłopaki, nie marudźcie, znajdziemy inne miejsce na przeprawę!”.

Grupa najemników Reduty zdobyła pontony i nocą ruszyła na drugi brzeg na rozpoznanie. – Wspięli się pod ostrzałem, znaleźli miejsce na przeprawę i wrócili, a dowódcy każą iść w drugą stronę. Dlaczego? Bo już nie mamy komu pomagać. Kilkadziesiąt ciężkich wozów bojowych zamienionych w złom, a ludzi została garstka – opowiada ich kolega.

Straty poniosły też oddziały Reduty. – Ruszyliśmy na Berestowo, żeby zamknąć okrążenie i przebić drogę dla zaopatrzenia – opowiada jeden z reductowców. – A potem nas odparli. Straty takie, że można oszaleć. A co pokazują w telewizji? Gdyby tak było naprawdę, zdobylibyśmy już nie Kijów, ale całą Polskę!

Reduta współdziałała z innymi oddziałami najemników formowanymi pod nadzorem wojska. Co najmniej dwa oddziały po 200 żołnierzy przygotowano do wysłania do Ukrainy na poligonie w chutorze Wesieli koło Rostowa nad Donem. W pierwszych dniach wojny wkroczyły one do Ukrainy przez granicę białoruską. Na przedmieściach Kijowa najemnicy zostali do końca marca, kiedy wojska rosyjskie wycofały się spod ukraińskiej stolicy. Po odejściu Rosjan na jaw wyszły zbrodnie wojenne popełnione na tych terenach.

Teraz pododdziały reductowców przeniosły się do Donbasu. Ale opowiadają nadal o braku specjalistów, danych wywiadowczych i „nadmiernych” stratach.

– Raz najemnicy, którzy wkroczyli do Ukrainy przez Białoruś, zanim się obejrzel, stracili przed właściwą bitwą dwa czołgi – relacjonuje nasz rozmówca. – Jeden wjechał na minę. Przydzieleni im saperzy tylko wzruszyli ramionami. „Nie możemy oczyścić wam drogi. Co my możemy zdziałać w piątkę?”. Drugi czołg dostał rakietą przeciwpancerną jeszcze przed zajęciem pozycji. A w okolicy Iziumu dostali raz mapę terenu tuż przed bitwą. Czyli dowódca tak naprawdę nie znalazł topografii terenu!

WAGNER WCHODZI DO GRY

Dopiero pod koniec marca pojawili się na froncie najemnicy z Grupy Wagnera. We-

dług świadka rekrutacja do nowych oddziałów przebiegała w cudaczny sposób. Według źródeł zbliżonych do ministerstwa obrony nie organizowało jej kierownictwo grupy, tylko wojskowi, którzy przejęli kontrolę nad całym procesem, m.in.

częścią werbowników i „strefą filtracji” na poligonie Molkino.

Sięgnięto po czarne listy usuniętych i odrzuconych. Według byłego dowódcy oddziału wagnerowców od 2015 r. mogło trafić na nie od 500 do tysiąca ludzi. Ich także posłano na ukraiński front.

– W ministerstwie mówili, że potrzebują już

wylansowanej marki, a nabór pod nią zrobili sami – relacjonuje nasz rozmówca z kręgu wagnerowców. – Ale kiedy przejmujesz franczyzę, musisz przestrzegać jej zasad i szanować etykę korporacji. A oni przestali nawet testować kandydatów na narkotyki.

Zmiany zaszyły też w Molkino, gdzie prowadzi się rozmowy kwalifikacyjne do Grupy Wagnera. – Teraz „na filtrze” nie działa jedno biuro, tylko kilka struktur – opowiada jeden z kandydatów. – Chętnych więcej niż kiedykolwiek.

„NIE O PIENIĄDZE, TYLKO O NACIĘCIA NA KOLBIE”

16 kwietnia 2022 deputowany do Dumy z ramienia Jednej Rosji Witalij Milonow opublikował wspólne zdjęcie z Jewgienijem Prigożynem. Obaj w mundurach połowych, uśmiechnięci. W tyle budynek szkoły nr 2 w Pierwomajsku. Ledwie 12 kilometrów dalej, pod Popasną, ginęli już wtedy najemnicy z Grupy Wagnera.

W kwietniu – 50. dnia „operacji specjalnej”, precyzuje znajomy Prigożyna – po niepowodzeniach na froncie ministerstwo obrony zmusiło Grupę Wagnera do wycofania części najemników z misji zagranicznych w Mali, Syrii i Libii i przeniesienia ich do Ukrainy. Było to zapewne podyktowane poważnymi stratami ponoszonymi przez oddziały sformowane z ludzi z czarnych list. – „Piątka” Wagnera była wtedy w Afryce – wspomina żołnierz Reduty, który walczył w Ukrainie razem z wagnerowcami. – Z „odrzuconych” sformowali oddział i wysłali do Mariupola. Z jakiegoś powodu ci faceci rozpalili nocą ognisko i rozwalili ich własna artyleria. No i potem zaczęli przenosić na front ludzi z Afryki.

Rozkaz wyjazdu do Ukrainy dostali też najemnicy z „podstawowego składu” wagnerowców, urlopowani wiosną 2022. – Oni w ogóle się tam nie wybierali – wspomina ich kolega. – Potem, w kwietniu, kompletna zmiana, jeszcze wczoraj włóczyli się, snuli wakacyjne plany, a tu znów służba, gdzieś koło Lisiczańska.

– Część „zawodowców od Wagnera” wyjechała do Ukrainy nie na rozkaz, tylko z powodów ideologicznych – dodaje kolega. – Wielu z nich jest pochodzenia ukraińskiego, z Lisiczańska, Popasnej. Poszli bić Ukro-
pów, żeby pomścić swoich, poległych w latach 2014-15.

– Jeden z moich kolegów załatwił ich już ponad 100, ma ponad 100 nacięć na swoim karabinie snajperskim. Do końca wojny chce ich mieć 500. Nie walczy o pieniądze, tylko o nacięcia na kolbie. Jego rodzina zginęła tam podczas ostrzału w 2014 r.

Najemnicy nazywają ich Ligą lub Ligą Weteranów. Trzej nasi rozmówcy potwier-

dzają, że została ona sformowana w Molkino na bazie kadry Grupy Wagnera. I precyzują, że to elitarna, tzw. orkiestrowa jednostka specjalna, obecnie kontrolowana przez wojsko.

„GDYBYM SAM NIE BYWAŁ W TAKIEJ CZARNEJ DUPIE, NIGDY BYM NIE UWIERZYŁ”

Usunięci swego czasu z Grupy Wagnera są wykorzystywani jako główna siła uderzeniowa, wspierana oddziałami powietrznodesantowymi. – Przydzielają te grupy walczącym na pierwszej linii pododdziałom armii, jak sprzęt na wynajem, na najtrudniejszych odcinkach frontu – mówi były dowódca wagnerowców.

Dlatego wagnerowcy ponoszą ciężkie straty. – Podczas pierwszego uderzenia na Mariupol po prostu ich rozpieprzyli – mówi mężczyzna, który stracił w tej bitwie dwóch kolegów. Opowiada nasz rozmówca z kręgu wagnerowców:

– Jakiś wojskowy mądrała wykombinował, że posle tę „orkiestrę” samym środkiem, niech szturmują fortyfikacje bez wsparcia artylerii. Bez wsparcia lotnictwa i artylerii przeciwko bunkrom i moździerzom wroga! Wytlukli jakieś pół składu. Rozkazami zmusili ich do walki. Ale dowódca przydzielony najemnikom zawsze ma wyjście, może np., powołując się na regulamin, odmówić wykonania rozkazu. A jeśli robi tępo, co mu każe góra, wiedząc, do czego to doprowadzi... może narazić się na przykre konsekwencje.

– Ich dowódca był kompletnym analfabetą, to, jak organizował akcje, powodowało ogromne straty. No to go „wyzerowali”, tam, w obozie, na bazie w Donbasie. To było jak wydanie wyroku – wspomina weteran z Grupy Wagnera, który znalazł osobiście ponoć straconego dowódcę. – Działali zgodnie z prawem wojennym.

Dwaj inni nasi rozmówcy twierdzą, że ten nieudolny dowódca zginął już po wycofaniu do Rosji, „w niejasnych okolicznościach”.

Dowódca siódmego oddziału szturmowego Grupy Wagnera, pseudonim „Lotos”, pojawia się w jej wewnętrznych dokumentach ze stycznia 2020, kiedy najemnicy działali w Libii. „Lotos” prosi tam o wydanie jego oddziałowi karabinów snajperskich i karabinów maszynowych „celem przeprowadzenia misji bojowej”.

Za największy przełom na froncie w Donbasie uchodzi zdobycie Popasnej, miasteczka na zachodzie obwodu ługańskiego, o które bitwy toczyły się przez dwa miesiące. Uczestnicy starć twierdzą, że główną rolę odegrała tam Grupa Wagnera.

– To dziwni ludzie – mówi najemnik z Reduty, który razem z wagnerowcami zdobywał donbaski Pierwomajsk i Drużbę. – Zabił ich już tyłu, a tylko raz powiedzieli, że bez artylerii dalej nie pójdą. To było tuż pod Popasną, zajęli już część miasteczka, ale natrafili na silne fortyfikacje i powiedzieli: „Stop, nie idziemy dalej, dopóki artyleria nie zrobi swego, inaczej nikt nie ruszy dupy”.

Wagnerowcy ponieśli duże straty pod Popasną. Według najemników było tak wtedy, kiedy sztab zmuszał ich do walki bez odpowiedniego wsparcia. W kwietniu posłano do ataku dwa oddziały najemników „z czterema magazynkami na osobę”, mówi ze złością ich kolega. – Poległa tam cała „Piętnastka” i jakiś inny oddział – kontynuuje. – Cztery magazynki na osobę! Gdybym sam nie był w takiej czarnej dupie, nigdy bym nie uwierzył!

Dwa tygodnie po zdobyciu Popasnej Grupa Wagnera została pochwalona bodaj pierwszy raz, choć nie wprost, na antenie państwowej telewizji. Korespondent „Przeglądu tygodnia” Siergiej Zenin powiedział, że na linii frontu mają nawet „orkiestrę wojskową”, która jest zawsze tam, gdzie najgoręcej, a o której nigdy się nie mówi.

Nie wspomniał, że ukraińskie organy ścigania oskarżyły już co najmniej trzech najemników z Grupy Wagnera o zbrodnie wojenne i mordowanie cywilów. Najemnicy byli wielokrotnie oskarżani o zbrodnie wojenne w innych krajach, m.in. Republice Środkowoafrykańskiej i Libii. Komisja ONZ ustaliła, że zabijają i rabują cywilów, a także popełniają zbiorowe gwałty.

Po sukcesach na ukraińskim froncie Grupa Wagnera ustanowiła własne odznaczenie, medal „Za zdobycie Popasnej”. Nic natomiast nie wiadomo o oficjalnych odznaczeniach dla uczestniczących w tej wojnie najemników. Za to Prigożyn za wysłanie ich na front dostał Gwiazdę Bohatera Rosji.

– Już w maju było jasne, że „kucharz” dokończy tam sprawę – wyjaśnia nasz rozmówca. Jego zdaniem „sukcesy” Prigożyna były „szczególnie wyraźne” na tle tego, co działo się w DRL, gdzie operowały głównie wojska rosyjskie i inne grupy najemników.

Prigożyn znów cieszy się przychylnością Putina. Podobno pan i władca Grupy Wagnera należy teraz do nowego „wewnętrznego kręgu” prezydenta.

TAJNA MOBILIZACJA TRWA

Wszyscy nasi rozmówcy twierdzą zgodnie, że rekrutacja do Reduty, Grupy Wagnera i innych mniej znanych oddziałów najemnych jest dziś jedną z form „tajnej mobilizacji”. Zatarła się granica między najemnikami, regularną armią i „ochotnikami”. – Nie ma tu teraz żadnych niezależnych od ministerstwa oddziałów – uważa doświadczony najemnik.

Wiosną 2022 zaczęły formować się w Rosji „bataliony ochotnicze”, a właściwie jednostki żołnierzy kontraktowych. W Czeczenii, Tatarstanie, Baszkirii, Kraju Permskim, obwodach kirowskim i niżnonowogrodzkim. Własny, finansowany z miejskiej kasy batalion ma też Moskwa. Werbownicy i kandydaci nazywają tę formację „pulkim Sobianina”, choć zaciągają się do niego przede wszystkim nie moskwićzanie, tylko mieszkańcy innych regionów, a sam mer Siergiej Sobianin próbuje jak najbardziej zdystansować się publicznie od wojny.

Jeden z weteranów, któremu zaproponowano wstąpienie do pulku, przekazał nam numer telefonu werbunkowego. Według aplikacji NumBuster i GetContact należy on do Romana Władimirowicza Wysockiego, pseudonim „Bulgar”, byłego szefa sztabu 9. Pułku Strzelców Zmotoryzowanych Milicji Ludowej DRL, a de facto armii samozwańczej republiki.

„Bulgar” przedstawia się dziś jako „dowódca batalionu” w „pulku Sobianina”. Rekrutacja do pulku rozpoczęła się niedawno, 1 lipca. Werbownik mówi kandydatom tak: „Przez pierwszy miesiąc zajmniemy się wami na poligonie Mulino, a później prosty sierżant dostanie ponad 200 tys. rubli, podzielną na cztery transze po 50 tys. W jednostce dostajesz kartę banku VTB, na to konto przyjdą wypłaty z Moskwy”.

Rzecznik prasowy moskiewskiego ratusza Aleksander Gierasimow powiedział, że „nie jest upoważniony” do odpowiadania na pytania o „pulk Sobianina”. Ale wiadomo, że pulk ten przyjmuje mężczyzn z całego kraju, nawet w wieku przedemerytalnym (do 60. roku życia). Zaprzestania rekrutacji nie planują też inne struktury zaangażowane w wojnę z Ukrainą. Zaś rosyjskie ministerstwo obrony od ponad trzech miesięcy nie informuje o stratach.

– Wielu moich przyjaciół poległo lub odniosło rany w Ukrainie – mówi doświadczony najemnik, który nie uczestniczył w inwazji. – Nie mam już ochoty słuchać o tej wojnie. Po prostu nie odbieram telefonów. Tyłu zabitych zawodowców, wkrótce nie będzie już nikogo. ●

tłum. Sergiusz Kowalski

NO, UŚMIECHNIJ SIĘ!

Z **WHITNEY GOODMAN**,
PSYCHOTERAPEUTKA, AUTORKĄ
KSIĄŻKI „TOKSYCZNA POZYTYWNOŚĆ.
JAK ZACHOWAĆ ZDROWY ROZSADEK W
ŚWIECIE OGARNIĘTYM OBSESJĄ BYCIA
SZCZĘŚLIWYM”, ROZMAWIA **AGNIESZKA
JUCEWICZ**

Słyszałam, że wychodzi pani właśnie z COVID-u. Co mogłaby pani w tych okolicznościach usłyszeć od znajomych, sąsiadów, co jest charakterystyczne dla toksycznej pozytywności?

– „Mogło być gorzej!”, „Dobrze, że nie masz chorób współistniejących”, „Ciesz się, że nie wylądowałaś w szpitalu”, „Na szczęście to nie rak”. Charakterystyczne dla toksycznej pozytywności jest również to, że nie zadaje pytań, na przykład: jak się z tym czujesz? Czego potrzebujesz? Co mogę dla ciebie zrobić? Osoby, które się nią kierują, nie są zainteresowane słuchaniem.

A czym?

– Zwykle chcą jak najszybciej pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, które budzi się w nich, kiedy usłyszą coś trudnego. Choć oczywiście wydaje się im, że są bardzo pomocne, bo przecież wlewają w człowieka optymizm.

Czasem, widząc, że komuś jest ciężko, chcemy w niego tchnąć odrobinę nadziei. Jak odróżnić toksyczną pozytywność od takiej, która jest pomocna?

– Generalnie toksyczna pozytywność lekceważy to, co aktualnie przeżywamy. A czasem nawet jest dla tego pełna pogardy. Stara się nam wmówić, że nie powinniśmy czuć tego, co czujemy, jesteśmy zbyt wrażliwi, za bardzo się przejmujemy, koncentrujemy na tym, co negatywne, zamiast być wdzięczni, i tak dalej. Jednym słowem, unieważnia nasze uczucia. Jeśli powiedziałabym znajomemu, który kieruje się w życiu toksyczną pozytywnością, że nie najlepiej się czuję, bo boję się, jaki ten COVID będzie miał u mnie przebieg, mogę usłyszeć: „Nie bój się! Wszystko będzie dobrze!”. Szczerze? Wolałabym, żeby spytał: „Czego konkretnie się boisz? Co cię martwi? Pewnie czujesz się podle, przykro mi, chcesz o tym pogadać?” itd. Toksyczna pozytywność nie ma na to czasu! Chce jak najszybciej swoim optymizmem zatkać ci usta.

Dlaczego ludzie to robią?

– Myślę, że większość osób chciałaby, żeby ten, kto przeżywa jakiś kłopot, poczuł się lepiej. Nie robią tego złośliwie. Prawdopodobnie mówią takie rzeczy, bo nie wiedzą, co powiedzieć innego, i niespecjalnie chcą się nad tym zastanowić. A poza tym, bo chcieliby tę osobę jak najszybciej „naprawić”, żeby natychmiast przestała się czuć źle, a problem zniknął. Bywa, że dyskomfort, którego ktoś doświadcza, jest dla nich nie do zniesienia. Nie radzą sobie z cudzym cierpieniem, bólem czy stratą. Formułując komunikaty typu „nic ci nie będzie”, „mogło być gorzej”, robią to poniekąd dla siebie. Wyobraźmy sobie, że ten mój znajomy panicznie boi się COVID-u. Nigdy wcześniej nie chorował. Toksyczna pozytywność pozwala mu szybko zamknąć temat. Dzięki temu nie musi się konfrontować z myślą: „A co będzie, jeśli ja zachoruję?”, „Co zrobię ze swoim lękiem?”.

Jak toksyczna pozytywność wpływa na relacje?

– Nadwyręża je. Sprawia, że ludziom trudniej jest być blisko. Jeśli słyszę, że nie powinnam się czuć tak, jak się czuję, na przykład nie powinnam być aż tak przygnębiona w związku tym, co się dzieje w Ukra-



FOT. GETTY IMAGES

Wyobraź sobie, że właśnie straciłeś pracę. Ogarnia cię panika. Postanawiasz porozmawiać z przyjacielem. Patrzy na ciebie i się uśmiecha

Słyszysz: „Przynajmniej masz teraz tyle wolnego czasu! Pomyśl, jak wiele możesz się nauczyć z tej sytuacji”

inie, to niespecjalnie będę miała ochotę rozmawiać z tą osobą na ten temat, prawda? Po co? Skoro mnie nie rozumie, a w zasadzie nie chce nawet mnie zrozumieć? Z kolei osoba, która wygłasza takie zdania i której wydaje się, że oferuje wsparcie, zostaje z poczuciem, że jest niekompetentna. Nie potrafi pomóc. I też może czuć, że ta relacja się sypie, więc to nie jest tak, że cierpi wyłącznie adresat czy adresatka toksycznej pozytywności. Tracą na tym obie strony.

Dlaczego kultura toksycznej pozytywności ma się tak dobrze we współczesnym świecie? Wydaje się wręcz, że im bardziej on się trzęsie w posadach, tym ma się ona lepiej.

– To charakterystyczne, że im bardziej rzeczywistość staje się złożona, tym bardziej w popłochu szukamy łatwych rozwiązań. A toksyczna pozytywność jest łatwa. Poza tym wielu z nas wpojono, że jeśli będziemy pozytywni, to będziemy zdrowsi, bardziej lubiani, będzie nam się bardziej powodzić w życiu osobistym, w pracy. Napisano tysiące książek i nakręcono setki filmów w tym duchu. Trudno w zalewie tego przekazu dostrzec, że pozytywność ma też mrocz-

ną stronę, że jeśli staje się dogmatem, to zakłamuje rzeczywistość, a tym samym sprawia, że tracimy z nią kontakt. Niestety, im bardziej świat płonie, im bardziej wymaga od nas refleksji i wysiłku, tym bardziej taka dogmatyczna pozytywność staje się kusząca. Bo ludzie ludzą się, że pomoże im ona przejść przez ten trudny czas. Tymczasem to nic innego jak wyparcie. Zamiast zmierzyć się ze złem tego świata i przyznać: nie możemy być teraz pełni optymizmu, bo to się po prostu nijak ma do tego, co nas otacza, niektórzy wolą pójść na skróty, licząc na to, że to ich jakoś ochroni.

Co nam robi takie życie w zaprzeczeniu?

– Badania pokazują, że jeśli tłumimy w sobie trudne uczucia czy ignorujemy je, to one się tylko nasilają. Nie da się racjonalnie, „na głowę”, pozbyć jakiegos uczucia, na przykład lęku czy rozpacz, tylko datego, że nam się ono nie podoba. Człowiek tak nie działa. Wyparte uczucia zawsze wracają – pod postacią bezsenności, w kłopotach z jedzeniem, z seksem, w objawach somatycznych, w nadmiernej reaktywności. Jeśli się nimi nie zajmujemy, coraz głośniejsię domagać naszej uwagi.

I negując istnienie nieprzyjemnych uczuć, stajemy się naprawdę kiepscy w rozwiązywaniu problemów. Jeśli każdy dzień rozpoczynam z myślą: „nic wielkiego się nie dzieje”, „wszystko zmierza w dobrym kierunku”, „otaczam się tylko dobrymi wibracjami”, to nie dowiem się, jak radzić sobie z tym, co mnie przerasta. A z czasem będzie tylko gorzej.

Przyjmuje pani pacjentów, którzy usilnie próbowali żyć według reguł toksycznej pozytywności, jednak z czasem okazało się, że żyje im się gorzej, nie lepiej.

– Większość z nich zgłasza się do mnie dalej, utrzymując, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Twierdzą, że mają szczęśliwe życie, fajną pracę, związek, ale... i tu wymieniają całą listę objawów: źle śpią, doświadczają napadów paniki, mają depresję, zbyt często sięgają po alkohol albo inne używki, i nie wiedzą dlaczego. Słyszę też często od nich: „Wiem, że powinnam być wdzięczna za to, co mam, ale...”. Albo: „Wiem, że powinienem być pozytywny, ale... Co jest ze mną nie tak?”.

Najważniejszym zadaniem dla mnie w pracy z takimi osobami jest nauczenie ich akceptowania wszystkich emocji, których doświadczają, a nie traktowania ich wybiórczo. A także odróżniania jednych emocji od drugih, wytrzymywania ich i wyrażania w odpowiedni sposób. Najtrudniejsze dla nich są jednak podstawy, czyli danie sobie przyzwolenia na uczucia, które wcześniej uznawali za zakazane, „brzydkie”, złe. Dla niektórych to naprawdę trudna lekcja. Wielu moich pacjentów zostało wychowywanych w przekazie: nie czuj tego, co czujesz, nie mów o tym, głowa do góry i do przodu. Komuś, kto nasiąkał takimi przekonaniami, zajmuje sporo czasu, żeby je zmienić.

Chcę jednak podkreślić, że dziś to zjawisko nie występuje wyłącznie w mojej kulturze. Przyglądam się z zaciekawieniem temu, co się dzieje w innych krajach, w których „Toksyczna pozytywność” została przetłumaczona. Odzew przerósł moje oczekiwania i utwierdził mnie w przekonaniu, że coś, co kiedyś uznawano za „typowo amerykańskie”, rozpowszechniło się już w innych szerokościach geograficznych. Przybyło ludzi, którzy uważają, że bycie szczęśliwym to ich obowiązek. Cel, do którego powinni dążyć za wszelką cenę.

To jest coś, co dziś często słyszą dzieci od swoich rodziców: „Najważniejsze, żebyś był szczęśliwy, szczęśliwa”. Wcześniej nie przyszło mi to do głowy, ale teraz widzę, że to przesłanie, które przecież miało być tak uwalniające, też może być obciążeniem.

– Dokładnie! A może lepiej byłoby powiedzieć: „zyczylibyśmy ci, żebyś czuł się, czuła się spełniona”? Żebyś miała umiejętności, które pozwolą ci radzić sobie z różnymi życiowymi trudnościami? Żebyś umiała myśleć krytycznie? Miała oparcie w sobie i w innych? Ważne też wydaje mi się uświadomienie dzieciom, że czasami będą się czuły beznadziejnie. Czasem będzie się im wydawało, że życie nie ma sensu. W pracy będzie im ciężko, a w związkach nie będzie im się układać. Mówię o tym dlatego, że dziś często spotykam młodych dorosłych, którzy myślą, że coś z nimi jest nie tak, skoro nie czują się bez przerwy wspaniale, nie kochają swojej pracy albo popadają w konflikty ze znajomymi. Takie jest życie, czasem nam się ono zwyczajnie nie podoba!

Widzi pani ślady toksycznej pozytywności w szkołach?

– Ona jest wszędzie. Począwszy od haseł wywieszonych na szkolnych korytarzach, które nawołują do tego, żeby przyjmować życie z uśmiechem, bo dzięki temu można osiągnąć wszystko, czego się zapragnie. To uogólnienie poza wszystkim krzywdzi jeszcze tak, że sprowadza wszystkie dzieci do jednego wzoru. Zamiast przyjrzeć się każdemu z osobna, dostrzec ich różne talenty, potrzeby, ale i ograniczenia, wytwarza się presję, żeby wszyscy byli jednakowi. To zna-

czy tak samo pozytywni! Taka postawa pozwala też ignorować liczne problemy, które trawia nasze szkoły od dawna: przemoc rówieśniczą, nierówności itd.

Podobnie jest z miejscami pracy. W wielu firmach zachęca się pracowników, żeby nie narzekali na warunki pracy czy na szefostwo i żeby nie „zarażali swoją negatywnością”, tylko „myśleli zespołowo”, czyli tak naprawdę byli jednomyślni i nie sprawiali problemów. W ten sposób zamiata się pod dywan masę trudnych tematów, takich jak mobbing, dyskryminacja na tle płci, orientacji seksualnej czy rasizm. Toksyczna pozytywność może być narzędziem, które wymusza na pracownikach milczenie. Badania pokazują, że to przede wszystkim tłamsi kreatywność. Ludzie przestają mówić, co myślą, a w związku z tym dana firma czy zespół utyka w miejscu i przestaje się rozwijać. No i to, co zamiecione pod dywan, zaczyna kwitnąć...

Pisząc o genezie toksycznej pozytywności, nawiązuje pani między innymi do amerykańskiego ruchu Nowej Myśli i dziedzictwa jego ojca założyciela Phineasa Parkhursta Quimby’ego. Uważał on między innymi, że „wszelkie choroby mają swoją przyczynę w umyśle i powodują je mylne przekonania”. A jeśli „człowiek stanie się jednością ze swoim umysłem i efektywnie wykorzysta moc wszechświata, zdoła sam się uleczyć”.

– Większość pielgrzymów, którzy przybyli do Nowego Świata, była kalwinistami. Odpowiedź Quimby’ego była więc odpowiedzią na tę surową religię, która postrzegała przyjemność i bezczynność jako straszny grzech. Życie w Nowym Świecie było niewdzięczne i wymagające, więc osadnicy potrzebowali czegoś, co doda im nadziei i otuchy. Dała im to w końcu Nowa Myśl ze swoim pozytywnym nastawieniem. Fundamenty tej myśli w nieco zmienionej formie przetrwały zresztą do dziś – w rozmaitych popporadnikach, w tekstach dotyczących „prawa przyciągania” czy w bestsellerach, które przekonują, że pozytywnie myślenie może przynieść nie tylko wewnętrzne bogactwo, ale również to materialne. Pytanie tylko: jeśli rzeczywiście pozytywne nastawienie ma taką moc, to dlaczego poza autorami i autorkami tych bestsellerów praktycznie nikt się nie wzbogaca?

Mnie ciekawi jeszcze coś innego. Dlaczego tak wiele osób, które pewnie uważają się za racjonalne i inteligentne, wierzy w ten przekaz?

– Bo jedną z pułapek, która sprawia, że takie idee jak afirmacje czy manifestacja [przekonanie, że poprzez myśli, przekonania, zachowania można tworzyć rzeczywistość taką, jaką chcemy] zyskują wielką popularność, jest to, że całą odpowiedzialność za ich powodzenie przypisuje się tej osobie, która usiłuje wcielić je w życie. Co oznacza, że jeśli mimo praktykowania pozytywnego myślenia nie udaje się pani wzbogacić al-

bo poczuć się lepiej, pewnie coś zrobiła pani nie tak. Niewystarczająco się pani starała, więc musi się pani postarać bardziej. Ludzie mają tak to przekonanie głęboko uwnętrznione, że sami się obwiniają, kiedy nie osiągają wymarzonych rezultatów. Oczywiście dla osób, które tworzą te poradniki, to bardzo wygodne.

Wyparte uczucia zawsze wracają – pod postacią bezsenności, w kłopotach z jedzeniem, z seksem

W jakim momencie uznała pani, że ten temat zasługuje na książkę?

– Kiedy zostałam psychoterapeutką, zauważyłam, że mam problem z wykorzystywaniem niektórych narzędzi, na przykład z nurtu psychologii pozytywnej, i że w ogóle podobne ścieżki w terapii nie bardzo mi odpowiadają, bo czuję w nich jakiś fałsz. Z drugiej strony byłam pod presją swojego środowiska, żeby to robić. Jednak im częściej rozmawiałam z pacjentami, którzy też mieli z tym kłopot, tym bardziej nabierałam pewności – OK, czyli to nie tylko ja mam ten problem, to jest jakiś szerszy temat. Zaczęłam od tego, że przeczytałam praktycznie wszystkie książki o pozytywnym myśleniu. Był wśród nich oczywiście bestsellery „Sekret” Rhondy Byrne, „Moc pozytywnego myślenia” Normana V. Peale’a i wiele, wiele innych. Kiedy je czytałam, ogarniała mnie wściekłość.

Na co była pani zła? Na to, że autorzy wiskają czytelnikom i czytelniczkom nieprawdę?

– To przede wszystkim, ale również dlatego, że uważam niektóre z nich za zwyczajnie niebezpieczne. Spotkałam wiele osób, którym one realnie zaszkodziły. Na przykład ludzi chorych na raka, którzy zrezygnowali z chemioterapii, ponieważ uwierzyli, że ulecą się własnymi myślami. Albo osoby, któ-

re porzuciły leczenie psychiatryczne, przekonane, że zmiana nastawienia wyleczy je z choroby psychicznej.

Co mówią pani krytycy?

– Że to, o czym piszę, jest głupie, że pozytywność nie może być toksyczna, że zarażam ludzi swoim negatywnym nastawieniem. No i regularnie słyszę, że niewłaściwie interpretuję teksty poruszające kwestie toksycznej pozytywności. Myślę sobie wtedy: chwila, jeśli uważacie, że trzeba wykonać taką wielką mentalną gimnastykę, żeby zrozumieć, co autor czy autorka miała na myśli, to chyba oznacza, że ta teza ma niespecjalnie solidne podstawy? Z drugiej strony odzywa się do mnie masa osób, które czują podobnie jak ja. Są wdzięczne za tę książkę, bo dzięki niej wreszcie przestały czuć się osamotnione i znalazły język, którym są w stanie opowiedzieć o tym doświadczeniu.

Czy ma pani poczucie, że takich głosów jak pani jest w tej chwili więcej?

– Już wcześniej różne autorki i autorzy odnosili się do opresyjnej pozytywności, która przenika naszą kulturę. Pisała o tym sporo między innymi znana dziennikarka Barbara Ehrenreich. Ale teraz, po COVID-zie, takich krytycznych głosów jest zdecydowanie więcej. Myślę, że wiele osób jest już naprawdę zmęczonych, słysząc komunały w stylu: wyluzuj, myśl pozytywnie, wszystko się ułoży. Nie wiem, jak w Polsce, ale w Stanach Zjednoczonych na początku pandemii celebrytki i celebryci śpiewali z wnętrz swoich imponujących rezydencji: „Jesteśmy w tym wszyscy razem!”, rozsiewając wokół siebie aurę toksycznej pozytywności. Do wielu osób dotarło wtedy, że to nieprawda i że nie jesteśmy w tym wcale razem. Mam wrażenie, że wielu ludziom znacznie obniżył się próg do wciskania bzdur.

Jak nie przesadzić w drugą stronę? Nie popaść w spiralę narzekactwa i czarnowidztwa?

– Jeśli mamy taką skłonność, warto zapytać siebie: na ile mi to służy? Co mi to daje? Czy jest mi od tego lepiej? Czy jest to dla mnie jakoś oczyszczające? Jeśli nie, jeśli to sprawia, że mam wrażenie, jakbym utknęła w miejscu i kręciła się w kółko wokół negatywnych przekonań, to chyba pora się zastanowić, czego potrzebuję i gdzie mogę uzyskać wsparcie, żeby się z tego błędnego koła wydostać. Bo czasami to błędne koło może świadczyć o poważniejszych zaburzeniach – lękowych albo o depresji. Ale wszystko we właściwych proporcjach. Chcę zaznaczyć, że nie jestem entuzjastką wiecznego samorozwoju. Nie jestem mówczynią motywacyjną. Nie zamierzam mówić ludziom, że powinni dążyć do „jak najlepszej wersji siebie”. Wgląd w siebie czy refleksją nad naszym stosunkiem do życia może równie dobrze przynieść odpowiedź, że jesteśmy wystarczająco dobrzy czy wystarczająco dobre. I że to nasze „narzekanie” jest po prostu realnym widzeniem rzeczywistości.

Co się może stać, jeśli coraz więcej ludzi będzie sięgało po toksyczną pozytywność z nadzieją, że w ten sposób odgradzą się od okropieństw tego świata?

– Do niczego dobrego to nie prowadzi. Coraz więcej osób nie będzie w stanie poradzić sobie z własnymi emocjami czy budować dobrych, wspierających relacji z innymi. Na czym będą korzystać kolejni „drapieżnicy”, którzy będą wciskać ludziom towary, które po prostu nie działają! Dlatego jestem tak aktywna w mediach społecznościowych. Prowadzę konto na Instagramie między innymi po to, żeby ludzi przed tym ostrzec. Od czasu, kiedy zdrowie psychiczne stało się ważnym tematem, niektórzy traktują je po prostu jako maszynkę do zarabiania pieniędzy. Ludzie bez żadnych kwalifikacji sprzedają innym „produkty” z dziedziny zdrowia psychicznego, dopuszczając się różnych nadużyć. To mnie przeraza, dlatego z tym walczę. ●

TOKSYCZNA POZYTYWNOŚĆ

- przekazuje ludziom, że nie powinni czuć tego, co czują,
- sugeruje, że ludzie są negatywni, jeśli nie potrafią znaleźć pozytywów w każdej sytuacji,
- zachęca ludzi do bycia szczęśliwymi przez cały czas i zauważania jedynie tego, co „dobre”,
- kończy rozmowę lub znajomość, ponieważ nie chcemy żadnej „negatywności” ani „złych wibracji”,
- postępuje się wyrażeniami, które umniejszają to, czego

doświadcza druga osoba, aby pomóc jej „poczuć się lepiej” lub przez coś „przejść”,

- zauważa jedynie „dobre” i ignoruje „złe” strony sytuacji,
- zawstydza ludzi, gdy mają złe dni lub negatywne przeżycia.

POMOCNA POZYTYWNOŚĆ

- uznaje wartość zauważania dobra i pozwala ludziom wyciągać własne wnioski w dążeniu do celu,
- uznaje, że ludzie mają różnorodne emocje, niektóre

trudniejsze od innych, i pozwala im zauważyć „dobre” i „złe” strony różnych sytuacji,

- ma zrozumienie dla tego, że nie wszystkie sytuacje mają jakieś zalety, ale mimo to możemy doświadczyć radości,
- zachęca innych i siebie do ekspresji emocjonalnej (w pewnych granicach), wiedząc, że aby niektórzy doświadczyli szczęścia, muszą najpierw przepracować ból lub przejść przez niego,
- ma baczenie na „dobre” i „złe” strony sytuacji i uważa je.

MADE IN CHINA

TAJWAŃSKI DESANT,
czyli o pożytkach z prowokacji

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę narasta przekonanie, że również z Chinami nieuchronnie zmierzamy w stronę wojny. Lepiej gasić ogień czy świadomie go rozniecać?

Robert Stefanicki

Krótką, trwającą niespełna dobę wizyta na Tajwanie przewodniczącej Izby Reprezentantów Nancy Pelosi zatrzęsa światem. Nad wodami wschodniej Azji zaświstały chińskie rakiety, media odświeżyły scenariusze inwazji na Tajwan i wojny chińsko-amerykańskiej, komentatorzy gremialnie załamali ręce nad nieodpowiedzialnością osiemdziesięcioletniej z Kalifornii. Ukraina i inflacja nagle jakby zeszły na drugi plan.

Według popularnej teorii kryzys skrojono na potrzeby polityk wewnętrznych. Xi Jinping przed jesiennym zjazdem partii chce prezentować się jako twardy nacjonalista, a Pelosi przed wyborami postanowiła pozyskać głosy emigrantów z Chin i Tajwanu, których w jej okręgu, San Francisco, jest 187 tys.

Nie jest to przekonujące. Xi nie mógł pozostawić afrotu bez odpowiedzi, ta zaś była łatwa do przewidzenia i – na razie – nisko kosztowa dla wszystkich zaangażowanych stron. Co do kalifornijskich Chińczyków, to badania wskazują, iż są elektoratem podzielonym i przy urnach w niewielkim stopniu kierują się polityką tej czy innej partii wobec Pekinu.

Tajwańskim desantem Pelosi zachwycili się niemal wyłącznie Republikanie.

Swoją drogą pochwała, obojętnie w jakiej sprawie, ze strony senatora Teda Cruza, etatowego taliba w amerykańskiej polityce, powinna demokratycznej kongresmence dać do myślenia. Cruz nie omieszczał dolożyć Bidenowi: w jego opinii błędem było ujawnienie przez Białą Dom, że prezydent sprzeciwia się wizycie.

Czy podróż Pelosi mogła być celową prowokacją? Hipoteza ryzykowna, bo na zdrowy rozum USA nie powinny mieć ochoty na eskalację w Azji, gdy pali się wschodnia Europa i trzeszczy gospodarka.

Ale prowokowanie jest znanym narzędziem w polityce.

W istocie niewinna – bo niezmienną status quo – wizyta ważnej polityk wymusiła na Chinach ostrzejszą reakcję niż zbrojenie Tajwanu przez USA czy też deklaracje Bidena, iż jest gotowy bronić wyspy przed chińską inwazją.

„Czyni mówią głośniejsze niż słowa” – argumentują amerykańscy badacze w pracy „Jak państwa prowokują adwersarzy w celu zdobycia informacji”.

„Istnieje dostrzegalna różnica między groźbą, że ktoś chce zagrać w rosyjską



• Protest przeciwko wizycie Nancy Pelosi na Tajwanie, zorganizowany przez władze Hongkongu przed konsulem amerykańskim, 3 sierpnia

FOT. KIN CHEUNG/AP

ruletkę, a wycelowaniem w siebie pistoletu i naciśnięciem spustu, by zademonstrować chęć kontynuowania gry. (...) Państwa angażują się w prowokacyjne działania w celu wybadania poziomu determinacji ich przeciwników. Z założenia takie sondy wymagają odpowiedzi. Jeśli prowokacja jest głośna i wyraźna, również brak odpowiedzi jest pouczający. (...) Ponieważ odpowiedź na akcję musi być akcja, a nie słowna deklaracja, możliwość blefowania jest tu znacznie ograniczona”.

Prowokacji w najbardziej bezpośredni sposób używa Korea Północna – za każdym razem, gdy Stany Zjednoczone wybierają nowego prezydenta, przeprowadza nową próbę jądrową, co pozwala ocenić aktualną determinację Waszyngtonu w powstrzymaniu reżimu Kimów.

Poważniejsze rządy używają prowokacji w bardziej zniuansowany sposób.

Po pierwsze, obserwowanie reakcji Pekinu pozwoli lepiej przygotować się do prawdziwej wojny.

Pekin zdecydował się na manewry morskie symulujące blokadę Tajwanu. Dla wyspy, która importuje ponad 60 proc. żywności i 98 proc. surowców energetycznych, to może być duży problem. Rozmieszczenie stref ćwiczeń przez armię chińską daje wskazówki, w jaki sposób blokada mogłaby być przeprowadzona.

Chiny niekoniecznie muszą zdecydować się na pełną inwazję, lecz zastosować prowokację zmuszającą do działania USA – w formie cyberataków, sabotażu, blokady morskiej lub ataku na peryferyjne wysepki należące do Tajwanu.

Podczas wizyty Pelosi tajwańscy żołnierze na Kinmen, grupie wysp położonej zaledwie 10 km od wybrzeża Chin, wystrzelili flary do chińskich dronów kręcących się nad ich głowami. Następnego dnia Chińczycy odpalili rakiety w pobliżu tajwańskiego archipelagu Matsu.

Nadzieje, że zastraszony Tajwan się ugnie, Pekin powinien ostatecznie porzucić.

Do poprzedniego kryzysu w Cieśninie Tajwańskiej doszło w marcu 1996 roku – w odpowiedzi na wizytę ówczesnego prezydenta Lee Teng-huia w USA Chiny wystrzeliły rakiety, a mimo to Tajwańczycy w tym samym miesiącu wybrali go na kolejną kadencję. I tak się to toczy do dzisiaj: im bardziej Pekin straszy, tym bardziej na Tajwanie rośnie poparcie dla niezależności.

Czy podróż Pelosi mogła być celową prowokacją? Hipoteza ryzykowna, bo na zdrowy rozum USA nie powinny mieć ochoty na eskalację w Azji, gdy pali się wschodnia Europa i trzeszczy gospodarka. Ale prowokowanie jest znanym narzędziem w polityce

Gdyby obecny kryzys przyniósł wreszcie Chinom otrzeźwienie, byłby to kolejny pożytek z prowokacji.

Sprokowane kryzysy mogą służyć wzmacnianiu i rozbudowie sojuszy. Jest to proces powolny i, jak w przypadku wojny ukraińskiej i stosunku świata do Rosji, nie ma co liczyć, że wszyscy nagle odwrócą się od Chin. Zjednoczone Emiraty Arabskie poparły Pekin po wizycie Nancy Pelosi. Ale już prezydent Korei Południowej Yoon Suk Yeol nie znalazł czasu, by się z nią (trzecią osobą w hierarchii władzy w USA) spotkać w Seulu, dokąd przyjechała z Tajpej.

Niemniej napięcie w Cieśninie Tajwańskiej może przyspieszać tworzenie przez

Waszyngton dwustronnych i wielostronnych porozumień okrążających Pekin. Chętne są zwłaszcza Australia i Japonia, ale kryzysy mogą też pomóc określić się Indiom, Wietnamowi i innym państwom regionu, które czują się zagrożone wkraczaniem Chin na ich wody terytorialne i w inne strefy interesów.

Konfrontacja zbrojna coraz większej liczbie analityków jawi się scenariuszem bazowym, choć „jeszcze nie teraz”. Wiatr zaczął wiać w żagle tzw. realistów za rządów Donalda Trumpa; po agresji Putina również Demokraci zarażają się apokaliptycznym postrzeganiem przyszłości.

Chociaż potężna krytyka Pelosi w (głównie liberalnych) mediach i think tankach wskazuje, że wciąż jest bardzo silny nurt, który za realizm uznaje wysiłki na rzecz zapobiegania wojnom m.in. poprzez nieprowokowanie przeciwnika.

Istnieje przekonanie, że lepiej nie wywoływać kryzysów, bo nasza kontrola nad ich rozwojem jest ograniczona. Przy tak dużej liczbie samolotów bojowych i okrętów chińskich, tajwańskich, japońskich i amerykańskich w regionie mogłoby dojść do wypadku, który przerodzi się w prawdziwy konflikt. Choć po prawdzie wydaje się mało prawdopodobne, by wojna między dwoma skądinąd przewidywalnymi mocarstwami kierowanymi (aktualnie) przez opanowanych przywódców mogła wybuchnąć przypadkiem – byłby to raczej przypadek zaplanowany.

„Nie ma prawdziwego bezpieczeństwa i nie ma alternatywy dla życia w niebezpieczeństwie”, pisał amerykański dyplomata George Kennan w sławnym „długim telegramie” z Moskwy, gdy w 1946 r. przekonywał do niezbyt popularnej wówczas tezy nieuchronnego konfliktu z ZSRR.

W tym czasie prezydent USA Harry Truman zdecydował się poprzeć Turcję w sporze z ZSRR o cieśniny czarnomorskie, co pokazało, że Stalin nie był zadowolony ze zdobyczy z II wojny światowej i będzie dążył do dalszej ekspansji kosztem świata niekomunistycznego. Podobną lekcję dał nam teraz Putin.

Kennan twierdził, że gdy rywalizują ze sobą wielkie mocarstwa, nieuniknione są kryzysy – oraz strach. Podczas blokady Berlina (1948) Truman pisał o „straszliwym przeczuciu, że jesteśmy bardzo blisko wojny”. Kiedy Chiny interweniowały w wojnie koreańskiej (1950), wielu polityków i analityków obawiało się globalnego konfliktu. Po sowieckiej prowokacji z rozmieszczeniem pocisków balistycznych na Kubie (1962) strach sięgnął zenitu.

Amerykański politolog Hal Brands na łamach „Foreign Policy” przekonuje, że kryzysów nie należy się bać. „Polityka, która zapewniła Stanom Zjednoczonym sukces w [zimnowojennej] walce z mrokiem – doktryna Trumana, plan Marshalla, utworzenie NATO i inne – nie była wynikiem spokojnego, świadomego planowania. Zrodziła się z doraźnej potrzeby i kreatywności, które rozkwitają w czasie kryzysu”. ●

CZUŁE SŁÓWKA

Pamięć

Po najdłuższym życiu Jarosława Kaczyńskiego możemy się spodziewać stadionów jego imienia służących do uprawiania rodeo.

Michał Rusinek*

Obserwujemy ostatnio wzmożenie sportowe naszej władzy. Ministerstwo Sportu i Turystyki poinformowało o otwarciu kortu centralnego im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego w Kozerkach. Na murze kortu została umieszczona stosowna tablica, przedstawiająca wizerunek pana prezydenta (niepodobny), nazwę kortu oraz cytat: „By zwyciężała uczciwość” – ostrzegający, jak rozumiem, grających tam tenisistów, że władze tego kortu żadnego ustawiania meczów tolerować nie zamierzają, będą tam panować wyłącznie zasady fair play. I słusznie, aczkolwiek na miejscu właścicieli innych rodzimych kortów poczułbym się zaniepokojony, bo cytat ten może sugerować, że z uczciwością na nich bywa różnie.

Jeśli nadajemy czyjeś imię obiektowi sportowemu, to adekwatne wydaje się tu imię jakiegoś sportowca, najlepiej takiego, który rozslawił naszą ojczyznę za granicą, uprawiając daną dyscyplinę. Jeśli zaś nadajemy takiemu obiektowi imię polityka, a z wykształcenia prawnika, który – o ile mi wiadomo – z tenisem niewiele miał wspólnego, zaczyna to wyglądać na kult jednostki, charakterystyczny dla dyktatur. Mirosław Skrzypczyński, prezes Polskiego Związku Tenisowego, wyjaśnił, że: „Chodzi wyłącznie o pamięć o prezydencie RP, który zawsze był zainteresowany tenisem”. Z tego wynika, że po najdłuższym życiu Jarosława Kaczyńskiego możemy się spodziewać stadionów jego imienia służących do uprawiania rodeo.

Na tenisie się jednak nie kończy. Dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej był przecież wielki miłośnik boksu, dr Karol Nawrocki. Dwa lata temu Muzeum zostało partnerem gali bokserskiej „Kaszubski Gryf Pomorski – Rocky Boxing Night”, która odbyła się we wsi o wspanialej nazwie Wielki Klincz na Kaszubach. Rzeczniczka prasowa Muzeum tłumaczyła, że było to zadanie statutowe jej instytucji, która podjęła się partnerstwa, „wychodząc z przekazem do wielotysięcznej publiczności i przypominając o konspiracji niepodległościowej na Pomorzu”. Łącznikiem II wojny i współczesnego pięściarstwa były w jej wypowiedzi głównie takie określenia jak „walka” (istotnie, słowo to oznacza zarówno działania na froncie, jak i na ringu) oraz „bohaterska postawa” (tu zapewne podobnie). Rzeczniczka wyjaśniała: „Dzięki transmisji w otwartej telewizji naziemnej – kanale Super Polsat oraz kanale tematycznym Polsat Sport Extra – przekaz popularzatorski wydarzenia trafi do szerokiego grona widzów. Trafiając do osób zafascynowanych sportem, zostanie wzmocniony przekaz płynący z idei sportu, korzyści płynących z jego uprawiania, ale także postaw hardości ducha i niezłomności”. Jako łącznik doszła więc także „niezłomność”. „Hardość ducha” zaś to prawdopodobnie odkrywcza kontaminacja „hartu ducha” z „hardością”, czyli butą. Albo czynność pomyłkowa. Natomiast bez wątpienia wypowiedź pani rzecznik dowodzi, jak zgubna może być namiętność do stosowania imiesłów w połączeniu ze stroną bierną.

Dr Karol Nawrocki potrafił łączyć namiętność do boksu i historii, już kiedy był kierownikiem Biura Edukacji Publicznej w Instytucie Pamięci Narodowej. Zorganizował wówczas galę boksu poświęconą Annie Walentynowicz, zatytułowaną „Nigdy

przed mocą nie ugniemy szyi”. Hasło to można rozumieć na dwa sposoby: w kontekście działalności opozycyjnej oraz porady trenera. Nie znam się ani trochę na pięściarstwie, ale porada ta wydaje mi się dość ryzykowna, bo wydaje mi się, że chroniąc się przed ciosem, powinniśmy nie tylko unieść gardę, ale i schylić głowę, by się za ową gardą schować. Ale nie będę się czepiał.

Zdaje się, że Anna Walentynowicz tyle samo miała wspólnego z boksem co Lech Kaczyński z tenisem, od czegoż jednak jest metafora? Karol Nawrocki mówił w czasie gali: „Chciałbym, abyśmy wszyscy dziś wyszli stąd z wiedzą i z przekonaniem, że byli tacy Polacy, którzy (...) walczyli nie na ringu, ale w jeszcze trudniejszej, nierównej walce z systemem komunistycznym o wolność i solidarność. Myślę o Annie Walentynowicz. A my dziś przyszliśmy tutaj po to, aby pokazać, że pamiętamy, szanujemy i nigdy nie zapomnimy naszych bohaterów”. No i od czegoż jest metonimia? Zawodnicy ubrani byli w koszulki z napisem: „Orla wrona nie pokona”.

Instytut Pamięci Narodowej pokazał ostatnio, że wciąż pozostaje wierny pięściarstwu. Oto były bokser Marcin Marczak został właśnie zastępcą dyrektora wrocławskiego oddziału IPN. Czy był to przypadek, czy efekt podzielenia przez niego tej samej pasji co dyrektor Nawrocki, obecnie przes IPN – nie wnिकam. Na złośliwe pytania dziennikarzy, czemu wicedyrektor tej szacownej instytucji nie jest z zawodu historykiem, co wydawałoby się oczywiste, rzecznik IPN odpowiedział: „Pan Marcin Marczak posiada stosowne wykształcenie wyższe do pełnienia powierzzonej mu funkcji. Posiada ukończone studia wyższe na kierunku politologia, ukończył także studia podyplomowe z psychologii sportu na Uniwersytecie Gdańskim. Jest wieloletnim managerem, animatorem kultury i sportu”. Być może dziennikarze zostali uspokojeni zaklęciem „politologia”, ale mnie jednak niepokoi, że rzecznik prasowy nie odróżnia czasownika „posiadać” od „mieć”. I przyznam, że bardziej ufam tym, którzy jakieś wykształcenie „mają”, niż tym, którzy je aż „posiadają”. Nawet wyższe. Rzecznik wyjaśnił także, że nowy dyrektor będzie się zajmował „implementacją (...) nowych komórek organizacyjnych”, do czego przydałaby mu się zapewne wiedza z dziedziny biotechnologii. Nie wiadomo jednak, czy ją był posiadł.

Nauczycielom retoryki zwracam uwagę na inne zdanie rzecznika IPN, w którym mamy do czynienia z ciekawym przykładem niebywale rozbudowanej – bo aż poczwórnej – figury synonimii, ocierającej się o tautologię: „Marcin Marczak nie jest już aktywnym sportowcem, nie jest już bokse-rem, zakończył swoją karierę sportową i w tej chwili nie prowadzi już takiej aktywności sportowej”. Kiedy ktoś coś powtarza tyle razy, to ją się zaczynam zastanawiać, czy mu wierzyć.

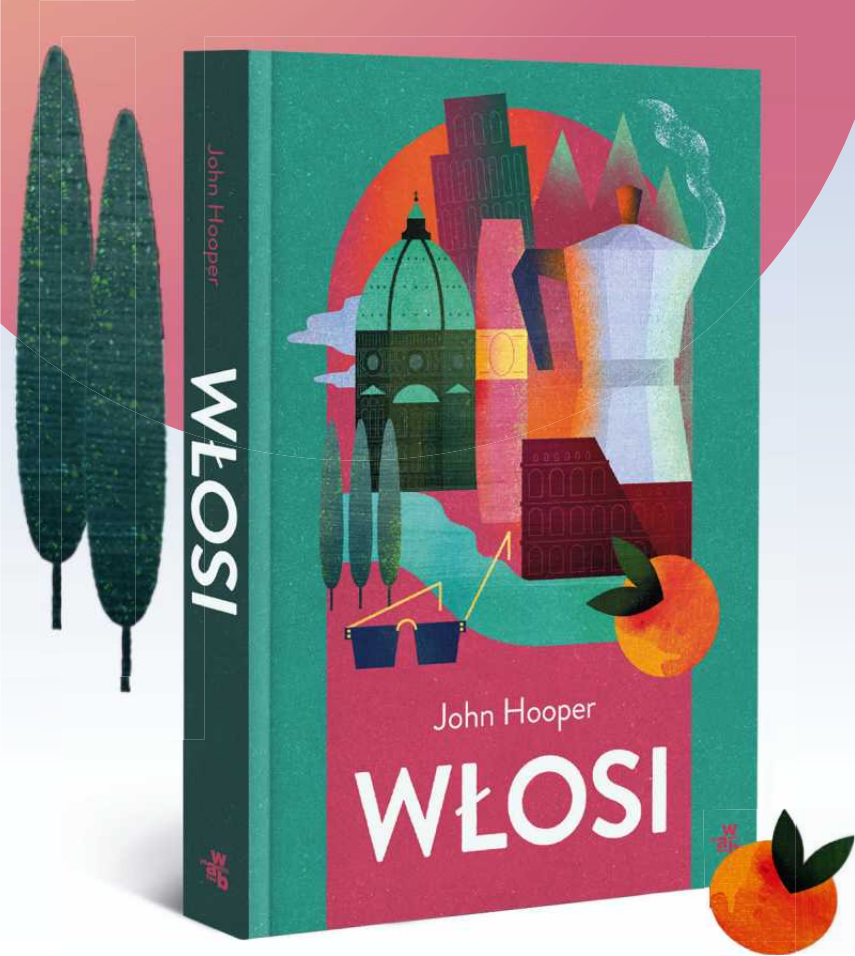
Na pewno jednak zazdroszczę prezesowi IPN oraz zastępcy dyrektora wrocławskiego oddziału, że potrafią znaleźć wspólny mianownik dla prywatnej pasji i pracy. Zalecałbym jednak ostrożność w sferze metaforycznej, gdy jego rzecznik musi szukać między nimi łączności. Pięściarze są bowiem narażeni na urazy głowy, w szczególności na tzw. encefalopatię bokserską. Już po kilku latach objawia się ona zaburzeniami funkcji poznawczych, a po kilkunastu latach może pojawić się u nich tzw. otępienie bokserskie, w którym mamy do czynienia z utratą pamięci. Zapewne także narodowej.

*Michał Rusinek – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

Z TYM WYDANIEM
DOSTAJĄ PAŃSTWO
DOSTĘP DO:

1. Serwisu Wyborcza.pl
na 13-15.08

2. Fragmentu książki „Włosi”
Johna Hoopera



Jak naród, który zrodził renesans, mógł stworzyć również mafię? I dlaczego język włoski zna dwanaście określeń na wieszak, ale ani jednego na kaca? Książka przekonująco ukazuje wpływ geografii, historii i tradycji na wiele aspektów włoskiego życia, w tym futbol, masonerię, seks, jedzenie i operę.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Włosi” Johna Hoopera
oraz treści Wyborcza.pl na 13-15.08:

JHW22WW

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejść na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp na 13-15.08
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9–17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

Korona wodospadów Ziemi

1. **Salto Angel** (Wenezuela, 979 m) – **zdobyty**
2. **Tugela** (RPA, 948 m) – **zdobyty**
3. **Cataratas las Tres Hermanas** (Peru, 914 m)
4. **Olo'upena** (USA, 900 m)
5. **Catarata Yumbilla** (Peru, 896 m)
6. **Vinnufossen** (Norwegia, 865 m)
7. **Skorga** (Norwegia, 864 m) – **zdobyty**
8. **Pu'uka'oku** (USA, 840 m)
9. **James Bruce Falls** (Kanada, 840 m)
10. **Browne Falls** (Nowa Zelandia, 836 m)

Chodzi o to, by się wdrapać na górę,
a potem zjechać na linie w dół.
Na razie udało się trzy razy, w planie kolejne siedem prób.

KORONA WODOSPADÓW

Z **JANEM WIERZEJSKIM***
ROZMAWIA **BARTŁOMIEJ KURAŚ**

Pokonałeś dziewiczy wodospad, czyli jaki?

– Znalazłem się w grupie uprawiającej kanioning. To aktywność z gatunku ekstremalnych zajęć sportowych, polegająca na pokonywaniu rwących rzek czy wodospadów. Powstał pomysł zdobycia przez polską ekipę korony wodospadów Ziemi, czyli dziesięciu najwyższych wodospadów na naszej planecie, w ramach projektu Oshee Slide Challenge. Wejścia na nie i zjechania nimi na linach. To fascynująca przygoda, którą filmuję. Niesamowite przeżycie. Od wielu lat działam w górach, ćwierć wieku uprawiam alpinizm, ale to coś zupełnie innego. Zmagasz się nie tylko z górami, ale też z żywiołem, jakim jest rwący nurt wielkiego wodospadu. Właśnie w ten sposób trafiłem do Norwegii pod wodospad Skorga, mierzący 864 metry, siódmy pod względem wysokości na Ziemi, drugi w Europie, dziewiczy, którego nikt wcześniej nie pokonał. Nam się to pod koniec czerwca tego roku udało. Tamta okolica to w ogóle fantastyczne miejsce, pełne także innych wodospadów. Tam też znajduje się największy wodospad w Europie – Vinnufossen, wysoki na 865 metrów.

Norweskie społeczeństwo postrzegane jest jako aktywne sportowo. Ale to Polacy w ich kraju realizują dziewicze dokonania. Nie dziwi cię to?

– Do Norwegii wyjechało sporo Polaków, wśród nich także ludzie z tak zwanego środowiska górskiego, którzy prowadzą tam aktywną działalność, organizując wyprawy, stając się przewodnikami po tamtym terenie. Spodobało im się. Przez pewien czas mieszkałem w Norwegii. Tam są fantastyczne krajobrazy, zimą raj dla skiturowców. I Norwegowie faktycznie chętnie podejmują różne aktywności sportowe. Ale mam też taką obserwację, że bardzo zwracają uwagę na bezpieczeństwo. I ciekawią się wyczynami jako obserwatorzy. Nas w zmaganiach na wodospadzie wspierał komendant lokalnej policji.

Może z Norwegami jest trochę tak jak z dawnymi góralami na Podhalu, którzy uważali, że nie ma sensu chodzić po wierchach, bo to niebezpieczne. Tylko nieliczni wyprawiali się tam na polowanie, stając się później pierwszymi przewodnikami po Tatrach i pierwszymi ratownikami górskimi. – Ludzie mający od dziecka kontakt z surową przyrodą z pewnością czują przed nią respekt.

W Norwegii podczas waszej wyprawy było niebezpiecznie? Przemokliście w tym wodospadzie?

– Pierwotnie zamierzaliśmy pokonać dwa wodospady – Skorgę i Vinnufossen. Spod tego drugiego jednak się wycofaliśmy, bo olbrzymi nawis śnieżny groził oberwaniem. Paradoksalnie naszym przeciwnikiem okazała się zbyt dobra pogoda, w potocznym znaczeniu tego terminu. Bo to słoneczne dni spowodowały, że nawis śnieżny był coraz bardziej niestabilny. O tej porze roku słońce operowało tam przez mniej więcej 20 godzin. Za to nie musieliśmy się zrywać o czwartej rano, co zwykle w górach ma się w zwyczaju, by zdążyć z eskapadą przed zmrokiem. Tam prawie przez całą dobę było jasno.

Na wodospadzie Skorga, jako że był dziewiczy, nie do końca wiedzieliśmy,

czego się spodziewać. Największym niebezpieczeństwem były luźne kamienie, których poruszenie groziło oberwaniem się głazów i wpakowaniem nas w tarapaty. W alpinizmie przemieszczanie się po takim terenie nazywa się chodzeniem po zgniłych jajkach. Ale udało się pokonać ten wodospad bez większych przeszkód.

Nie przemokliśmy, bo mieliśmy specjalne kombinezony, uszyte dla nas na miarę. Ale byliśmy bardzo zmęczeni, bo działalność w wodzie bardzo mocno wysysa siły z człowieka.

Starać się być pierwszymi w świecie zdobywcami korony wodospadów to ciekawe wyzwanie. Czy polski zespół walczy tylko z własnymi słabościami, czy może z kimś się ściga?

– Tylko polska ekipa ogłosiła publicznie taki cel. Nie wiemy, czy ktoś jeszcze ma takie plany, nic o tym nie słyszeliśmy. Ale aktywni w takiej działalności są też wspinacze z Czech, Słowacji i Słowenii.

Ile czasu potrzeba na zdobycie korony wodospadów?

– Myślę, że jest to cel możliwy do zrealizowania w ciągu kilku najbliższych lat, od trzech do pięciu. To zależy oczywiście od finansów; jeśli sponsor nadal będzie wspierać ten projekt, to polska ekipa jako pierwsza w świecie może zdobyć koronę wodospadów. To jest skomplikowane logistycznie przedsięwzięcie, bo musimy się pojawić na różnych kontynentach: w Peru, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, Nowej Zelandii. No i wrócić do Norwegii, by pokonać najwyższy wodospad Europy.

Pomysłodawcą i głównym organizatorem przedsięwzięcia jest Dariusz Pachut, sportowiec, podróżnik i ratownik medyczny. Wszystko zaczęło się podczas kanioningowej wyprawy do Szwajcarii w 2018 roku, gdzie wpadł na pomysł zdobycia korony wodospadów. W kolejnym roku razem z przyjaciółmi pokonał najwyższy wodospad świata – Salto Angel (979 metrów). By do niego dotrzeć, trzeba było się przeźdierać przez kilkadziesiąt kilometrów amazońskiej dżungli, sawanny, bagien i wzniesień. W dodatku w Wenezueli w tamtym czasie trwały działania wojenne. Potem projekt został przerwany z powodu pandemii, ale teraz jest kontynuowany. W tym roku w lutym byliśmy w RPA, gdzie pokonaliśmy wodospad Tugela, o wysokości 948 metrów, drugi najwyższy na świecie.

W zmaganiach z wodospadami biorą również udział: Dimitri Wika, z zawodu arborysta, czyli specjalista od pielęgnacji drzew, zajmujący się też ich leczeniem; Jakub Poburka, ratownik TOPR; Miłosz Forczek, instruktor ratownictwa górskiego GOPR i grotołaz; Tomasz Grodzicki, były funkcjonariusz jednostek specjalnych, skoczek spadochronowy. Ja i Wojciech Kozakiewicz, także działający na Podhalu, dokumentujemy to wszystko na filmach i zdjęciach.

Co skłoniło cię do przeprowadzki z Warszawy na Podhale?

– Moi rodzice za PRL-u współtworzyli Niezależną Agencję Fotograficzną „FotoNova”, z której zdjęcia ukazywały się w podziemnej prasie. Mój tato Tomasz Wierzejski w 1989 roku znalazł się w „Wyborczej”, w pierwszych tygodniach istnienia gazety zrobił między innymi zdjęcie Tadeusza Mazowieckiego w Sejmie z gestem zwycięstwa. To było po jego wyborze na pierwszego niekomunistycznego premiera po 1945 ro-

ku. Tato jeździł też do Afryki, Kambo-dży w czasach Czerwonych Khmerów czy na pierwsze wolne wybory do Albanii. W takim domu się wychowywałem, też chciałem fotografować i podróżować. Z czasem zająłem się również filmowaniem. Tato jako fotograf jeździł po całym świecie, ale też w Tatry. Rodzice się wspinali. Nasza rodzina знаła się ze znanym podhalańskim rodem Krzeptowskich, co w książce „Pięć stawów” opisała Beata Sabala-Zielińska. Więc i ja od młodych lat bywałem na Podhalu. No i zakochałem się w Marcie Krzeptowskiej, mojej obecnej żonie, i w wieku 27 lat wyprowadziłem się z Warszawy do Kościeliska. Marta i jej siostra Marychna prowadzą razem schronisko w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Pozytywna siła siostr jest tam ogromna. Pannie radzą sobie świetnie, a ja im tylko trochę czasami pomagam. Założyłem tam szkołę górską. W schronisku przedstawiam się jako mąż kierowniczk.

Jesteś operatorem filmowym, specjalizujesz się w ujęciach górskich. Pracowałeś m.in. przy takich produkcjach jak „Ostatni górale”, „Niebezpieczni dżentelmeni” czy „Poskromienie złoŃnicy”. Jak współpracuje się z miejscowymi góralami, jak się o nich opowiada językiem filmowym?

– Opowiadane historie o góralach w wymienionych filmach nie zawsze są im na rękę. Ale finalnie wydaje się, że górale wychodzą na swoje. W końcu tak czy siak to promocja regionu, dla którego turystyka stała się w XX wieku głównych źródłem dochodu. Niezależnie, czy są to górale, czy inne społecznośc, każdy by wołał, aby mówiono o nim raczej dobrze. Ale film to taka forma sztuki, w której jak nie ma konfliktu albo jak bohater nie mierzy się z jakimś problemem, to przestaje to być ciekawe. Co oznacza, że praktycznie przestaje istnieć jako dzieło sztuki. Współpraca z góralami czy zakopiańczykami ma swoją specyfikę, do której już przywykłem. Tu trochę inaczej płynie czas. Na pewno wolniej niż w Warszawie. Nie wszystko da się załatwić „na już”.

Jesteś operatorem od zdjęć specjalnych, specjalizujesz się w pracy w górach. Niedawno z reżyserem Marcinem Koszałką rozpoczęliście w Tatrach zdjęcia do filmu rozgrywającego się w czasach okupacji na Podhalu i akcji „Goralenvolk”.

– To bardzo potrzebny film, porusza temat kontrowersyjny i trudny, który obrazuje, przed jakimi wyborami możemy stanąć, kiedy nagle skutek wojny nasz dotychczasowy świat zostaje zniszczony. Marcin robi go bardzo rzetelnie, konsultując się z wieloma ludźmi na Podhalu, historykami. Ta opowieść dotyczy wielu podhalańskich rodzin, w tym rodziny mojej żony. To temat wciąż budzący emocje na Podhalu, ale nie można go skrywać. Film Marcina portretuje Podhale w czasach okupacji, ale to nie jest film historyczny, tylko fabuła zrealizowana na kanwie tamtych czasów. Sporo będzie w nim też wspinaczkowego zmagania się z górami.

A jak tobie, urodzonemu mieszcuchowi, żyje się na podhalańskiej wsi? Nieraz słyszy się narzekania mieszkańców innych regionów na Podtatrze, że górale nie dbają o ten wyjątkowy zakątek naszego kraju.

– Jestem bardzo zadowolony z mieszkania na Podhalu. Przeszedłem na drugą stronę rzeki i już nie byłbym w sta-

nie wrócić. Choć Warszawę lubię jako moje miasto i doceniam, że się rozwija. Chętnie ją odwiedzam. Ale mieszkać tam na co dzień byłoby mi już bardzo trudno. Przywykłem do podhalańskich i tatrzańskich krajobrazów, Dolinę Pięciu Stawów Polskich uważam za najpiękniejsze miejsce na świecie.

Trafiłem do góralskiej rodziny i zostałem w niej bardzo dobrze przyjęty. Mieszkamy w drewnianym domu w Kościelisku. Ja już żyłem się z Podhalem i nie bardzo wyobrażam sobie, bym mógł mieszkać na stałe gdzie indziej. A że turyści nieraz narzekają na Podhale, że nie należycie dbać się o ten region? Mają wiele racji, choć to problem nie tylko Podhala. W całej Polsce dopuszczono do nieładu architektonicznego: na Mazowszu, nad Bałtykiem, na Mazurach, także na Podhalu. To trwa niestety od PRL-u. Na tle pięknych Tatr widać to bardzo wyraźnie, nad czym boleję. Zwłaszcza po powrocie ze Skandynawii, gdzie ochrona krajobrazowa jest wielką wartością. Na Podhalu są mieszkańcy, którzy tym się nie przejmują, ale jest też wielu takich, którzy dbają o swoją ojcowiznę. To lud, na którego ręce patrzy cała Polska. Wytworzyło się też wiele stereotypów o góralach, podejrzewam, że podobne stereotypy są i w innych częściach Polski, na przykład na Kaszubach, tylko nie są już tak nagłaśniane.

W Kościelisku, w którym mieszkam, wójt Roman Krupa zarządził zdjęcie szpetnych reklam. I ludzie posłuchali, Tatry się odsłoniły. To dobry znak, oby całe Podhale podążyło tą drogą. W Tatrzańskim Parku Narodowym priorytetem jest ochrona przyrody, tam jako przyrodnicy pracuje wielu górali. Tak samo w Tatrzańskim Ochotniczym Pogotowiu Ratunkowym, niosącym pomoc turystom w tarapatach. Za te podstawy mieszkańcy Podhala są akurat chwaleni. I ja z takimi osobami tutaj się przyjażnię. To świetni ludzie, o czym przekonało się też wielu moich znajomych z Warszawy.

Ale gdybyś miał teraz możliwość wyjazdu do Norwegii na stałe, to przeprowadziłbyś się w rejon fiordów czy został na Podhalu?

– Od Norwegów można się wiele do-brych wzorców nauczyć: ochrony przyrody, ładu architektonicznego czy dbania o krajobraz. I chciałbym, żeby to zagościło na dobre na Podhalu i w całej Polsce. Mieszkalem już w Norwegii przez pół roku i wtedy bardzo zażęskniłem za naszą spontanicznością i pewnym luzem. Podhale to moje miejsce na Ziemi.



***Jan Wierzejski**

• absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, alpinista i narciarz, scenograf, filmowiec, fotograf. Autor filmów górskich nagradzanych m.in. na KFG, w Łądku-Zdroju czy Cannes Corporate TV & Media Awards. Współtwórca 5+ Szkoły Górskiej. Mieszka w Kościelisku

S trachy na wróble wyposażone w lasery, skanery jakości i ilości zbiorów, ciągnik bez kierowcy, śledzenie upraw do centymetra, informacje o stanie zwierząt i roślin na smartfonie. Takie rozwiązania są powoli wdrażane i odmieniają obraz rolnictwa.

Ok. 11,5 tys. lat temu na obszarze Żywnego Półksiężyca narodził się projekt, który odmienił historię ludzkości. „Niezdolność do zapewnienia utrzymania rosnącej populacji w połączeniu ze zmianami klimatycznymi ostatecznie skłoniła ludzkość do szukania innego sposobu na życie – rolnictwa”, stwierdza ekonomista Oded Galor w wydanej niedawno po polsku książce „Podróż ludzkości: o pochodzeniu bogactwa i nierówności”.

Wymuszone porzucenie społeczności łowiecko-zbierackich, mimo że pierwsi mieszkańcy byli niedożywieni i chorowali, w perspektywie długoterminowej okazało się pewniejszą i bezpieczniejszą strategią produkcji żywności. Rolnictwo rozprzestrzeniło się na całym globie.

Jednak sytuacja się zmieniała. O ile w przededniu rewolucji neolitycznej i założeniu pierwszych miast Ziemię zamieszkiwało około 2,4 miliona ludzi, rolnictwo sprawiło, że zbliżamy się do 8 miliardów mieszkańców. Wspominana przez Galor „niezdolność” to również powody, które sprawiają, że przeobrażeniom musi ulec XXI-wieczne rolnictwo.

Jak zauważa prof. Hazem M. Kalaji, fizjolog roślin z Instytutu Biologii Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, pierwsze rolnictwo pojawiło się dzięki dostępowi do wody. Jednak początki rolnictwa to również pierwsza katastrofa ekologiczna w historii – intensywne uprawy i nawadnianie doprowadziły do pobierania wody ze studni – nie znano irygacji – a ta, o dużym zasoleniu, przyczyniła się do katastrofy ekonomicznej Asyryjczyków i Babilończyków. Zasolenie zdegradowało glebę w strefie wzrostu roślin.

Obecnie aż połowę łądów nadających się do zamieszkania przez człowieka zajmują tereny rolnicze. Do tego rolnictwo odpowiada za ponad jedną trzecią całej antropogenicznej emisji gazów cieplarnianych.

TRZY WAŻNE PYTANIA

Jak rolnictwo może poradzić sobie z niepewną przyszłością?

W jakim stopniu lokalne ograniczenia i globalne dysproporcje odpowiadają za niepewną przyszłość?

W jaki sposób powinniśmy ustalić priorytety, aby zaadaptować się do zmian i przezwyciężyć przyszłe zagrożenia?

Pytali o to już dekadę temu na łamach „Nature” Ana Iglesias i współpracownicy. Rozwiązania pozostają niezwykle złożone, a ich pytania aktualne. Sytuacji nie ułatwia to, że odpowiedź różni się w zależności od regionu świata. Gdy w krajach zachodnich rolnictwo zapewnia pracę mniej niż 1 proc. mieszkańców, w Ugandzie współczynnik wynosi aż 72 proc. Szczególnie trudna przyszłość czeka rolnictwo w Afryce i Azji Południowo-Wschodniej. Zdaniem Iglesias i współpracowników systemy rolnicze w tych regionach wydają się szczególnie podatne na zagrożenia związane ze zmianami klimatu.

WIELKIE MARNOWANIE

Jeszcze w 1945 r. niedożywiona pozostawała połowa populacji świata. Mimo że współcześnie aż 13 proc. osób w krajach rozwijających się pozostaje niedożywionych, głód przestał być ponurą codziennością, ale to wyjątek w historii. Jak stwierdza Steven Pinker: „gdyby przez minione pięćdziesiąt lat wydajność rolnictwa pozostawała na tym samym poziomie, a świat produkował-



by taką samą ilość, trzeba by wykarczować i zorać obszar o powierzchni Stanów Zjednoczonych, Kanady i Chin”.

Najpierw, na początku XX w., Fritz Haber opracował metodę wytrącania z powietrza azotu za pomocą metanu i pary wodnej – olbrzymie ilości ptasich odchodów, które przywracały azot w wyjałowionych przez uprawy glebach, odeszły w niepamięć. Później, w latach 50. i 60., Norman Borlaug skrzyżował tysiące odmian pszenicy i wyhodował odporną na rdzę, dającą wielokrotnie większe plony. Dzięki temu Meksyk, Indie i Pakistan z krajów, którym groziły klęski głodu, zamieniły się w eksporterów zboża.

W 2022 r. rolnictwo wciąż zapewnia wystarczająco dużo żywności, aby wyżywić całą ludzkość, ale wiele wskazuje, że to nie utrzyma się długo. Jak wynika z wycień amerykańskiej Food and Agriculture Organization, do 2050 r. rolnictwo musiałoby produkować od 60 proc. do 110 proc. więcej produktów niż w 2006 r.

Długotrwałe susze i powodzie doprowadziły już w niektórych regionach świata do problemów z dostępem do żywności, problem stanie się powszechny. Mimo że światowa produkcja rolna utrzyma się na obecnym poziomie do 2030 r., jej poziom w kolejnych dziesięcioleciach zacznie spadać. Chociaż powierzchnia upraw może być nieznacznie powiększana, nie zaspokoi to potrzeb rosnącej populacji. Między 1990 a 2010 wzrosła jedynie o 3 proc. Obecnie koszty pozyskiwania nowych gruntów pod uprawy są zbyt wysokie, aby zażegnać niedobory żywności.

Sytuacji nie ułatwia to, że na całym świecie marnujemy jedną trzecią żywności, czyli 30 proc. gruntów rolnych na świecie wytwarza rocznie żywność, która nie jest spożywana. To obszar wielkości Chin, Mongolii i Kazachstanu razem wziętych.

Potrzebujemy rewolucji w rolnictwie, a jej początek musi nastąpić na uniwersytetach. Niedoskonałości systemu edukacji przekładają się na sposób prowadzenia badań, co nie sprzyja innowacjom w rolnictwie.

ZIEMIA I WĘGIEL

Innowacje w rolnictwie nie trafiają na pierwsze strony gazet i nie budzą większego

LASEROWY STRACH NA WRÓBLE

Czy u progu katastrofy klimatycznej szklarnie będą niczym dyskoteki pełne diod, a rolnicy będą sterować uprawami ze smartfona?

Kasper Kalinowski

zainteresowania. Niesłusznie. Zdaniem Simona Appeltansa, doktoranta z belgijskiego Ghent University, „zachęcanie młodych ludzi do kariery w rolnictwie i w naukach o roślinach pozostaje absolutnie niezbędne dla osiągnięcia zrównoważonego rozwoju w przyszłości”.

W skrócie: musimy stawiać na bardziej zrównoważony rozwój, edukację i interdyscyplinarną współpracę. Obecną sytuację dobrze oddaje główne źródło energii stosowane w uprawach czy hodowli – rolnictwo w znacznym stopniu opiera się na paliwach kopalnych, a to sytuacja nie do utrzymania. Jak podkreśla Appeltans: „W przeszłości obserwowaliśmy, że gospodarka przypomina tankowiec – wolno zmienia swój kurs (co kończy się katastrofą, gdy ten się rozbił). Współcześnie stoimy przed wyzwaniem przejścia na gospodarkę o obiegu zamkniętym, w której odpady będą traktowane jako cenny wkład w inne procesy, a nie wyrzucane na składowiska czy spalane”.

Takie rozwiązania są powoli wdrażane. Doskonałym przykładem jest wykorzysta-

nie odpadów z jabłoni do produkcji związków polifenolowych, które mogą być później używane jako antyoksydanty w kosmetykach.

Mateusz Tulecki, socjolog, który zajmuje się wpływem technologii na życie codzienne i rolnictwo, dodaje, że ważne jest ograniczenie przestrzeni pod uprawę roślin, mniejsze zużycie wody i ogólnie zasobów. Możliwie najszersze wykorzystanie „obiegu zamkniętego, cyrkularnego” w każdym możliwym aspekcie. To nie są zmiany, sporo rozwiązań już jest, potrzeba jednak czasu na ich wdrożenie.

ROLNICTWO 4.0

Tulecki dostrzega początki zmian. Po pierwsze, poszukuje się innych metod pozyskania pożywienia, jak np. syntetyzacja białek, co niektórzy określają mianem hodowli mięsa w probówkach. Szczególnie w krajach rozwiniętych obserwujemy znaczne zmniejszenie spożycia mięsa po-

FOT. FUTURE PUBLISHING /GETTY IMAGES



chodzenia zwierzęcego i zastępowanie go alternatywami. Po drugie, widzimy zdecydowaną automatyzację rolnictwa, na każdej płaszczyźnie. Po trzecie, zmiany będą zmierzać do jak najmniejszej szkodliwości dla środowiska.

Ale niezbędne wydają się również zmiany na poziomie systemowym.

Jak wskazuje prof. Hazem M. Kalaji, zmiany powinny być ukierunkowane na powrót do badań podstawowych, o których młodsza generacja naukowców zapomniała, oraz łączenia sił ekspertów z całego świata. Badacze, zamiast współpracować, by zapobiec katastrofie związanej z niedoborem żywności na świecie, konkurują, aby pokazać, kto jest lepszy, kto posiada więcej cytowań czy wyższe parametry oceny dorobku naukowego. To system stworzony przez polityków, a nie naukowców. Mamy więc do czynienia z systemem chorym, troszczącym się o punkty i wskaźniki cytowań, a nie jakość badań, które mogłyby rozwiązywać problemy i uratować ludzić przed głodem.

Jeśli rolnictwo chce sprostać wyzwaniom przyszłości, musi zintegrować dorobek z wielu dziedzin nauki, jak big data, bioinformatyka czy genetyka. Rolnictwo 4.0, jak niektórzy to określają, nie będzie już polegało na równomiernym stosowaniu wody, nawozów i pestycydów na całym obszarze upraw. Rolnicy będą stosować minimalne ilości surowców i kierować je bezpośrednio do wskazanych obszarów. Rolnictwo 4.0 będzie korzystać z zaawansowanych technologii, takich jak roboty, czujniki temperatury i wilgotności, zdjęcia lotnicze czy GPS.

Prof. Kalaji: – Potrzebna nam nowa, prawdziwa rewolucja, która będzie bazowała na sztucznej inteligencji (AI), uczenia maszynowego i która będzie dokonana jednocześnie przez naukowców na całym świecie. Obecnie ponad 95 proc. naukowców zajmujących się badaniami nad roślinami poszło w złym kierunku, prowadzi bardzo wyrafinowane badania (genetyka, biotechnologia i biologia molekularna), ale nie łączy ich z innymi, praktycznymi tematami, jak plonowanie roślin czy powiększenie produkcji roślinnej poprzez fotosyntezę. Teoretycznie podwojenie wydajności fotosyntetycznej roślin powoduje podwojenie plonu.

PORZUĆMY ROMANTYZM

Jeśli cenimy rolnictwo i produkcję żywności na niewielką skalę, musimy być świadomi konsekwencji, jakie to za sobą pociąga w zakresie cen, dostępu do żywności czy jej bezpieczeństwa. Jak zauważa Louise O. Fresco z holenderskiego Wageningen University and Research Centre, małe, sielskie gospodarstwa rolne mogą być spełnieniem marzeń XIX-wiecznych romantyków i idealnym miejscem do tworzenia poematów czy odpoczynku, ale nie wykarmią 8-miliardowej populacji. Jak trafnie wskazuje Fresco, niecałe pięć pokoleń temu, zanim agrobiznes zdominował produkcję żywności, osiem na dziesięć osób cierpiało z powodu ubóstwa i niedoboru żywności. Według badań Giovanniego Federico w latach 1880-1938 rolnik w Europie i USA był w stanie wyżywić mniej niż 20 osób. Współcześnie liczba ta wzrosła dziesięciokrotnie.

Jak wylicza dr inż. Jacek Skudlarski z Instytutu Inżynierii Mechanicznej Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, w dobie zmian gospodarczych, społecznych i klimatycznych rolnictwo na świecie, w tym także w Polsce, wymaga szeroko zakrojonej transformacji w zakresie produkcji żywności. Jednym z wyzwań europejskiego rolnictwa jest sprostanie wymaganiom Europejskiego Zielonego Ładu, który nakłada na rolników konieczność redukcji zużycia pestycydów i nawozów mineralnych oraz emisji gazów cieplarnianych. Gospodarstwa rolne, które będą chciały produkować na rynek, będą musiały przejść cyfrową transformację, podobnie jak przedsiębiorstwa przemysłowe, by spełnić wymagania klimatyczne, a jednocześnie produkować coraz bardziej wydajnie bezpieczną żywność. Automatyzacja, robotyzacja i cyfryzacja to przyszłościowe kierunki produkcji rolnej. Rozwiązania techniczne i technologiczne z tego zakresu będą powszechne w towarowych gospodarstwach rolnych. Mniejsze gospodarstwa będą korzystać z nich w mniejszym stopniu.

BEZ KABLI

W przeszłości okablowanie było oznaką zaawansowania i postępu technologicznego. W 1955 r. łączna długość przewodów elektrycznych w samochodzie wynosiła około 45 metrów. W 2002 r. były to już 4 kilometry kabli. Pod tym względem przemysł samochodowy przypomina rolnictwo, które dopiero zaczyna stosować technologie bezprzewodowe.

Jak podkreślali Ning Wang z McGill University i współpracownicy we wpływowej, opublikowanej w 2006 r. pracy, oczywistą zaletą bezprzewodowej transmisji danych jest znaczne uproszczenie i niższe koszty. Eksperci szacują, że średni koszt okablowania w instalacjach przemysłowych wynosi 130-650 dolarów za metr. Zastosowanie technologii bezprzewodowej zmniejszyłoby koszty od 20 do 80 proc.

W przypadku rolnictwa nie chodzi jednak wyłącznie o wygodę i niższe koszty. Jedną z bardziej obiecujących perspektyw wydają się wyspecjalizowane roboty i autonomiczne systemy połączone w spójną całość. Np. inteligentne systemy nawadniające, które mogłyby błyskawicznie reagować na

zmiany warunków pogodowych i kontrolować stan wzrostu upraw, tak aby automatycznie dostosowywać poziom nawadniania w sposób, który zmniejsza zużycie wody, ale nie powoduje utraty plonów. Przykładem z Polski jest opracowany przez prof. Kalajiego jako koordynatora grantu firmy White Hill z Białegostoku system TRIFID. To robot, który potrafi monitorować rośliny w szklarni oraz w polu. Innowacyjny system monitorowania stanu upraw ułatwia podejmowanie decyzji.

Są już jabłka z czujnikami, które informują, że czas zacząć zbiory. Hodowcy dostają powiadomienia na smartfona

Jak wskazuje zespół brytyjskich ekspertów w raporcie „Robotyka rolnicza: przyszłość rolnictwa robotycznego” system odpowiednich czujników mógłby wykrywać potencjalne zagrożenia dla zbiorów i monitorować ich stan z dokładnością do centymetrów. Jeśli dodamy do tego zaawansowane systemy optyczne, np. czujniki oparte na sztucznej inteligencji, decyzje mogłyby być podejmowane z dokładnością i czasem reakcji niedostępnym dla ludzi – wskazywać, kiedy poszczególne rośliny są gotowe do zbiorów, a nawet alarmować o początku chorób.

Manuel Zude-Sasse, inżynier rolnictwa z Leibniz Institute for Agricultural w Poczdamie, przymocował do jabłek czujniki analizujące ich rozmiar oraz poziom pigmentów chlorofilu i antocyjanów. Zgromadzone w ten sposób dane w połączeniu z algorytmem analizującym stadium rozwoju owoców informowały o optymalnym czasie zbiorów. Hodowcy otrzymywali powiadomienia na smartfona.

Agrobotix, firma zajmująca się analizą danych rolniczych z Boulder w Kolorado, dostarcza drony i oprogramowanie, które za pomocą generowanych w podczerwieni zdjęć tworzy mapy roślinności na dużych polach uprawnych. Zgromadzone w ten sposób informacje mogą ujawnić potencjalne przyczyny chorób roślin, takie jak szkodniki lub problemy z nawadnianiem.

To szczególnie potrzebne rozwiązania. Jak szacuje Organizacja Narodów Zjednoczonych, pomimo stosowania około 2 milionów ton pestycydów na skutek szkodników

i chorób każdego roku tracimy od 20 do 40 proc. zbiorów.

W przypadku jednego z rozwiązań opracowywanego przez prof. Kalajiego uprawy ułatwi kamera do monitoringu z wbudowanym fluorymetrem – miernikiem stresu. Sygnalizuje zagrożenia na dwa-trzy tygodnie, nim skutki zaczną być widoczne gołym okiem. System będzie można wykorzystywać nie tylko w szklarniach, ale również w lasach oraz na polach uprawnych. Dodatkowo wiązka laserowa umożliwia pomiary na odległość do ok. 300 km. Wystarczą odpowiednia lokalizacja lasera i wysoki maszt.

W kolejnym z projektów zainspirowanych badaniami prof. Hazema Kalajiego, prezentowanym obecnie na Triennale w Mediolanie „Greenhouse silent disco”, zwiedzający mogą oglądać artystyczną wizję szklarni przyszłości. To pomieszczenie wypełnione cyfrowymi sensorami, które zostały połączone z systemami komputerowymi po to, aby na bieżąco śledzić i rejestrować to, co „mówią” rośliny. Jak reagują na określone potrzeby, np. dotyk człowieka czy zmieniające się warunki atmosferyczne na zewnątrz. „Mowę” roślin można śledzić za pomocą zmieniających się kolorów światła LED, a także dźwięków, na które przekładają je systemy komputerowe.

Innowacje to nie tylko większe zbiory, ale również oszczędność czasu. W Wielkiej Brytanii Richard Green z Harper Adams University opracował urządzenie do zbierania truskawek, które może zbierać owoce znacznie szybciej niż człowiek. Jak podkreśla Green, ludzie mogą zbierać od 15 do 20 owoców na minutę. Jego urządzenie zbiera truskawkę co dwie sekundy.

Rozwiązania nie ograniczają się oczywiście do roślin. Inteligentne obroże, przypominające znane nam wszystkim opaski do śledzenia stanu naszego zdrowia, są stosowane do monitorowania krów w Szkocji już od 2010 r. Opracowana przez start-up Silent Herdsman obroża monitoruje również płodność zwierząt. Wystarczy śledzenie aktywności – krowy poruszają się częściej w dniach, kiedy są płodne. Jeśli krowa spędza na jedzeniu i przeżuwanii mniej czasu, urządzenie ostrzega hodowcę o ryzyku choroby. Zarówno informacje o dniach płodnych krów, jak i pogorszeniu stanu ich zdrowia wysyłane są bezpośrednio na smartfona.

KONIEC STAREGO ROLNICTWA

Dlaczego tak niewielu z nas słyszało o podobnych rozwiązaniach i wciąż traktujemy je jako nowinki? Zdaniem części ekspertów podstawowy problem polega na tym, że rzadko przebijają się poza obszar akademickich dyskusji i niewielkich start-upów. Wiodący producenci nie inwestują w produkcję robotów czy nowoczesnych czujników, ponieważ jest to sprzeczne z aktualnym modelem biznesowym.

Zmiany są jednak nie do uniknięcia. Również w Polsce. Jak wskazuje dr inż. Jacek Skudlarski, przyszłością polskiego rolnictwa będą jeszcze bardziej zaawansowane technicznie ciągniki i maszyny oraz autonomiczne roboty pracujące na polach, w sadach czy w budynkach inwentarskich. Maszyny te podobnie jak stacje pogodowe i inteligentne sensory będą podpięte do Internetu Rzeczy (IoT), dzięki czemu rolnik będzie „miał swoje gospodarstwo w smartfonie”, z poziomu którego będzie nie tylko monitorował procesy produkcyjne, ale również nimi zdalnie sterował.

Jak podsumowuje prof. Hazem M. Kalaji, szybki wzrost populacji w połączeniu z coraz częstszymi katastrofami spowodowanymi zmianami klimatycznymi skutkuje tym, że tradycyjne rolnictwo przestaje spełniać swoją funkcję. Dowodem jest to, że zarówno na rynku lokalnym, jak i światowym obserwowany wzrost ceny produktów rolniczych w skali roku jest porównywalny, a nawet wyższy niż wzrost cen paliw czy złota. ●

Jutronauci 2022

• Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości?

Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmienią się nasze społeczeństwo.

• W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w naj-

rozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

BORN IN THE USA

POTURBOWANA
JASTRZĘBICA

• Gabinet Owalny, listopad 2019 roku. Liz Cheney (z lewej) rozmawia z Donaldem Trumpem po podpisaniu przez prezydenta ustawy o emisji monet pamiątkowych z okazji stulecia przyznania kobietom praw wyborczych FOT. MARK WILSON/GETTY IMAGES

Donald Trump wołał do tłumu: „Musimy się pozbyć wszystkich Liz Cheney świata!”

Maciej Jarkowicz

Był 6 stycznia 2021 roku. Na połączonej sesji Kongresu liczono głosy elektorskie i szykowano się do zatwierdzenia wyboru Joeja Bidena na prezydenta. Wokół Kapitolu trwała demonstracja zwolenników Donalda Trumpa. Gdy tłum zaczął wdzierać się do budynku, sesję przerwano, a politycy w popłochu uciekali z sali obrad. „Trzeba eskortować wszystkie panie!” – komenderował republikanin Jim Jordan. Podbiegł do Liz Cheney, kongreswoman z Wyoming, i chciał chwycić ją za rękę. Odepchnęła go z wściekłością.

„To, ku..., twoja wina!” – syknęła.

Jordan należał do najbardziej zapalczywych zwolenników Trumpa. Zapowiadał, że nie zgłosuje za uznaniem głosów elektorskich. Z kolei Cheney była republikanką, która najostrzej zareagowała na twierdzenia Trumpa, że wybory zostały sfalszowane. Nazywała je wielkim kłamstwem. Tamtego dnia na porannym wiecu przed Białym Domem prezydent wołał do tłumu: „Musimy się pozbyć wszystkich Liz Cheney świata!”

Po wydarzeniach z 6 stycznia Cheney była jedną z 10 republikanów, którzy zagłosowali razem z demokratami za impeachmentem Trumpa.

Dziś kobieta zaliczana do niedawna do „arystokracji partii republikańskiej”, nazywana „spadkobierczynią konserwatywne-

go tronu” i wskazywana jako jedna z największych nadziei na przyszłość prawicy toczy swój ostatni bój. Jej upadek, który nastąpi najpewniej w najbliższy wtorek w prawyborach w Wyoming, pokazuje, jak zmieniła się jej partia i jak zmieniła się Ameryka.

Córka byłego wiceprezydenta Dicka Cheney’a poprzednie wyścigi o fotel w Izbie Reprezentantów z jej rodzinnego stanu Wyoming wygrywała w cuglach. W 2016 r. i 2018 r., i 2020 r. zdobywała niemal 70 proc. głosów. Teraz najprawdopodobniej polegnie na etapie prawyborów. Konkurująca z nią o nominację Republikanów Harriet Hageman ma w sondażach bezpieczną przewagę. Powód jest prosty: Trump.

Położony na zamkniętej Górach Skalistych preri Wyoming jest najrzadziej zaludnionym regionem USA. Tamtejsza populacja to w większości ranczerzy, potomkowie osadników. Niemal trzy czwarte wyborców głosuje na Trumpa – najwięcej spośród wszystkich stanów. Jak napisał jeden z komentatorów: przekonywanie mieszkańców Wyoming, że Trump jest zagrożeniem dla demokracji, to jak namawianie hodowców bydła na weganizm. To właśnie robi Liz Cheney.

Strategia wyborcza Hageman, zupełnie nieznana do niedawna prawniczki, która kilka lat temu pracowała w sztabie swojej dzisiejszej rywalki, nie jest skomplikowana. Bez przerwy, gdzie tylko się da, wychwala Trumpa i powtarza, że Cheney jest zdrajczynią: zdradziła swoich wyborców, zdradziła stan Wyoming, zdradziła Amerykę.

Cheney wie, że przegra. Kampanię traktuje jako platformę do budowania koali-

cji przeciwników Trumpa w łonie Republikanów. Chce uratować partię przed otchłanią, w jakiej – według niej – się pogrąży. Problem w tym, że jest osamotniona. Nie tylko w Wyoming.

W spocie wyborczym Cheney występuje jej ojciec. Były wiceprezydent w administracji George’a W. Busha w kowbojskim kapeluszu na głowie nazywa Trumpa tchórzem i apeluje, aby go powstrzymać, zanim rozwali kraj.

Jej upadek, który nastąpi najpewniej w najbliższy wtorek w prawyborach w Wyoming, pokazuje, jak zmieniła się jej partia i jak zmieniła się Ameryka

Obsadzenie starego Cheney’a w roli obrońcy demokracji jest decyzją co najmniej kontrowersyjną. To on był mózgiem całej serii operacji politycznych, wywiadowczych i militarnych z czasów tak zwanej wojny z terrorem. Należy do najważniejszych ludzi odpowiedzialnych za fałszowanie dowodów na istnienie arsenałów broni masowego rażenia w Iraku, co dało USA pretekst do nielegalnej wojny. Jest współodpowiedzialny za stosowanie tortur. Za program masowych podsłuchów. Był najsprawniejszym macherem rządu, który w białych rękawiczkach niszczył amerykańskie instytucje,

aby realizować cele w polityce zagranicznej i wewnętrznej.

Fakt, że Bush i Cheney nie byli ścigani za zbrodnie wojenne, wynika tylko i wyłącznie z mocarstwowej pozycji USA. Toczone przez nich wojny kosztowały życie setek tysięcy ludzi i zrujnowały moralny autorytet Ameryki, jakiego dorobiła się po wygraniu zimnej wojny. Ustanowiły porządek globalny, w którym najsilniejsze państwa nie czekają na zgodę instytucji międzynarodowych, żeby dokonać inwazji. Wyhodowały antyamerykanizm, na którym wzleciał m.in. Putin. Dyskusja, kto bardziej niszczył demokrację – Bush z Cheneyem czy Trump – pozostaje otwarta.

Liz Cheney w administracji Busha pełniła wysoką funkcję w Departamencie Stanu, odpowiadała za politykę bliskowschodnią. Pracowała w wąskim gronie przygotowującym atak na Irak. Była i jest zwolenniczką tortur. Opowiadała się za inwazją na Iran. Bush w autobiografii napisał, że Liz jest większym jastrzębiem od ojca.

Rok temu Cheney została usunięta z kierownictwa Republikanów za krytykowanie Trumpa. Dziś samotnie walczy w Wyoming. Dzieje się tak dlatego, że partii, której swego czasu była nadzieją, już nie ma. Ludzie tacy jak ona przyczynili się do jej upadku.

Gwiazdor Fox News Tucker Carlson pokazuje ją teraz jako oszalałą przedstawicielkę branży zbrojeniowej, która marzy tylko o tym, żeby znów wysłać amerykańskich chłopców na śmierć na jakimś froncie po drugiej stronie świata.

Gdy podróżowałem po Stanach, relacjonując kampanię 2008 r., trudno było znaleźć wyborców Republikanów, którzy broniliby dorobku Busha. Wskaźnik poparcia u kresu jego rządów spadł do 24 proc. Ludzie byli zmęczeni wojną i kryzysem gospodarczym. Wiceprezydenta Cheney’a kojarzyli z wojennymi kontraktami, na których utoczyły się korporacje. W tamtych wyborach wojenny i waszyngtoński weteran John McCain przegrał z nowicjuszem Barackiem Obamą. W następnych latach przez Partię Republikańską przeszło populistyczne tornado najpierw pod marką Tea Party, a później Trumpa. To, co wczoraj rozumiano na prawicy jako establishment – „arystokrację” – dziś jest jej coraz węższym marginesem. To, co było marginesem, dziś rządzi.

Gdy Liz Cheney woła do konserwatywnych wyborców, że demokracja jest zagrożona, ci odpowiadają: „To, ku..., twoja wina!”

MOIM MIEJSCEM SĄ MOI BLISCY

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Tischner powiedział, że myślenie jest wspinaniem się na górską grań i patrzeniem stamtąd na świat. Widoki są imponujące, ale tam nie można zamieszkać, więc schodzimy do doliny, ale pamiętając, że było się tam, na górze.

Z WITEM SZOSTAKIEM*
ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**

Na początku wyjaśnienie, kto jest kto. Z pomocą niech przyjdzie Szczepan Twardoch i jego tekst wydrukowany przed laty w „Tygodniku Powszechnym” o przemianie mieszkającego w podkarpowskich Opatkowicach mężczyzny. Wyobraźcie sobie zatem Dobrosława Kota, który wraca do domu z pracy na uczelni, wchodzi do garderoby, gdzie zdejmując z siebie doktora filozofii, odwiesza go na wieszak, po czym z drugiego zsuwa piarza Wita Szostaka i dopasowuje na siebie.

Teoretycznie spotykam się z tym drugim. Pretekstem jest powieść „Szczelinami”, złożona z wierszy układających się w fabułę portretującą ich narratorkę. Tak,

narratorką „Szczelinami” jest kobieta, co rzecz jasna nie uszło uwadze pojedynczych krytyczek doszukujących się kulturowej opresji w tym, że mężczyzna pisze o kobiecie. Zapytam go i o to, ale na razie jadę do niej/do niego, by dowiedzieć się, „co można wywieść z banału dzieciństwa na zwykłym osiedlu”. Jednak nie o tym okaże się nasze spotkanie na Prokocimiu.

– Nie czuję żadnego sentymentu do tego osiedla.

Dlaczego?

– Nie wiem. Pamiętam długie korytarze z brudnymi szybami w oknach, na podłodze lastriko, jak na grobach, cuchnące lizolem. Człowiek wchodził z tego lizolu do mieszkania, które było niewielką szufladką w wielkim bloku, i dopiero tam się było u siebie. Próg był dla mnie drastyczną granicą. Wychodzisz za próg i już nie jesteś w domu.

Blokowisko ratuje przed dziecięcą samotnością.

– W bloku było wiele dzieci w podobnym wieku. Jak wszyscy w tamtych czasach graliśmy w kolarzy kapslami na rysowanych kredą trasach. Niedaleko, ulicą Wielicką, przejeżdżał Wyścig Pokoju, staliśmy na skraju drogi i czekali na naszych ulubieńców. To było przeżycie. Zbieraliśmy też historyjki z gum do żucia. Stworzyliśmy nawet pod blokiem rodzaj giełdy, gdzie ustaliliśmy kursy, po których się je wymieniało. Niestety, nie zostało we mnie wiele z tamtego kupieckiego zmysłu.

Mnóstwo zieleni.

– Gdy byłem dzieckiem, nie było tutaj drzew. Sadziliśmy je dopiero w czynie społecznym. Pustka i budowa. Bałem się tych bloków. Śniło mi się, że stoję pod betonową ścianą pozbawioną balkonów i okien. Byłem przerażony tym ogromem.

Droga do szkoły wiodła przez ten park, ale nie było alejek. Orientowałem się po układzie drzew, ale teraz się gubię. Spróbuję odnaleźć rzeczkę.

To strumyk raczej.

– Tutaj łapałem traszki. Miałem w pokoju ścianę terrariów, jeszcze żółwie i jaszczurki, do tego hodowlę karmowe: dżdżownice, mączniki; nie wiem, jak to rodzice wytrzymywali, bo to wszystko musiało śmierdzieć. Byłem przekonany, że będę biologiem, jak mama. Ona jest, była, mikrobiolożką, ja sądziłem, że zostanę herpetologiem, będę zajmował się gadami zawodowo.

I kiedy się panu odwiedziało?

– W liceum dostrzegłem, że idee mogą być ciekawsze od natury. Odkryłem religioznawstwo i poczułem, że ewolucja wierzeń religijnych u Eliadego rozpała mnie bardziej niż obyczajowe godowe traszek. Chciałem zostać naukowcem.

Już w liceum wytyczył pan sobie tak zwaną ścieżkę kariery zawodowej?

– Mam rodziców profesorów i wydawało mi się naturalne, że w ciągu dnia prowadzi się wykłady, a nocami pisze się artykuły, że w domu jest dużo książek itd. Jednocześnie czułem, że nie chcę iść po ich śladach, że nauki ściśle nie są moim powoła-

niem. W liceum Pijarów na lekcjach z prof. Gadaczem zrozumiałem, że naprawdę ciąga mnie filozofia.

To też blisko przyrody i człowieka.

– Mam zupełnie inny umysł niż naukowiec, który robi szczegółowe badania, a potem dochodzi do ogólnej teorii. Porywa mnie świat ogólnych idei, próba dotarcia do samych podstaw. Filozofia jest uwolniona od myślenia zadaniowego, mnie fascynowało myślenie, które raczej buduje problemy, niż je rozwiązuje. Tischner powiedział, że myślenie jest wspinaniem się na górską grań i patrzeniem stamtąd na świat. Widoki są imponujące, ale jednocześnie nie budujemy na grani domu. Tam nie można zamieszkać, więc schodzimy do doliny, ale pamiętając, że było się tam, na górze.

Był pan ostatnim magistrantem Tischnera.

– Zacząłem pisać magisterium, kiedy Tischner zachorował. Wtedy musiałem zmienić promotora.

Wybrał pan studia na Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie z jego powodu właśnie?

– Tak. Wówczas uważałem go za najwybitniejszego żyjącego polskiego filozofa. Później odkryłem oczywiście jeszcze innych ważnych dla mnie do dziś filozofów.

To trzy postaci, zupełnie od siebie różne. Tischner – otwarty i dialogiczny, ale przy tym silnie związany z miejscem, z górami. Dionizyjski Cezary Wodziński, zupełnie z innego świata. I Jolanta Brach-Czajna, dla mnie przede wszystkim rewolucjo-

nistka myślenia fenomenologicznego. W dzisiejszym, pełnym podziałów świecie to osobliwe, niemożliwe trio: katolicki ksiądz i razem filozof światła, ikona feminizmu i jeszcze Wodziński, filozof ciemności.

I jak to się panu klei?

– Trudno wskazać wspólne dla nich idee. Ale cała trójka wykracza poza dyskurs akademicki. Najlepiej czują się tam, gdzie ich filozofia, myślenie zbliża się do poetyzowania, do literackiego użycia języka. To są filozofowie metafory, filozofowie języka w tym najgłębszym sensie, że filozofują językiem.

Nie dostrzegam w bohaterce „Szczelinami” światła. Powiada przecież: „A może wasz bóg stworzył w sześć dni tylko cierpienie?”.

– Tak, ona jest zdecydowanie Wodzińska, w niej jest bardzo mało światła. O ile Tischner był człowiekiem, który widział w świecie przede wszystkim dobro, mając jednocześnie głęboką świadomość zła, tak Wodziński był tym, który widzi w świecie zło, mając świadomość, jak sam pisał, niespotykalności dobra. Myślę, że różniło ich to, skąd wchodzi w świat i w myślenie. Wodziński wychodził z mroku i na horyzoncie gdzieś widział jakieś światło, a Tischner wychodził ze światła i miał świadomość, że są cienie i mrok.

A pan?

– Raz jestem bliżej Tischnera, innym razem Wodzińskiego. Nie mam jednej grani, ale chodzę po wielu pasmach i dzięki temu mogę zobaczyć swoje miejsce w linii z wielu perspektyw. To jedna z największych wartości filozofii. Ja jestem w filozofii bezdomny, nie reprezentuję żadnej szkoły i w gruncie rzeczy nie mam poglądów filozoficznych. Mam myślenie. Bezdomność jest moim doświadczeniem fundamentalnym. Bo ja się nigdzie nie zakorzeniłem.

Nie dał pan swojej bohaterce tego tischnerowskiego światła, ale już szczeliny, przez które dociera do nas coś głębszego lub prawdziwszego niż słowa, to z Brach-Czainy, prawda?

– Tytuł nasuwa skojarzenia ze „Szczelinami istnienia”, ale pochodzi z Mickiewicza: w pierwotnym zamiśle chciałem odprawić dziady.

I przywołuje pan duchy, wysyłając bohaterkę do domów jej dziadków. Próbuje szukać wątków biograficznych i rozpoznaje wieś i mężczyznę, który jak pan kolekcjonuje stare oberki.
– Kolekcjonowałem, już mi przeszło. Mam skłonność do intensywnych, ale krótkotrwałych pasji. Muzyka dawna, kultura ludowa, jazz... Teraz, kiedy rozpała mnie coś nowego, od razu towarzyszy temu melancholia, że to się wypali.

Skąd ta wieś? Krakowska chłopomania?

– Mnie interesowała muzyka ludowa, szanowałem tych ludzi, po ludzku ich ceniłem. Byłem im wdzięczny, że mnie goszczą, uczą grać itd., ale nie miałem potrzeby, żeby żyć ich życiem. Od początku miałem też mocne poczucie obcości ich świata.

Z przyjacielem jeździliśmy do Przysławowic Małych, do Jana Gacy, wybitnego skrzypka. Nagrywaliśmy oberki na kasety i potem krok po kroku sobie odtwarzaliśmy, stop – cofnij, i tak się uczyliśmy. A Gaca nas korygował, pokazywał, gdzie i dlaczego źle gramy. Był cierpliwy.

Rozbrajająca była gościnność Gaców. Przecież przyjechalśmy bez zapowiedzi uczyć się grać, a oni nas przyjęli, pozwalali spać zimą w izbie, latem w stodole. Chętnie wracałem co kilka miesięcy. A jednocześnie miałem poczucie, że to jest świat, którego kompletnie nie rozumiem.

Było wspaniale, kiedy graliśmy i rozmawialiśmy o oberkach. Ale kiedy siedzieliśmy potem wieczorami przy wódce, to ujawniała się zamkniętość myślenia. Szybko okazało się, że tamtejsi ludzie mają bardzo uproszczoną wizję świata, w której wszystko jest jakoś uporządkowane, a jednocześnie strasznie niesprawiedliwe względem wszelkiej inności. A jeśli ktoś uważa inaczej, to...

To jest obcym?

– Ta obcość polegała na jednostronności. Łączyły nas oberki i byliśmy bardzo zainteresowani ich światem, ale oni naszym nieszczególnie. Do tego ich obraz naszego świata był bardzo skrzywiony. Kuzyn Jana, zresztą fantastyczny gawędziarz, przychodził i mówił, że kobiety na wsi to zawsze mają coś do roboty, bo to trzeba rano wypuścić kury, potem dać jeść, potem iść w pole itd. A co te wasze baby w mieście mają do roboty – mówił – idzie taka na osiem godzin do pracy, a potem przez resztę dnia z nudów po piździe się drapie. I nie dało się o tym dyskusować. Wtedy poczułem, co to jest mur niezrozumienia.

Dość aktualna opowieść o dwóch plemionach mówiących tym samym językiem?

– Wtedy chyba do mnie dotarło, że wspólnoty ludzkie zupełnie nie są zainteresowane zrozumieniem tego, co się dzieje na zewnątrz nich. Ze wolą własne wyobrażenia, choć mają sygnały, że ich opinie mogą być błędne. Wtedy wyraźnie doświadczyłem nieprzekraczalnej granicy między ludzkimi mikrokosmosami.

Jak pan znosił pogardę wobec swoich doświadczeń i przekonanie, że ich jest lepsze?

– Nie nazwałbym tego pogardą, raczej niezrozumieniem i lekkiem. Przyjąłem narzucone reguły gry: łączą nas oberki i na tym polu możemy się spotkać.

Kiedy napisałem „Oberki do końca świata”, już nigdy nie pojechałem do muzykantów. Napisałem, wydałem, przeciąłem niepewną, i to żyje własnym życiem. A ja zostałem jakoś pusty. Zakochanie minęło. Podobnie zakochiwałem się też w ludziach, do obustronnego wypalenia, kiedy mija fascynacja wynikająca z poznawania innego człowieka i jego świata. Pogodziłem się, że tak też mogą wyglądać relacje między ludzkie.

A nie ma pan poczucia winy, że się nie stara, by ten ogień nie zgasł?

– Kiedyś miałem, ale teraz już nie. Czasami coś zostaje na dłużej, czasami nie, pewnie to niczyja wina.

Kiedyś mieliśmy przekonanie, że przyjaźń to już na całe życie, podobnie jak miłość.

– Ależ ja głęboko wierzę w miłość na całe życie! Tak myślę o swoim własnym życiu, o miłości do mojej żony, Eli. I nie chodzi mi o to, że się dobrze dobraliśmy, bo to nie wystarczy. Prawdziwa miłość jest jakimś samonaprawiającym się mechanizmem, polegającym na gotowości do krytycznego spojrzenia na samego siebie, do ustępstw; że prawdziwa otwartość na Innego to gotowość do ciągłej zmiany, wychodzenia poza siebie. Nie chcę budować ogólnej teorii, tylko takie jest doświadczenie moich 25 lat związku.

Miłość, powiada Poetka, to stan, kiedy dzięki komuś czuje się lepsza od siebie samej?

– Tak bywa. To spojrzenie, które dostrzega piękno tam, gdzie inni go nie widzą. A może stwarza? Tak jak stwarza się dobro, spotykając Innego? Mam tu raczej pytania, choć oczywiście wokół pełno odpowiedzi i opinii. To jednak nadal tajemnica, ku której wszyscy jakoś grawitujemy.

Miłość to spojrzenie, które dostrzega piękno tam, gdzie inni go nie widzą.

A może stwarza?

„Są rzeczy nie do opowiedzenia i w tej bezradności języka kryje się cała nadzieja”, pisze pana bohaterka. Ale jaką nadzieję ma na myśli?

– Jest taki moment, kiedy dochodzimy do tej granicy języka i wiemy, że możemy tylko albo podziwiać, albo przeżywać jakąś twórgę, albo niepokój, i że każde dalsze słowo będzie zbędne. Język zawodzi, ale jednocześnie spełnia swoją rolę: doprowadza człowieka do miejsca, gdzie jest czyste doświadczenie.

W każdej emocji, w każdym doświadczeniu dochodzimy do takiego w pewnym momencie centrum, gdzie już słowa się kończą. Tak jest z miłością, żalobą, nienawiścią, trwogą, ze szczęściem.

„Szczelinami” to nie jest historia o miłości, tylko o utratach i śmierci.

– Jedno drugiego nie wyklucza: dopiero głęboka świadomość możliwości utraty pokazuje, jak cenna jest druga osoba i jak ważne są miłość i przyjaźń. Utrata i tra-

cenie są od lat moimi tematami, próbuję nazywać swoje intuicje na różne sposoby. Doktorat napisałem o utracie bliskiego. Interesowało mnie, jak w utracie zmienia się podmiot. Miałem taki pomysł, że Inny, a zwłaszcza bliski, może stać się dla człowieka fundamentem sensu: nie bytem obok innych bytów, lecz kimś, kto zrasta się z podmiotowością na tyle mocno, że jego odejście lub śmierć wpływa poważnie na zmianę naszego doświadczenia świata.

Dla Heideggera śmierć jest doświadczeniem źródłowym: człowiek doświadcza siebie jako bycia ku śmierci. Wydaje mi się, że to jest wtórne względem doświadczenia utraty: uświadamiamy sobie własną śmiertelność dlatego, że doświadczamy odchodzenia innych. Żyjemy w świecie, w którym dookoła nas umierają ludzie, tracimy ich, tracimy ich światy. To jest źródłowe. Własnej śmierci nie doświadczamy przecież w sensie ścisłym, lecz przeczuwamy ją jako nieuniknioną możliwość, ponieważ umierają inni.

Zadedykował pan tę książkę mamie, która „zawsze będzie moim pierwszym słowem”. Zdążyła wzruszyć się tą dedykacją?

– Tak. Przeczytała całość i zdążyliśmy porozmawiać o tej książce.

Przyszł mi teraz do głowy wiersz Galczyńskiego, pamięta pan? „Ona mi pierwsza pokazała księżyc i pierwszy śnieg na świerkach, i pierwszy deszcz...”.

– Obydwoje rodzice pokazywali mi świat, byli bardzo obecni w moim dzieciństwie, to było prawdziwe rodzicielstwo bliskości. Tata pokazywał księżyc, był miłośnikiem astronomii, a mama nazywała drzewa, kwiaty, trawy, pokazywała świat przyrody. O ojcu dużo pisałem. Opowiadał mi „Odyseję”, tłumaczył współczesną fizykę. Jego rola była prostsza do opowiedzenia. Dopiero uczyć się mówienia o mamie i jej roli w moim życiu. Bo to jest rola cichsza i może mniej spektakularna, ale być może nawet ważniejsza.

Jest pan dzięki nim feministą?

– Tak. W ogóle jestem emancypjonistą. Akceptuję i popieram wszelkie dążenia ruchów emancypacyjnych, nie tylko kobiet, ale mniejszości, ludzi LGBT+ itd.

W świecie zmiany paradygmatu, kiedy dużo mówimy o sile kobiet i siostrzeństwie, nie czuje się pan niekomfortowo jako mężczyzna?

– Nie. Dostrzegam czasem pewną nieproporcjonalność. Na przykład spotykam się z pytaniami, czy jako mężczyzna mam prawo tworzyć kobiecie narratorki i opowiadać ich świat, podczas gdy pisarki nie muszą się tłumaczyć, dlaczego tworzą męskich narratorów. Ale rozumiem powodów tego wychylenia wahadła i nie kwestionuję gniewu, który leży u podstaw takich pytań.

Właściwie dlaczego potrzebowal pan kobiety narratorki?

– Przed wszystkim z ciekawości. Literatura pozwala mi oglądać świat cudzymi oczami. Jednym z ważnych dla mnie wymiarów tej kobiecej narratorki jest jej spojrzenie na mężczyzn. Oglądam krytycznie miłość i mężczyzn dzięki jej perspektywie.

A z perspektywy mężczyzny krytycznie przyglądać się mężczyznom nie byłoby możliwe? Byłoby.

– Tak. Ale do pewnych doświadczeń i punktów widzenia mają dostęp tylko kobiety. Niektóre doświadczenia są wspólne. Czytelniczki mówią mi, że pisząc o traceniu dzieci, wyrażam kobiecą perspektywę. Ale to jest też moje doświadczenie. Odkąd zostałem ojcem, mam poczucie, że z każdym dniem będzie gorzej, że zaczął się już proces ich odchodzenia. Ale oczywiście nie mam źródłowych doświadczeń związanych z kobiecą fizjologią. Choć w „Szczelinami” tych fizjologicznych wierszy jest naprawdę niewiele. To nie jest książka o menstruacji, służbie i porodach. Moja Poetka o swoim porodzie mówi w trzech wersach: była sama i ją bolało. Ta lapidarność poezji mnie ratuje, wiele rzeczy wydarza się poza słowami. O wiele trudniej byłoby zbudować trzystustronicową powieść z pierwszoosobową narracją kobiety. Wiersz za pomocą kilku słów sugeruje coś i czytelnik sam buduje sobie pewien obraz.

Martwi się pan o córkę bardziej niż o chłopaków?

– Jeżeli różnicuję moją troskę o dzieci, to wynika to raczej z jakichś moich obserwacji ich charakterów, a nie płci. Mam natomiast nadzieję, że kiedy moja córka będzie wkraczała w ten świat, to on będzie lepszy dla kobiet.

Czyli co się w nim zmieni?

– Dziś kobiety muszą o wiele bardziej niż mężczyźni udowadniać, że zasługują na stanowisko, pozycję, tytuły. Chciałbym, żeby tu była zupełna równość.

Był pan przy narodzinach swoich dzieci?

– Najpierw były bliźniaki, a w Polsce bliźniaki z definicji rodzą się przez cesarskie cięcie i nie ma obyczaju, żeby przy cesarce był mąż. Ale byłem świadkiem, jak moja żona rodziła Ignacego, nasze trzecie dziecko.

Nie mdlał pan?

– Nie mdlałem, ale miałem poczucie, że jestem tam osobą zupełnie zbędną. Trzymałem Elę za rękę, ale czułem, że dzieje się coś ważnego, fundamentalnego, coś bardzo fizycznego i w tym sensie również mistycznego, a jednocześnie, że...

Że to dotyczy jej, mamy i dziecka tylko, tak?

– Tak. I nigdy nie mówiłem, że rodziłyśmy razem. To ona rodziła. To było dla mnie bardzo ważne doświadczenie i byłem tam cały czas tak blisko, jak się da, ale to kobieta rodzi, więc nie rodziłyśmy. I nie byliśmy w ciąży. Nie lubię tego zwrotu, bo on fałszuje pewne fenomeny. Można powiedzieć, że spodziewamy się dziecka, bo spodziewanie się jest doświadczeniem dwójga partnerów, ale nie można powiedzieć, że jesteśmy w ciąży.

Wzruszyły mnie wiersze Poetki o odchodzeniu dzieci. I jej świadomość, że mimo swojej czułości i uważności, jaką teraz daje swojej córce, i tak za dwadzieścia lat zostanie rozliczona przez nią za „gniew, irytację, wszystko to, co urodziło się razem z nią jako dodatkowe niechciane dzieci do żywienia”.

Boli pana ta perspektywa? A może ona dotyczy tylko matek i córek?

– To chyba dotyczy każdego zaangażowanego rodzicielstwa. Obawa, że się nie sprostало, że dzieci zapamiętają tylko to, co było złe. Ale Poetka projektuje tę przyszłość, przykładając miarę swej relacji z matką. Mam świadomość, jak okrutne potrafią być oskarżenia dzieci, zwłaszcza zaczynające się od słów „nigdy” i „zawsze”. Szczególnie łatwo oceniać rodziców, kiedy samemu nie doświadczyło się rodzicielstwa. Wtedy dostrzega się same błędy. Być może przesadzam, ale czasem mnie to paraliżuje. A może nie doceniam dzieci?

Jak to się dzieje, że dzieci stają się gośćmi w rodzinnym domu? I przy stole rodzinnym pojawia się niezręczność. Przyznam, że mnie to rozwala.

– Żyjemy pomiędzy dwoma domami: w jednym przychodzimy na świat, ten istnieje od zawsze. Drugi zakładamy z obcą osobą i wiemy, że sami go tworzymy. Wydaje mi się, że moment założenia własnego domu wykorzenia nas ze starego. Sam zwrot „własny dom” jest tu wymowny: dom rodziców w pewnym sensie nie jest nasz. Nasze życie toczy się gdzie indziej i trudno chyba uniknąć tego statusu gościa, choćby wyczekiwanego i przyjmowanego z otwartymi rękami. Dla rodziców często nadal jesteśmy dziećmi, spotkania przypominają celebrację tego, co odeszło.

A jak to jest z tą pana bezdomnością?

– Moje życie jest bardzo poukładane, mam rodzinę, dom, przyjaciół, stałą pracę. Nie doświadczam większości z tych napięć, które możemy nazwać ekonomicznymi czy życiowymi. Ale mimo to moje najgłębsze doświadczenie bycia w świecie jest poczuciem bezdomności. Wiem, że nie mogę się w niczym zakorzenieć: ani w oberkach, ani w Prokocimiu Nowym, ani w miejscu, w którym teraz mieszkam... Ja mam poczucie, że jestem znikąd. Nie ma żadnego miejsca, które bym uznał za swoje. Wydawało mi się, że jestem z tego powodu wybrakowany, ale teraz już tego tak nie czuję. Nie mam takiego miejsca i wiem, że nie będę miał, tylko teraz mi to nie przeszkadza.

Moim miejscem są moi bliscy.

Ale co to właściwie znaczy zakorzenieć się?

– Właśnie to jest idea, której nie do końca rozumiem. Ale widzę, że dla wielu ludzi jest ona ważna.

Czy kategoria zakorzeniaenia się utrudnia, czy ułatwia przyjmowanie Innych?

– Z pewnością nadużywana jest w ogóle w myśleniu i dyskusji o uchodźcach metafora domu. Dom jest dla nas przestrzenią bardzo bliską, bardzo osobistą i rzeczywiście obraz, kiedy obcy wchodzi do mojego domu, narusza moje poczucie bezpieczeństwa. Ale kiedy rozciągamy metaforę domu na Polskę czy Europę, to okazuje się, że te bardzo intymne skojarzenia i emocje przenoszone są na wspólnotę, która jest kompletnie abstrakcyjna, bo na co dzień nic mnie nie łączy z większością obywateli Polski. Nie byłem nigdy na Podlasiu, ale metafora domu przymusza mnie do uważania mieszkańców Podlasia za bliższych niż na przykład Sudańczyk czy Słowak, który był moim przyjacielem. Ale my jesteśmy Polakami, a ty jesteś Słowakiem zza rzeki. I nagle okazuje się, że mam zobowiązania względem tej wspólnoty, tych ludzi z Podlasia czy Zachodniopomorskiego, a po-

zostali są obcy. Tymczasem to wszystko rozgrywa się w królestwie metafor. Bo jeśli zastąpimy metaforę domu sąsiedowaniem, to okaże się, że obcy wcale nie wkracza do tego, co najbardziej nasze, tylko chce sobie ułożyć życie wokół nas.

A co, jeśli mój nowy sąsiad nie zaakceptuje mojego sposobu życia i zacznie narzucać mi swój?

– To znana argumentacja przeciwko uchodźcom: oni nie akceptują naszego sposobu bycia, naszych wartości, dlatego jeśli chcą wstąpić do naszego klubu, to muszą je zaakceptować i udowodnić, że są gotowi. A przecież w państwach Europy, co widać przy każdych wyborach, nie ma jedności. Konserwujemy mit Europy jako wspólnoty wartości, który istnieje tyl-

wałnych prawach każdego człowieka. A potem pojawia się słuszna uwaga, człowiek jest zbyt słaby, żeby walczyć o swoje prawa, dlatego na straż praw człowieka musi stać coś silniejszego, żeby go skutecznie chronić. I tym czymś jest państwo. To brzmi sensownie, tylko okazuje się, że w państwie są obywatele, którzy są ludźmi, i są ludzie, którzy nie są obywatelami tego państwa. I nieobywatele, mimo że jest człowiekiem, staje się człowiekiem drugiej kategorii. I to jest tylko logiczna konsekwencja tego napięcia. Dlatego trzeba przemysleć od podstaw to wszystko, przede wszystkim rozrywając fundamentalną triadę naród–państwo–terytorium.

To jest możliwe. Jeśli odrzucimy ideę państwa po prostu...

Bezdomność jest moim doświadczeniem fundamentalnym

ko na poziomie deklaracji, gdyż spora część Europejczyków nie podziela tych wartości i nie jest bezwzględnie przekonana do idei wolności, otwartości, tolerancji itd.

I dochodzimy do tego, że jesteśmy członkami klubu nie dlatego, że akceptujemy regulamin, tylko dlatego, że się w nim urodziliśmy.

Ja mogę sobie nie akceptować wartości europejskich i nawet polskich, i mogę nawet nie mówić po polsku, bo jestem Polakiem i mam na to papier, a ty musisz wykazać się, że jesteś Polakiem, bo nie jesteś stąd. Tak się złożyło, że przyszedłeś w innym miejscu na świat, i z innej matki, co nie jest twoją winą, tak jak moje pochodzenie nie jest moją zasługą.

Ale to się przekłada niestety na strukturę „niezawinionej winy”. Przecież obozy dla uchodźców to miejsca, gdzie ludzie, którzy nie popełnili żadnego przestępstwa, są przetrzymywani wbrew własnej woli. Przekroczyli tylko nielegalnie granicę, bo chcieli żyć gdzie indziej niż miejsce urodzenia. W konsekwencji tworzymy dwie kategorie ludzi. Nas obowiązują prawa człowieka, bo nas nie można pozbawiać wolności, chyba że popełnimy przestępstwo. Buntujemy się, kiedy ktoś tę naszą wolność ogranicza. Ale jednocześnie godzimy się jakoś na to, że istnieją obozy przejściowe dla uchodźców.

Czego to dowodzi prócz hipokryzji?

– Wydaje mi się, że hipokryzja jest tylko zewnętrznym objawem, próbą naszego poradzenia sobie z fundamentalnymi sprzecznościami, które są zakorzenione w koncepcji narodu i w koncepcji praw człowieka. Te prawa wprawdzie przysługują każdemu człowiekowi, ale jeśli nie jest się obywatelem, to trzeba się liczyć z ich systemowym łamaniem. Świat się na tyle zmienił, że czas przemysleć koncepcję wspólnoty na nowo. Na razie uciekamy w hipokryzję.

Hipokryzja jako cecha adaptacyjna.

– Być może nawet konieczność. Bo jak inaczej poradzić sobie z rzeczywistością, której jednostka nie potrafi zmienić? A rzeczywistość jest taka, że zbudowaliśmy nasz świat na paradoksach i sprzecznościach. I teraz to trzeszczy bardzo mocno. Ja nawet wierzę w dobre intencje tych, którzy tworzyli Deklarację Praw Człowieka. Najpierw mówi się tam o niezby-

– Myślmy teraz o państwie, używając nowożytnej wizji państwa narodowego. To nie jest idea, która była obecna od zawsze. Można przecież pomyśleć państwo jako wspólnotę wartości czy nawet interesów, a nie ludzi połączonych jakimś mitycznym pochodzeniem. Gdyby zacząć od idei obywatelskości jako zaangażowania we wspólnotę i współtworzenia swego otoczenia, to można by przekroczyć granice wyznaczane przez archaiczną ideę narodu. To się zresztą dokonuje, małymi krokami co prawda, w przekształcaniu wspólnot, w zmianie samorozumienia społeczeństw Zachodu. Ale przed nami długa droga.

Czyli jest pan w tej kwestii tischnerowski bardziej niż wodziński?

– Mam pewne nadzieje, a więc raczej tischnerowski. Ale też ostatnia książka Wodzińskiego była opowieścią o gościnności jako podstawie wszelkiej etyki. Więc być może tych dwu myślicieli nie różniło się aż tak bardzo? ●

***Wit Szostak**

• autor powieści, opowiadań i dramatów. Jego książki były nominowane do Nagrody Literackiej „Nike” („Fuga”) i do Paszportów „Polityki” („Sto dni bez słońca”). Ostatnio ukazała się jego powieść **„Szczelinami”** (wyd. Pogranie) Jako Dobrosław Kot publikuje teksty filozoficzne, ostatnio „Tratwę Odysa. Esej o uchodźcach”



Nowa

PSYCHOLOGIA

DLA RODZICÓW

już w sprzedaży!

wysokieobcasy

NAJLEPSZE TEKSTY

PSYCHOLOGIA

DLA RODZICÓW

Jak wychować SZCZĘŚLIWE DZIECKO

wyborcza

56 Kiedy rozmawiać o ciecie i seksie

58 Dziewczynce też wypadają, czyli wychowanie bez stereotypów

70 Jak uczyć dziecko radzenia sobie z emocjami

6 Co robić, gdy pojawiają się narkotyki i alkohol

72 Czy córki są dojrzalsze od synów?

Jak uczyć dziecko obsługi emocji

Uzależnienia. Jak pomóc dziecku wyjść z nałogu

Dlaczego edukacja seksualna jest ważna

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34176926

wyborcza | **magazyn wyborczej** **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biurow reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



FOT. MICHAEL OCHS ARCHIVES/GETTY IMAGES

Ma na imię William i jest daleko spokrewniony z Barackiem Obamą. Twierdzi, że przestał czytać gazety w 2004 r., nie interesują go recenzje filmów, w których gra: – Niektóre z nich zostają w głowie, wpływają na moje kolejne decyzje. Nie potrzebuję tego – powiedział „New York Timesowi”. – Kiedy zacząłem karierę, napisali o mnie w „USA Today”. Byłem z siebie bardzo zadowolony. Dwa dni później poszedłem do znajomych. I tam w kuchni, w kociej kuwejcie, zobaczyłem ten artykuł o mnie z głównym na samym środku. Uznałem, że to całkiem niezłe podsumowanie sławy.

Być może Brad Pitt jest ostatnią gwiazdą, jaką byli Robert Redford i Paul Newman. Niedorzecznie przystojny, obdarzony swag-gerem (z ang. pewność siebie granicząca z arogancją), który równoważy urokiem osobistym i dowcipem.

Nikt, oprócz niego, nie mógł zagrać półboga Achillesa. Mimo warunków Pitt najlepiej sprawdza się w rolach ekscentryków, bohaterских kretynów albo niebezpiecznych ordynusów.

Jego bohaterowie zwykle budzą sympatię, bo do perfekcji opanował granie na przekór oczekiwaniom widzów. Każdy nowy film to wydarzenie. I nie inaczej jest w przypadku „Bullet Train”, komedii akcji. Pitt wciela się tu w „Biedronkę”, pechowego zabójcę na zlecenie, który w rozpędzonym do 320 km/godz. pociągu Shinkansen musi wykonać niebezpieczną misję, a przy okazji nie dać się zabić.

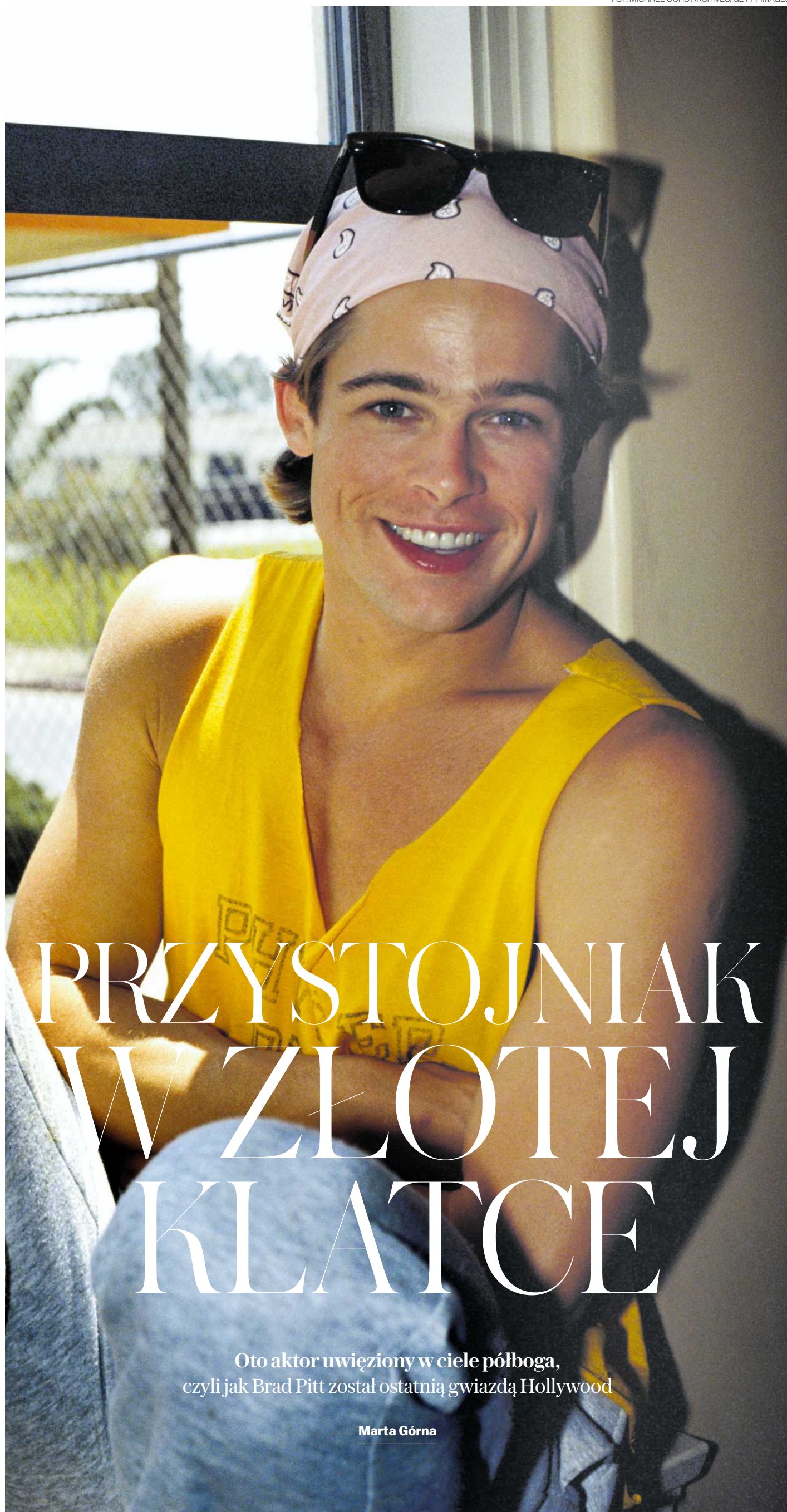
DZIWNY PRZYPADEK WEINSTEINA

W rozmowach z mediami Pitt jest bezpośredni, czasami nawet za bardzo, gdy kontynuował współpracę z Harveyem Weinsteinem – upadłym hollywoodzkim potentatem, byłym współwłaścicielem wytwórni Miramax, którego blisko 80 kobiet, w tym była dziewczyna Pitta, Gwyneth Paltrow, oskarżyło o gwałty i molestowanie seksualne. Na fali ruchu #MeToo Pitt opowiedział, jak w 1995 r. pchnął Weinsteina na ścianę w czasie premiery broadwayowskiego „Hamleta” i zagroził, że go zabije, jeśli jeszcze raz sprawi, że Paltrow poczuje się niekomfortowo.

Pitt wiedział więc o Weinsteinie najgorsze na długo przed #MeToo. Mimo to współpracował z nim jeszcze dwukrotnie – przy „Bękartach wojny” (choć tu zagrał głównie z sympatii do Tarantino) i kameralnym „Zabić, jak to łatwo powiedzieć”. Do realizacji drugiego filmu sam zresztą Weinsteina zaprosił, o czym na łamach „Guardiana” opowiedziała po rozwodzie z aktorem jego była żona Angelina Jolie. W 1998 r. Weinstein napastował ją seksualnie, kiedy grała w „Grze w serca” Miramaxu. Jolie czuła, że współpracując z producentem, Pitt lekceważy to, co przeszła. – Klóciliśmy się o to, to było bolesne – mówiła aktorka „Guardianowi”.

Ale nie on jeden współpracował z Weinsteinem, kiedy jego nadużycia były w Hollywood tajemnicą poliszynela. Zrobiła to nawet Meryl Streep, która nazwała dodatkowo Weinsteina „bogiem”, a po ujawnieniu jego przestępstw zapewniła, że nie miała o nich pojęcia. Od gwiazd, bez względu na to, jak są popularne i jak bardzo same chciałyby być moralnymi kompasami, nie ma co oczekiwać jednak wyroków w sprawie etyki.

Mimo to miliony widzów cieszyły się, kiedy wreszcie Pitt dostał Oscara w 2020 r. – wcześniej nominowany był w latach 90. za kreację szaleńca z uciekającym okiem w „12 małpach” – za świetną rolę w „Pewnego razu... w Hollywood” Quentina Tarantino. Wcielił się w filmowego kaskadera



Oto aktor uwięziony w ciele półboga,
czyli jak Brad Pitt został ostatnią gwiazdą Hollywood

Marta Górna

i przyjaciela przebrzmiałej gwiazdy wester-nów, którą zagrał Leonardo DiCaprio, i prawie pobił Bruce’a Lee. Odbierając Oscara, Pitt przez chwilę nie mógł dojść do głosu, bo oklaski się przedłużały. W końcu powiedział: – Dali mi tylko 45 sekund, a to więcej niż Senat dał Johnowi Boltonowi.

Odnosił się do tego, jak senatorzy zignorowali doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego, który miał zeznawać na posiedzeniu dotyczącym impeachmentu Donalda Trumpa. I dołączył do hollywoodzkich sław, które zajęły polityczne stanowisko. – Może Quentin zrobi o tym kiedyś film i u niego dorosli zachowają się właściwie – dodał, za co nagrodziły go salwy śmiechu. Kończąc przemówienie, przekonywał, że swoją nagrodę zawdzięcza Tarantino, bez którego przemysł filmowy byłby uboższy. Ładny gest, ale bez Brada Pitta też, bo choć w wieku 58 lat wygląda lepiej niż większość 20-latków, na ekranie obecny jest już od blisko czterech dekad.

NAMIAR STRIPTIZERKI

W sylwetce gwiazd zaznacza się gdzieś na początku, że były zwykłymi nastolatkami, dostarczycielami gazet, podporą szkolnych drużyn albo wagarowiczami recydywistami, po których nikt nie spodziewał się wielkości. Tutaj to nie bardzo pasuje. Brad Pitt przyszedł na świat po to, by zostać gwiazdą, i to slogan prawdziwy.

Wbrew pozorom urodził się nie na Olimpie, ale w Oklahomie, skąd jego rodzina przeprowadziła się do 90-tysięcznego w latach 60. miasteczka Springfield w stanie Missouri. Jest jedynym demokratą w konserwatywnej rodzinie. Kiedy dorastał, jego ojciec prowadził firmę spedycyjną, a matka była szkolnym doradcą. W liceum Pitt trenował tenisa, golf a i pływanie, udzielał się w kółku dramatycznym, ale ostatecznie studiował dziennikarstwo. – Mój ojciec wywodził się z biedy i robił wszystko, żebyśmy mieli lepsze życie od niego – mówił Pitt w rozmowie z magazynem „Parade”. W czasie studiów dziennikarskich postanowił zostać aktorem: – Filmy były dla mnie portalami do innego wymiaru, pomagały mi nazywać emocje i wrażenia, których sam nie potrafiłem nazwać.

Na dwa tygodnie przed obroną dyplomu rzucił studia i pojechał do Los Angeles. Był rok 1986, a młodymi gwiazdami Hollywood byli wtedy Mickey Rourke, Sean Penn, Gary Oldman i Tom Cruise. Pitt, przekonany, że może robić to co oni, do Hollywood pojechał bez znajomości i planu. I jak wielu początkujących musiał poczekać na swoją szansę. Najpierw jednak pracował m.in. jako kierowca striptizerek, które woził na wieczory kawalerskie. – Podrzucalem je na miejsce, odbierałem kasę i puszczałem kiepskie kawalki Prince’a – opowiadał „Newsweekowi”. – Było to dość depresyjne.

Jedna z tancerek zmieniła jego życie. Opowiedziała Pittowi o zajęciach z aktorstwa, które prowadziła legenda LA, aktor Roy London. Pitt po pierwszym spotkaniu wiedział już, że zostanie na dłużej. Odkrył swoje powołanie, a siedem miesięcy po przyjeździe do Hollywood zaliczył swój debiut filmowy. Cóż, w pewnym sensie: w zapomnianej dziś komedii fantasy „Hunk” zagrał blondyna, który wygrzawa się na plażowym leżaku. Trwa to ułamek sekundy, ale sprawiło, że przeciętny film przeszedł do historii jako produkcja, w której Brad Pitt zaczął karierę.

Po serii filmowych epizodów i małych ról w telenowelach dostał wielką szansę w 1988 r., w kręconym w byłej Jugosławii filmie „Ciemna strona słońca”. W 1990 r. grał już główną rolę – w horrorze „Wagary” stał się licealistą podejrzewanym o serię morderstw. W tym samym roku udowodnił, że może grać nie tylko złotych chłopców. W telewizyjnym filmie „Za młoda, by umrzeć” wcielił się w odpychającego dilerę narkotykowego i sutenera, który manipuluje zależną od niego dziewczyną i wpycha ją w ramiona nalogu.

Rok później, wymachując suszarką, w kowbojskim kapeluszu i z nagim torsem, rozkochał w sobie Thelmę i Louise w filmie Ridleya Scotta. Nie było filmowego producenta, który nie zauważyłby przystojnego 30-latka. Ale zamiast opierać się na swojej fizyczności, Pitt postanowił pokazać, że umie więcej. Wbrew powszechnemu przekonaniu nie zaczął bowiem grywać cięższych ról dopiero przed pięćdziesiątką i na pewno nie musiał walczyć z etykietą przystojniaka. Od początku kariery stawiał w swoim portfolio na różnorodność, dlatego po roli w „Thelmie i Louise”, gdzie wyglądał jak facet z reklamy kowbojskich kapeluszy, wystąpił w kameralnym „Johnnym Suede”. Tam był dziecinny, niezbyt rozbawiony muzykiem z obsesją na punkcie Ricky’ego Nelsona i nażelowaną fryzurą. Film zdobył nagrodę dla najlepszej produkcji na festiwalu w Locarno. W czasie premiery na widowni siedział Mark Tusk z wy-

szła do historii kina. Podobnie jak kolejna wybitna rola w portfolio Pitta – kreacja nihilisty Tylera Durdena w „Podziemnym kręgu” (druga współpraca z Fincherem), filmie dziś kultowym, podobnie jak rola Pitta.

Wydawało się wtedy, że nie może już krytyków niczym zaskoczyć. Zaledwie rok później zagrał członka koczowniczej grupy etnicznej pochodzenia irlandzkiego, nie-solidnego boksera z zabójczym akcentem w „Przekręcie” Guya Ritchiego. Wcielił się w niego tak, że w XXI wiek wszedł już jako aktor wszechstronny. Facet dobry do ról obezwładniających przystojniaków, ale jeszcze lepszy jako śliski cwaniaczek.

„JESTEM ALKOHOLIKIEM”

Wyliczanie jego ekranowych wcieleń dalej nie ma żadnego sensu, trudno jednak odpuścić, skoro to właśnie na nich zbudował

Ja i wielu kolegów dorastaliśmy w przekonaniu, że męskość to zaradność i nieokazywanie emocji. Zero słabości. Siła

twórni Miramax. Przekonany, że Pitt będzie objawieniem, namówił Harveya Weinsteina do zakupienia praw do dystrybucji „Johnny’ego...”.

„ZBUDOWAŁEM SOBIE WIĘZIENIE”

Lata 90. to w karierze Brada Pitta okres pełen dziwacznych wyborów. W kreskówce „Wspaniały świat” połączonej z filmem aktorskim był detektywem stylizowanym na bohaterów Chandlera, który utknął w świecie animowanych postaci.

W „Kalifornii” seryjnym mordercą równie seksownym, co obleśnym. W „Prawdziwym romansie” Tony’ego Scotta – polegającym na kanapie stonerem w przepoconej koszulce, postacią, która stała się inspiracją dla kolejnego filmu, komedii „Pineapple Express”. Jednocześnie w „Rzecz życia” Roberta Redforda był niepokornym Paulem, który żyje według swych własnych zasad, a w długim romansidło „Wichry namiętności” – namiętnym na granicy karykatury Tristanem Ludlowem, jednym z braci kochających tę samą kobietę. Potem w „Wywiadzie z wampirem” był krwiopijącą-wrażliwym, gdzie zagrał z Tomem Cruise’em. W zaledwie siedem lat dogonił gościa, który był na topie, gdy Pitt zaczynał karierę. W duecie panowie dostali w 1995 r. przyznaną w Hollywood najgorszym produkcjom Złotą Malinę dla ekranowej pary. Pitt mógłby jednak dostać wtedy nawet koszt Złotych Malin. Z długimi włosami mode-la z okładki taniego romansu, olśniewająco białym uśmiechem i wdziękiem zwykłego chłopaka był uznawany za najpiękniejszego mężczyznę na ziemi.

Sam jednak myślał o sobie zupełnie inaczej. – Bywa, że patrzę na moje zdjęcia z tamtego okresu i myślę, że ten dzieciak wyglądał całkiem nieźle. Ale w środku wcale się tak wówczas nie czułem – mówił niedawno „New York Timesowi”. – Większość lat 90. spędziłem, chowając się po kątach i paląc zioło. Czułem się kiepsko w obliczu zainteresowania fanów i mediów, zbudowałem sobie więzienie.

Choć wewnątrz był niepewny, na ekranie emanował charyzmą. W 1995 r. znów się odbił – świetną rolą kłapanego w gorącej wodzie detektywa Millsa w „Siedem” Davida Finchera i zablysnął kreacją nieco topornego, powolnego w myśleniu, ale szybkiego w działaniu. A wypowiediana przez niego w finale kwestia „Co jest w pudełku?” prze-

swoją legendę. „Troja”? Jako Achilles radował każdą scenę tego festiwalu kiczu. „Zabójstwo Jesse’ego Jamesa przez tchórzliwego Roberta Forda”? Lśnił jako jeden z najsłynniejszych bandytów Dzikiego Zachodu. „Ciekawy przypadek Benjamina Buttona”? Pokazał wrażliwość, od której odwykli jego widzowie. „Tajne przez poufne”? Znow świetnie zagrał krety. „Bękarty wojny”? U Tarantino oddał hołd wojennym filmom klasy B, sam przy tym popisując się aktorstwem najwyższej klasy. W tegorocznym „Zaginionym mieście” znów zakpił sobie z widzów. Gra parodię samego siebie: długowłosego półboga, który emanuje testosteronem, rozkochuje w sobie Sandrę Bullock, a potem, w nieoczekiwanym zwrocie akcji...

Nie tylko gra, ale też produkuje. Na koncie ma Oscara za najlepszy tytuł roku – „Zniewolony. 12 Years a Slave”, a jego studio Plan B Entertainment jest też odpowiedzialne m.in. za „Mojego pięknego syna”, „Vice”, „Moonlight” i nadchodzącą „Blondynkę”. Choć swojej współpracy z Weinsteinem nie skomentował, jego wytwórnia wyprodukowała właśnie film „She Said” – o reporterkach „New York Timesa”, które obnażyły przestępstwa upadłego producenta.

O filmach z jego udziałem wiele się pisze, jak każda wielka gwiazda był też jednak bohaterem kilku szeroko omawianych skandali. Tak jak wtedy, gdy rozstał się z aktorką Jennifer Aniston i w 2005 r. związał z koleżanką z planu komedii sensacyjnej „Pan i pani Smith” Angeliną Jolie. Albo gdy rozwiódł się z Jolie po 10 latach związku. O rozwód w 2016 r. wniosła aktorka, a powodem rozstania, jaki wpisała w pozwie rozwodowym, była jej troska o „zdrowie rodziny”. Wtedy po raz pierwszy opinia publiczna dowiedziała się o problemach Pitta z alkoholem. Złoty chłopiec Hollywood – jak sam mówił w wywiadach – mógłby „przepić Rosjanina”. Kiedy Jolie złożyła sądowe dokumenty, Pitt dołączył do grupy Anonimowych Alkoholików. – Najbardziej poruszała mnie ich bezbronność. Ci wszyscy faceci siedzący w kręgu, szczerzy do bólu, po raz pierwszy od bardzo dawna. To była bezpieczna przystań, w której nie było oceniania innych, a co za tym idzie, także oceniania siebie samego – mówił „NYT”.

Wtedy też przedefiniował swoje pojęcie męskości. Urodził się w czasach, w których ideałem był facet z reklam papierosów Marlboro. Przy okazji premiery filmu „Ad Astra” Pitt powiedział w rozmowie z „Wyborczą”: – Ja i wielu moich kolegów dorastaliśmy w przekonaniu, że męskość to za-

radność i nieokazywanie emocji. Zero słabości. Siła. Z jednej strony doceniam tę lekcję, bo wyniosłem z niej poczucie, że wiem, jak rozwiązywać problemy. Z drugiej – tak ukształtowani mężczyźni często nie pozwalają sobie mieć wyrzutów sumienia, czuć żalu.

„I TAK WSZYSCY UMRZEMY”

Trudno jest nie oceniać samego siebie, jeśli od lat każdy twój krok śledzą obiektywne aparaty i kamer. Zarówno na hollywoodzkich rautach, jak i w życiu prywatnym. Kiedy w 2020 r. Pitt i Aniston zdobyli statuetki – on za „Pewnego razu... w Hollywood”, ona za serial „Morning Show” – media przez kilka dni pisały głównie o zdjęciu, na którym byli małżonkowie składali sobie gratulacje.

Pod koniec 2020 r. – już w czasie pandemii – ktoś wypatrzył go, jak w masecz-

ce antywirusowej nosi paczki z żywnością dla potrzebujących w Los Angeles. Jego zaangażowanie od razu nabrało rozgłosu, a dziennikarze skupili się nie na sprawie, którą postanowił wesprzeć, ale na tym, że ubrany był w kraciatą koszulę, a inni wolontariusze nie mieli pojęcia o jego prawdziwej tożsamości. Jego twarz zasłaniała maseczka.

Kilka tygodni temu media na całym świecie pisały o „syndromie Brada Pitta”, tj. prozopagnozji zwanej też „ślepotą twarzy”. W jednym z wywiadów Pitt wyznał, że ludzie często biorą go za gbura, który otwarcie ich lekceważy. Tymczasem właściciel jednej z najbardziej rozpoznawalnych twarzy na świecie sam ma problem z rozpoznawaniem innych.

Na początku lipca Pitt znów był na ustach wszystkich – w rozmowie z miesięcznikiem „GQ” chlapanął, że chyba kończy karierę, bo jest już „na ostatnich nogach”. Serwisy na całym świecie prześcigały się w pisaniu podsumowań wielkiej kariery i straszeniu, że Pitt już nigdy więcej nie zagra. Kilka dni temu na czerwonym dywanie rozciągniętym z okazji premiery „Bullet Train” zaśmiał się nerwowo zapytany o to, czy faktycznie rezygnuje z grania. – Muszę popracować nad doбором słów – powiedział z rozbijającą szczerością. – Chodziło mi o to, że jestem już daleko za wiekiem średnim i chcę dobrze spędzić kolejne lata – tłumaczył. Ubrany był w spódnice, bo w sumie dlaczego nie? Kto, jeśli nie Brad Pitt, może na czerwony dywan założyć, co chce, wypowiadając przy okazji wojnę wciąż silnie trzymającej się toksycznej męskości? – I tak wszyscy umrzemy – wyjaśnił zapytany o swój strój.

„GQ” powiedział ostatnio, że najważniejsza jest dla niego rodzina. – Ludzie na łóżach śmierci nie mówią o tym, co zdobyli albo jakie nagrody dostali. Mówią o tych, których kochają, mówią o swoich żalach.

Mówi, że żałuje roli Achillesa w „Troj”. Twierdzi, że nie jest z niej zadowolony, bo zagrał w tym filmie, by oddać komuś przysługę. Życie i media nauczyły go, że prywatności trzeba strzec. Jest trochę enigmą, a trochę typem, z którym każdy chciałby się napić piwa. Dlatego może być ostatnią gwiazdą Hollywood w wielkim stylu. Innego rodzaju niż wyskakujący z łódówki Tom Cruise. I nieco bardziej niedostępny niż sympatyczny, rodzinny gość Tom Hanks. No i przede wszystkim, wciąż, od 40 lat, budzącą te same emocje: mieszanek uwielbienia, niezdrowej ciekawości i zachwyty. ●

Adam Michnik poleca **Inni Rosjanie**

SATYRYK TO TEN, KTO PŁACZE

Szukali rozstajów, na których rosyjska historia zboczyła z toru i runęła w przepaść

Wiktor Szenderowicz*

W jarzmie szaleństwa. Sałtykow- -Szchedrin

Michail Jewgrafowicz Sałtykow-Szczedrin [1826-89] był rosyjskim pisarzem. Banał ten mówi coś ważnego o jego tekstach – myślę, że są one ważne tylko dla nas, Rosjan. I są słabo przekładalne – nie z racji poetyckich właściwości języka, jak np. teksty Platónowa czy Babla, tylko z racji treści.

Wielkie rosyjskie powieści XIX wieku są jakby płytą tektoniczną świata literatury XX wieku. Świat ten w dużej mierze opiera się na Tolstoju i Dostojewskim, trzeba ich tylko przetłumaczyć – choćby na węgierski, choćby na japoński. Prawie nic nie trzeba wyjaśniać.

Przegrana w karty Mikołaja Rostowa [z „Wojny i pokoju”] przyprawia o rozpacz każdego czytelnika, a zakochany Lewin [z „Anny Kareniny”] jest uniwersalny. Raszkolnikowa można łatwo przenieść na brzegi Sekwany – zmieni się tylko koloryt, a Porfiry Pietrowicz [z tej samej „Zbrodni i kary”] zostanie komisarzem w odpowiednim arrondissement [dzielnicy].

Ale jak wytłumaczyć Europejczykowi, co to znaczy zetrzeć w proch własne życie między Ferdyszczenką [z „Idioty”] a lądakiem i nie unieść brwi? Jak przybliżyć Europejczykowi naszą główną cnotę Głupowa [tytułowej miejscowości w „Dziejach pewnego miasta” Szczedriny] – pograć się w bezruchu i twardo znosić przeciwności losu? A zresztą po co to Europejczykowi, który nie jest antropologiem? Wzruszy tylko ramionami.

Zło rosyjskiej polityki wdziera się też na karty wielkich powieści twórców współczesnych. Szczedrinowi – ziemiaństwo, kwestia agrarna, kwestia bałkańska... Nie mówiąc już o proroczych „Biesach”, zaczerpniętych wprost z gazet. Ale Lew Nikołajewicz [Tolstoj] był zajęty praktycznym układaniem sobie życia, a Fiodora Michajłowicza [Dostojewskiego] pociągały mroczne zakamarki ludzkiej psychiki. Szczedrin zaś opisywał tę samą Rosję z perspektywy [filozofa Piotra] Czaadajewa – jako kraj powołany do tego, by dać ludzkości jakiś straszny przykład.

Kraj izolowany, oddzielony od życia innych narodów. Także od biegu historii.

Rozwagał to wszystko i opisywał, tak jak rozważa się i opisuje jakiś kłopot – tak właśnie napisana została nawet realistyczna powieść „Państwo Gołowlewowie”. Tak, kłopot jest, bo dłaczego po półtora wieku tak zapiera dech w piersiach to straszne rozpoznanie?



FOT. WIKIPEDIA

Znałem, waszmościu,
jednego człowieka. Póki nie
rozumiał, żył dobrze.
A kiedy zrozumiał, udusił się

Tylko że my, nowe pokolenie głupców, których dziadkowie i pradiadkowie posłusznie padali do stóp nowych plugawców, my, półtora wieku po Szczedrinie, z iPhone’ami w rękę, nadal tkwimy zacementowani w azjatyckim systemie politycznym i słyszemy tylko drżenie tej posępnej struny.

Pisał śmiesznie i strasznie. Z jaką nawiścią, jaką desperacją. Jak go to bolało. I cóż za ukojenie bólu w tym drwiącym śmiechu!

Jak pisał Seneka, nie można czegoś zmieni, ale można tym pogardzić. Wczesny Szczedrin próbował zmieniać.

„Mroczny gimnazjalista” – dokuczali koledzy z XIII klasy w Carskim Siole przyszłemu klasykowi, młodemu socjaliście i wielbielcowi Saint-Simona – został, niemal tradycyjnie, zesłany za wolnomyślicielstwo. Ale poetą nie został – pisał złe wiersze i opamiętał się, bo był mądry. Pozostając socjalistą, zrobił poważną urzędniczą karierę. Słał na czalstwu pełne rozpachy notatki. Wkurzał współpracowników, nie biorąc lapówek. Walczył na poważnie.

Jego wojna zakończyła się przewidywalną klęską nomenklatury.

Odnosił zwycięstwo na kartce papieru, odkrywając w ciężkich gramatycznych lądunkach dotąd niespotykaną, przeciwpancerńą, kumulacyjną moc rosyjskiego słowa. Szczedrinowska fraza przepala przedni pancerz i eksploduje nam w mózgu.

Zyskał uznanie za tę boską ciężkość. „Był okropny. Ale do tego zwięzły, łącząc niepojętą ograniczoność z nieustępliwością niemal graniczącą z idiotyzmem”. Czyż to nie prawdziwa poezja?

Teksty Szczedriny emanują smutkiem, grzmią gniewem, błyszczą najwyższej klasy pogardą. Autentyczną pogardą, do której ma prawo tylko prawdziwy utopista. To prawo wynika z doświadczenia, jakim jest przewidywanie tego, co na drodze, i zwierzęcej udręki biorącej się ze zrozumienia, że twoje wysiłki skazane są na niepowodzenie. Że lekkie otoczenie tylko zabulgocze, wysysając twe uczciwe życie.

Tutaj – pozdrawiamy Senekę – nie ma jak zostać stoikiem. Krzywić się, z przykrym uśmiechem trzymać się stanowczych wyobrażeń i moralnego pionu. I do końca swych dni podsuwać pod nos stuleciu zapomniane przez nie wyświechtane prawdy.

A wiek ich nie potrzebował. Na łożu śmierci „mrocznego gimnazjalisty” porastały kurzem niesprzedane egzemplarze dzieł zebranych.

„Wydaje się wam, że satyryk się śmieje? – pytał sto lat później [pisarz] Leonid Lichodiejew. – On płacze jak bóbr!”

Czytelnicy Szczedriny nie od razu rozpoznali ten tęskny jęk. Recenzja „Dziejów pewnego miasta” pióra [publicysty Aleksieja] Suworina to konny pomnik rosyjskiej myśli „patriotycznej”, klasyka gatunku! Pisarzowi, który stworzył kompletną typologię ojczystej władzy, wytknięto powierzchowną znajomość ojczystej historii. Potem posypały się dalsze zarzuty – „brak myśli przewodniej”,

„niejasne stanowisko autora”, „próby rozbawienia czytelnika za wszelką cenę”.

I oczywiście „kpiny z narodu”, tego nie mogło zabraknąć. W tamtych czasach nie było jeszcze głupiego słowa „rusofobia”, wyrażano się jaśniej.

A przy okazji, czemu nie kpić z ludzi, którzy nadal tęsknią za sprawnym menedżerem Glupowa, Wasiliskiem Borodawkinem? Jak przełamać ich upór? Pytanie jest retoryczne, nie o tym teraz mowa. Mowa o wiecznym rosyjskim bytowaniu w jarzmie szaleństwa.

To także Sałtykow-Szczedrin. Musiał usprawiedliwiać się za to, że okazał się zabawny! „Opisując życie w jarzmie szaleństwa, chciałem skłonić czytelnika do goryczy, a nie wesołości”.

Uważał, że ma być uczciwy jak lekarz, że oczywista litość autora nad smutnym losem mieszkańców Glupowa wynagradza surowość diagnozy.

Diagnoza pozostała. Rosyjski wiek XX przeszedł nieświadomie w wiek XXI, a Szczedrin, gdziekolwiek by go otworzyć, wciąż może komentować wszelkie zło rosyjskiej codziennej metafizyki. Władze nadal utrzymują społeczeństwo w stanie nieustannego zachwyty i kradnąc, promują patriotyzm. Oświecona publiczność nie będzie wybierać między konstytucją a jesiotrem z chrzanem, a głupcy, wiecie, buntują się na kolanach.

Smutne to wszystko i beznadziejne. Jedyną osłodą jest rosyjski język, który opisuje ten historyczny gabinet osobliwości. „Znałem, waszmościu, jednego człowieka, więc on, póki nie rozumiał, żył dobrze, a kiedy zrozumiał, udusił się”.

Co za radość móc to powiedzieć! Czysto fizyczna przyjemność. I nawet warto odłożyć na jakiś czas pętlę, żeby móc to jeszcze parę razy przeczytać. ●

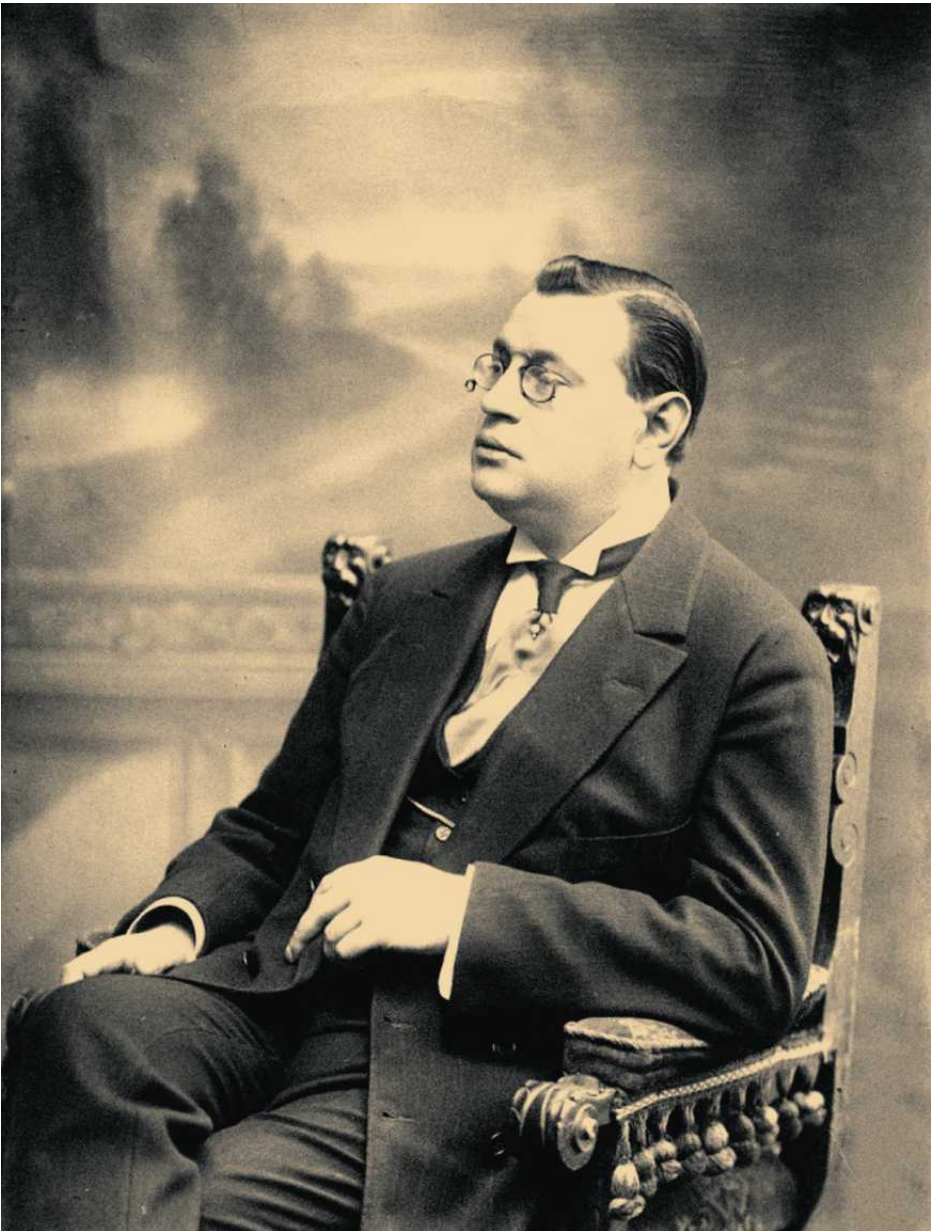
Jęk szczęśliwego człowieka. Arkadij Awierczenko

W literaturze rosyjskiej nie było, jak się zdaje, pisarzy tak zdrowych psychicznie jak on. Jako wzorowy sangwinik Arkadij Timofiejewicz Awierczenko [1880-1925] kochał życie i patrzył przyjaźnie na tych, którzy są koroną stworzenia. Jako uważny obserwator i urodzony humorysta (właśnie humorysta, nie satyryk) latami gromadził kolekcję głupców, z którą obchodził się z czułością entomologa. Tak naprawdę bardzo ich wszystkich kochał. Dar widzenia śmieszności pozwalał mu bez trudu wyluskiwać komizm z ludzi i sytuacji.

Co do polityki, historia świata wpisywała się znakomicie w anegdotę, a nadszająca katastrofa do tego stopnia nie mieściła się w granicach zdrowego rozsądku, że w czasach „Satirikonu” [pismo satyryczne z początku XX wieku] trudno ją było sobie wyobrazić.

Oczywiście wszechpolicyjność, tępota i demagogia są żalosne i zasługują na prztyczek w nos, ale ogólnie rzecz biorąc, świat jest w porządku, prawda, panowie? Zdrowy rozsądek i wrodzona dobroć podpowiadały Arkadijowi Timofiejewiczowi, że jest, ogólnie rzecz biorąc, nieźle, że nie trzeba niczego zrównywać z ziemią, ani teraz, ani później, tylko zwyczajnie uczyć się na błędach, nie robić głupot, unikać banału... Po to ma człowiek mózg i wyczucie miary, czyż nie?

FOT. EAST NEWS



Trudno wyobrazić sobie Awierczenkę, jak krzyczy coś wzburzony, jakże zaś łatwo za stołem z kieliszkiem sherry. A już zupełnie nie sposób wyobrazić sobie, jak z rozpaczryzuca się z okna na bruk niczym liryczny bohater Saszy Czornego [poeta]. Jego radość życia i nieposkromiona wewnętrzna pogoda ducha w połączeniu z umiejętnością odnajdywania najlepszych słów i najlepszego ich zestawiania zamieniała najobrzydliwsze właściwości reakcyjnych „zer” w święto rosyjskiego słowa.

„Król felietonu” był na tym polu władcą absolutnym!

Przykładem takiego absolutnego władania jest „Historia choroby Iwanowa”. Polityczne „zlewaczenie się” w reakcji na głupotę władz opisał na paru stronach z nieprzemijającą swadą. I dziś da się to czytać na głos przygluchym pasterzom naszych dusz. „Iwanow siedział w fotelu ponury, nieogolony i na oczach wszystkich lewaczał”.

Bardzo śmieszne. I bardzo po stu latach straszne, jeśli spojrzeć na historyczną metkę z ceną na nieprzeczytany ostrzeżeniu...

Zdrowy rozsądek i smak nie pozwoliły Awierczence zaakceptować październikowego przewrotu ani pokochać retoryki,

która zwiodła tylu bufonów zamiast sherry zapijających kokainę wódką. Z błokowskim objawieniem zetknął się jeszcze w drodze na wygnanie na rodzimym, wciąż białogwardyjski Krym, uciekając przed nieuchronną egzekucją. Rozpoznał w mgnieniu oka całą tę muzykę rewolucji!

Charakter to w istocie przeznaczenie – ani wtedy, ani potem na twarzy pisarza nie zagościł grymas mizantropa, nigdy też głos nie przeszedł w urażony pisk. Poczucie humoru i smak nigdy nie opuściły Arkadija Timofiejewicza. Jego list do Lenina jest modelowym przykładem godnej stylistyki. Klincz spoconych przeciwników, zapluwanie się były dla niego czymś z zasady niemożliwym.

Uderzającym świadectwem jego wielkoduszności była litość – a nie wściekłość – jaką czuł wygnany z ojczyzny pisarz do nowej klasy panującej, która zastąpiła cara kłamliwymi komisarzami: „Nieźle się wygłupieś, bracie ty mój!”.

Awierczenko był rzecz jasna geniuszem intonacji.

„Jak skrzydła odrastały troski/ I odłączały od ziemi” – pisał Pasternak: o sobie, ale też o wielu innych. Dramat życia, coś, czego nie życzysz bliźniemu, ale życzysz artyście.

Wszechpolicyjność, tępota i demagogia są żalosne i zasługują na potępienie.

Ale ogólnie rzecz biorąc, świat
jest w porządku, prawda,
panowie?

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Adam Zagajewski*

Gdyby Rosja...

*Gdyby Rosja została założona
przez Annę Achmatową, gdyby
Mandelsztam był prawodawcą
a Stalin tylko marginesową
postacią w zaginionym gruzińskim
eposie, gdyby Rosja zdjęła swoje
nastroszone niedźwiedzie futro,
gdyby mogła żyć w słowie, a nie
w pięści, gdyby Rosja, gdyby Rosja*



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

***Adam Zagajewski** - wybitny poeta, prozaik, eseista. Urodził się 21 czerwca 1945 r. we Lwowie, zmarł 21 marca 2021 w Krakowie.

Utwór pochodzi z jego tomu „Jechać do Lwowa i inne wiersze” (Aneks, Londyn 1985), tutaj za: Zagajewski, „Wiersze wybrane” (wyd. a5, Kraków 2017).

Późny – dożył ledwie czterdziestu paru lat! – smutny Awierczenko, król na wygnaniu, podsumował na obczyźnie swoje życie i w pewnym sensie życie Rosji. Szukał rozstaju, na którym nasza historia zбочzyła z toru i runęła w przepaść. Ach, przewinać by tę cholerną kronikę filmową – cofnąć się do nadziei młodości, do manifestu o wyzwoleniu chłopstwa i odtąd robić wszystko po ludzku. „Mitka! Stój! Zatrzymaj, cholera, ten film, nie cofaj dalej! Ręce połamię!” [„Tuzin noży w plecy rewolucji”].

Ale ten, kto kręci kinematografem, to bynajmniej nie Mitka. On nigdy nie przewija wstecz ani nie powtarza ujęć.

„Nie pije pan sherry! Kominiek zgasił, w szarówce nie widzę, dlaczego tak dziwnie drżą panu ramiona – śmieje się pan czy płacze?” [„Tuzin noży...”].

Co należało zrobić z najszcześliwszym z natury Arkadijem Timofiejewiczem Awierczenką, by wypędzić z jego duszy ten jęk.

...Pochowany został w Pradze. Jego grób od grobu Kafki dzieli w linii prostej kilkaset metrów, ale nie da się w żaden sposób przejść tak od jednego do drugiego, a mur dzielący cmentarz żydowski od prawosławnego jest niczym wobec muru mentalnego między traumatyczno-proroczymi snami praskiego geniusza a cudownym przywiązaniem Awierczenki do zdrowego rozsądku, jego pogodą ducha i wiarą w życie, jego tlenodajnym humorem.

Przejdź się po okolicy, połóż kamień na jednym, a kwiaty na drugim grobie. ●

*Wiktor Szenderowicz

• ur. w 1958 r., rosyjski satyryk, pisarz, publicysta, prezenter telewizyjny i radiowy. Od lat jeden z najostrzejszych krytyków Putina i jego administracji, przeciwnik napaści Rosji na Ukrainę. Część objaśnień od tłumacza. Tytuły obu tekstów od autora. Tytuł całości – „Wyborcza”

Oba teksty przełożył Sergiusz Kowalski

Historia malowniczych klęsk

Myślę o telefonach satelitarnych, przez które płynie ten tekst, i czuję się głupio, jakbym na Gubałówkę wchodził z tlenem

Twardoch

W 1913 roku pewien Brytyjczyk nazwiskiem Ernest Mansfield przekonał brytyjskich bogaczy, by zainwestowali fortunę w spitsbergeński marmur. Statkami popłynęły maszyny i dynamit, i siedemdziesięciu robotników, którzy niedaleko, wręcz naprzeciwko Ny-Ålesund, zbudowali osadę i kamieniołom, w którym ów marmur pozyskiwali nieznanymi mi metodami, ale pewnie dynamitem. Niestety, kamień kruszył się nie tylko od materiałów wybuchowych, ale także pod palcami, popękany od tysięcy lat zamrożeń i odtajniań, a może od czegoś zupełnie innego. Zainwestowane pieniądze przepadły, bo po co komu marmurowy gruz?

Mansfield wyleciał z roboty, zaś na jego klęsce sprzed stu dziesięciu lat zarabia teraz nowotwór masowej turystyki, wycieczkowce, docierające w każdy zakątek globu i również tutaj, przyjrzyć się, jak to chłopu nie wyszło. Przed będącymi wspomnieniem klęski Mansfielda ruinami na brzeg wysypują się ci umundurowani w identyczne, czerwone kurteczki pasażerowie, ustawiają się gęsiego pod opieką czułych przewodników, zbrojnych, by chronić ich przed niedźwiedziami, i zaganiających ich z łodzi na ląd i z łądu na łodzie ze stanowczą delikatnością psów pasterskich. Miesiąc temu identycznych widziałem na Christiansø na Bałtyku, małą żagłówką mijalem ich statek wielki jak lotniskowiec, a teraz jakby przyjechali za mną tutaj, myślę sobie z egotyzmem właściwym wielu ludziom trudniącym się moim zawodem.

Stoję sobie bowiem właśnie na tym samym brzegu co oni, na plaży pod Ny-London, stoję sobie z rakiem do odganiania niedźwiedzia i z karabinem na ramieniu, zupełnie teraz niepotrzebnymi, ale jednak sam odpowiedzialny za swoje bezpieczeństwo, przepłynąłem tu jachtem, marznąc za sterem, wiadomo, wyprawa, ekspedycja i całe to gadanie, a obok mnie starsza pani z Kanady narzeka, że na ribie strasznie wiało oraz że młoda przewodniczka jest niemila. Myślę o tych wszystkich przygotowaniach, technicznych ciuchach, aparatach fotograficznych, wojskowych kufrach na sprzęt, rollbagach, powerbankach, telefonach satelitarnych, przez które popłynie do czytelników ten tekst, i czuję się z tym głupio, jakbym na Gubałówkę wchodził w rakach i z tlenem. Wiem, że to trochę nieprawda, ale i tak.

Wśród odpowiedzialnych za bezpieczeństwo kanadyjskich turystów przewodników na plaży pod Ny-London niespodziewanie spotykam starego znajomego z Longyearbyen, Fredrika z Islandii. Poznaliśmy się wiele lat temu na trekkingu, bo akurat nocowaliśmy w jednej chatce, potem na skutrach śnieżnych jeździłem z nim po zamrzniętych fiordach i teraz spotkałem się tu przypadkiem i oto miara mojej malowniczej klęski, tłułem się tu dwa dni po morzu, a obok mnie emerytowany dentysta domaga się wcześniejszego powrotu na statek, ponieważ mu się tu wcale nie podoba oraz nie wie, co dziś będzie na kolację.

Oto miara mojej klęski. Mówię to Fredrikowi, a on śmieje się, wzrusza

ramionami i mówi niczym Tony Soprano: Co zrobisz, takie życie.

Trzy wieki przed marmurem, co się kruszył, o prawa do łowienia wielorybów na Spitsbergenie pokłócili się wielorybnicy angielscy i holenderscy.

Ci ostatni założyli tu pierwszą większą osadę, Smeerenburg, w którym sezonowo mieszkało kilkaset osób, była podobno karczma i burdel, ale pewnie to tylko takie gadanie, służyła w każdym razie ta osada obsłudze wielorybnictwa właśnie – nie używano wtedy jeszcze znanej z „Moby Dicka” metody oprawiania nieśczęsnego wala grenlandzkiego albo innego pechowego walenia przy burcie statku i złowione holowano do lądu, oprawiano na plaży i na plaży przetapiano ich tłuszcz w olej. Tak czy inaczej, popyt na olej, fiszby i całą resztę był taki, że niedługo nie mieli się o co Anglicy i Holendrzy spierać, bo polowali na wieloryby tak intensywnie, że wytrzebili je tutaj do szczytu i biznes się skończył tak samo jak później kruszone marmury.

Nic tu się nie udaje, na tym 78. czy 79. równoleżniku, nie tylko mnie.

Zaraz obok pozostałości siedemnastowiecznych pieców do wytopu oleju w Virgohamnie znajdują się resztki aparatury do produkcji wodoru, której używał pewien Szwed nazwiskiem Salomon August Andrée, aby napęłnić rzeczonym wodorem swój balon. Zamierzał nim dolecieć na biegun północny, jakkolwiek optymistycznie by to brzmiało. Leżą tam też w tundrze resztki drewnianego hangaru, w którym ten balon trzymał. Poleciał więc w 1897 i cóż, nie doleciał, na balonie odkładał się lód, obciążał go coraz bardziej, wylądowali więc na łodzie. Andrée z towarzyszami w końcu dotarli do wyspy Kvitøya, aby tam umrzeć z głodu, co też chcą nie chcąc uczynili, bo nie mieli innego wyjścia.

Później przyszła kolej na węgiel, który widać tu gołym okiem, jak układa się czarnymi warstwami w pionowych ścianach wyłobionych przez lodowce dolin i sypie się z klifów niczym z haldy w Rydułtowach. Jest to podobno najdroższy w wydobywaniu węgiel na świecie. Norwegowie jeszcze go kopią, na potrzeby elektrowni w Longyearbyen, więc węgiel wykopany na Spitsbergenie zostaje na Spitsbergenie. Rosjanie w Barentsburgu też coś tam symbolicznie wydobywają, pewnie tyle, by utrzymać licencję, poza tym niedawno paliła im się ta kopalnia bez przerwy przez kilka lat, tliła podziemnym pożarem, którego nijak nie dało się ugasić, póki nie zgasł sam. Żadnego to wydobywania sensu nie ma, poza tak zwanym strategicznym, co oznacza chyba, że muszą się na tym Svalbardzie umościć trochę na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo. Klęska za klęską, wieloryby, węgiel, marmur i ja, całe szczęście, że nie jestem w tym sam.

Kiedy przyjechałem tu po raz pierwszy, miałem na papierowej mapie na-

kreślony plan, który zakładał codzienne trasy tundrą po 20-30 kilometrów – marszem. Udawało mi się przejść pięć, bo głupi nie rozumiałem, jak się chodzi po tundrze. Dalej – przyjeżdżam tu od szesnastu lat i nigdy nie widziałem niedźwiedzia polarnego. Byłem blisko, tak blisko, że któregoś wiosny, kilka lat temu, staliśmy z Fredrikiem nad rozerwanym truchłem fokki, jeszcze ciepłym, a niedaleko parowało świeże niedźwiedzie gówno, ale samego sprawcy tegoż nie ujrzeliśmy, a jechać na śnieżnym skuterze za śladami

nie można, bo to prośenie się o kłopoty, więc nie pojechaliśmy. Ale oczywiście nie o takie klęski mi chodzi. Klęską moją jest, bez wątpienia, sam pomysł, aby tu przyjeżdżać. Nie wiem do dziś, czego tu szukam, ale czegokolwiek szukałem, to i tak nie znalazłem i nie znajduję. A jednak wracam jak pijak do flaszki.

Tłułem się dwa dni, a obok dentysta chce wracać, bo nie wie, co dziś będzie na kolację

Oczywiście, są takie wstrząsające chwile, w których stoję w kokpicie jachtu kołysanego falą, rozchodzącą się od setek ton lodu, które oderwały się od niebiesko-zielonego czoła cielącego się lodowca, i wpatruję się w tę niebiesko-zieloną ciemność jak w twarz Boga oniemiały i nie wiem, czy to ja na niego patrzę, czy on na mnie. Albo morze, niby tak samo szare i zmieszane z opadającą złośliwie mgłą jak gdziekolwiek indziej, a potem patrzę przez lewą burtę na północ i myślę, że do bieguna północnego stąd, z 80. równoleżnika, jest już tylko 600 mil i po drodze nie ma już żadnego lądu, tylko woda i lód, i nie wiem, co z tego wynika, ale jednak uderza mnie to, że skąd ja się tu wziąłem, chłopak z Pilchowic, który nie potrafi niczego poza pisaniami, co ja tu w ogóle robię? Wtedy to ma sens, przez sekundę, piętnaście sekund, nie dłużej.

Ale potem znowu: znój, zmęczenie, bezsenność, bo noc słoneczna, w ka-

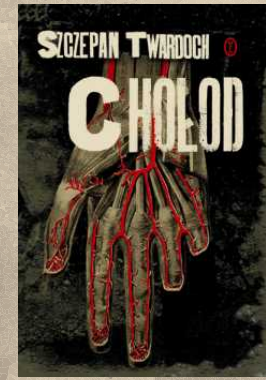
binie za ciepło i sauna, bo suszą się mokre kurtki i rękawice, na wachcie w kokpicie zimno, grabieją ręce na sterze, albo w nocy strach, że w rozpięciu namiotu pokaże się wielki, straszny, biały pysk i nic z tym nie zrobię i czy to wszystko jest tego warte? Czy ja chcę udowodnić tutaj coś samemu sobie, czy komuś innemu? A jeśli chcę, to co? Nie wiem i to jest najbardziej irytujące, to ciągle – nie wiem. I za każdym razem wierzę, podświadomie, albo raczej wstydliwie udaję przed sobą, że wcale tak nie myślę, ale jednak wierzę, że tym razem na pewno wydarzy się coś niezwykłego, że wreszcie okaże się, że to wszystko ma sens, którego poczucie trwa dłużej niż grzmot lodowca czy krzyk świętej rybitwy, że połączą się w mojej głupiej głowie klocki, ale to jednak nigdy się nie wydarza, najwyżej majaczą na horyzoncie, jak wtedy, kiedy patrzy na mnie i we mnie majestat lodowca, albo okrutna szarość arktycznego morza i mgły, albo przy wyjściu z Virgohamna nagle z wody wylania się zdziwiony pysk morsa, który sapie, patrzy na mnie, jakby mówił: „wypierdalać mi stąd”, i znika pod wodą, niezadowolony z mojej obecności.

Nie umiem więc sformułować sobie prostego celu jak Mateusz Wrazidło, któremu tutaj towarzyszę. Jedzie znaleźć swoją mięsożerną roślinę, bo tropi je od lat po całym świecie, tutaj chce znaleźć swojego tłustosa alpejskiego, i to jest bardzo proste, konkretne, więc albo mu się uda, albo nie, a mnie nie udać się nie może, bo nawet nie wiem, co by miało. Niczego przecież nie próbuję, bo nie interesuje mnie żaden wyzwanie, po prostu chcę tu być, gdy mnie tu nie ma, i nie chcę, gdy jestem.

I właśnie jestem już trochę zły na te wszystkie lodowce, na arktyczne rybitwy, które obsrały mi czapkę, na ostre granie gór i na ptasie kolonie na ich zboczach, jestem zły na siwe morze i siwy deszcz z mgły, na zimno i ciepło, na morsa i na niedźwiedzia, co go nigdy nie ma, i na samego siebie, że ciągle tu wracam, a teraz jeszcze zarażam tą głupią chorobą mojego syna, bogowie lodowców tylko wiedzą po co.

Z drugiej strony, jednak, przypominam sobie stare, niezbyt mądre powiedzenie, że na coś trzeba umrzeć. Umrzeć jak umrzeć, nie wiem, kiedy się umiera, to nie ma już specjalnego znaczenia na co. Ale jednak na pewno na coś trzeba żyć.

Szczepan Twardoch



Partnerem cyklu o wyprawie na Spitsbergen jest Wydawnictwo Literackie, wydawca nowej powieści

Szczepana Twardocha „Chłód”

W KSIĘGARNIACH OD 26 PAŹDZIERNIKA

WYDAWNICTWO LITERACKIE

CO MNIE URZEKŁO

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL



M

Muszę wyznać ze wstydem, że nie czuję się komfortowo na tak zwanym łonie natury. Irytuje mnie łaskotanie traw, do wściekłości doprowadzają insekty, a w panikę wpędza większa zwierzyna. I najchętniej zgodziłbym się z Woodym Allenem, który twierdzi, że kocha naturę, ale nie lubi, jak ona po nim łązi. I że kontakt z naturą całkowicie zaspokaja mu nowojorski Central Park.

Jestem mieszczuchem. Lepiej się czuję w przestrzeni ucywilizowanej. Wolę chodniki od ścieżek. Wyznanie Woody’ego Allena skłonny byłbym nawet zryzykować: zdaję sobie sprawę, jak potrzebne są miastom parki, ale nie uważam, że muszę do nich chodzić. Cieszę się, że są gdzieś obok. I cieszę się, że spacerują po nich ludzie. Gdyby nie było parków, spacerowaliby po chodnikach i byłoby na nich dla mnie zbyt tłoczno.

Jest właściwie tylko jeden element natury, który mnie w miastach urzeka, i jest to – proszę wybaczyć banalny rym – rzeka. Lubię miasta usytuowane nad rzekami; przedzielone nimi i zszyte gdzieś tam fastrygami mostów. Rzeki rozgałęziające się w sieć kanałów – zakola, koryta, dorzecza i ujścia – są jak układ krwionośny miast i państw, które dzięki temu przypominają żywe organizmy. Ale to tylko pozory, bo miasta i państwa są dla natury ciałami obcymi, cywilizacyjnymi naroślami, pasożytującymi na niej i często powodującymi, że cierpi i ob-

umiera. Albo buntuje się i niszczy to, co stworzyła cywilizacja.

Rzeka przepływająca przez miasto postrzegana jest jako znak zwycięstwa cywilizacji nad naturą. Nadrzeczne miasta pysnią się, mówiąc: zobacz, jak oswoiłyśmy naturę. Możesz ją podziwiać z bezpiecznej odległości, z ocembrowanego brzegu lub mostu, jak dziką zwierzynę na wybiegu w zoo. Rzeka w mieście wygląda jak wytyczona ręką ludzką kolejna nitka jezdni, na której nie wylano asfaltu, lecz wodę, i którą także można się poruszać: łódką czy kajakiem.

Każde szanujące się miasto powinno mieć swoją rzekę, żeby móc się chwalić okiełznaniem natury. Nawet jeśli w rzeczywistości jest na odwrót: miasta były przecież zakładane nad rzekami, by ich mieszkańcy mogli wykorzystywać ich potencjał: były szlakami komunikacyjnymi, dostarczały pożywienia i wody, pozwalały pozbywać się nieczystości i odpadów. Wymagały oswojenia, ale nigdy przecież oswoić się do końca nie dały, o czym przypominają nam w czasie powodzi, gdy trzeba wzmacniać ich brzegi workami z piaskiem, czy mrozów, gdy pękają przęsła mostów. Włodarze osad, które nie powstały nad rzekami, ale na przykład pośrodku stepu, gdy ich miasta się bogacą, dochodzą do wniosku, że zafundują sobie rzekę, by być jak Paryż czy Londyn. Rzeki stepowe mają to do siebie, że każdej wiosny płyną innymi korytami, trzeba więc

ocembrować kawałek ziemi, by co roku płynęły przez miasto. Byłem kiedyś w takim mieście, które zafundowało sobie taką rzekę, a potem musiało prędko postawić kilka mostów, bo ta inwestycja je sparaliżowała. Ale teraz już ma to, czego pożałowało. I może być dumne.

Polskie miasta długo były odwrócone tyłem do swoich rzek. Wstydziły się ich, bo rzeki były brudne i śmierdzące. Zazdrościłem miastom zachodnim, że są odwrócone ku swoim rzekom, że nad brzegami tętni wieczornymi życie towarzyskie i gastronomiczne. Znajomy, który pracował w Szwajcarii, opowiadał mi, że w letnie dni często wracał do domu wpław: do wodoszczelnego plecaczka pakował ubranie i płynąc kraulem, omijał miejskie korki, chłodził się i wzmacniał mięśnie po pracy za biurkiem. Nie wyobrażam na razie sobie czegoś takiego w Krakowie, Warszawie czy Wrocławiu, ale od kilkunastu lat z radością obserwuję, jak brzegi rzek w naszych miastach zaczynają żyć. Chętnie wybieramy restauracje czy bary nad rzekami. Przestaliśmy się ich wstydzić.

W rzekach urzeka mnie także coś pierwotnego. Podobno ludzie zaczęli nazywać świat wokół siebie od nadawania nazw własnie rzekom. Dopiero od nich nazwali osady, które powstały u ich brzegów. A jeszcze później zaczęli przybierać nazwiska od tych nazw. Rzeki odwiecznie dzielą świat w sposób o wiele bardziej

naturalny niż granice czy mury. Ale rzeki to nie tylko stałe linie podziałów. One wprowadzają ruch wśród tego, co stałe. Ruch, nad którym nie umiemy do końca zapanować. Czasem przypominają, że są żywiołami: wzbierają lub wysychają, wprowadzając zamęt, zniszczenie, śmierć. Ale też dają życie – wodę, pożywienie, pracę. Są jak odwieczne dzikie stworzenia, które nie dają się okiełznać. Pozwalają się za to podziwiać. Dają nam złudzenie wieczności lub choćby wrażenie, że płyną w rytmie jakiegoś innego zegara, który odmierza nie godziny, lecz tysiąclecia.

Są dowodem na nieprawdziwość opozycji natury i kultury. W literaturze bywają przecież motywem, do analizowania na maturze. Są symbolami, toposami, niebywale pojemnymi metaforami, zwłaszcza dla filozofów przekonanych, że istotą świata jest ruch i zmienność, że wszystko płynie, że nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. W malarstwie dodają pejzażom blasku. Muzyka zawdzięcza im rytm. Co raz rzadziej stanowią tylko dekorację; są życiodajnym, ale zarazem niebezpiecznym dla życia elementem świata, do którego i nam przyszło należeć.

Rzeki w miastach pozwalają nam, mieszczuchom spacerującym chodnikami, na przemyślenie spraw fundamentalnych i dytans do tego wszystkiego, co niepotrzebnie zaprzęta nam głowy. I to mnie w nich urzeka. ●

Wprowadzają ruch wśród tego, co stałe

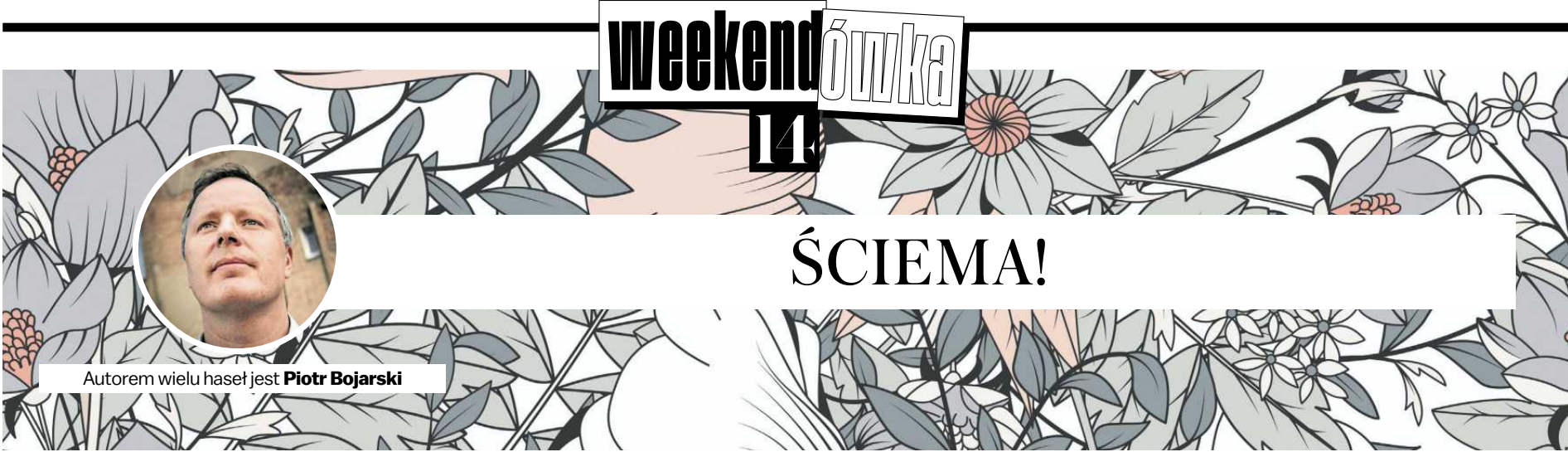
MICHAŁ RUSINEK

Temat rzeka

• To hasło tegorocznej, organizowanej już po raz 11. Europejskiej Nocy Literatury, która odbędzie się 20 sierpnia na Przedmieściu Świdnickim, jednym z najważniejszych zabytkowych osiedli Wrocławia. Formuła imprezy jest bardzo ciekawa: 10 aktorów i aktorek w 10 wybranych miejscach przeczyta 10 fragmentów dzieł europejskiej prozy.

• ENL organizuje Wrocławski Instytut Kultury, a jej kuratorem jest Michał Rusinek.

W cyklu „Co mnie urzekło?” opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.



FOT. AGATA JAKUBOWSKA

Niedawno wróciłem myślami (wspartymi dokumentacją zdjęciowo-filmową!) do czasów naprawdę bardzo dawnych i wycieczki do Tunezji, którą odbyłem z moim szwagrem Adamem i siostrzeńcem Maćkiem.

Podczas wizyty na jednym z bazarów umyśliłem sobie, że nabędę sobie drogą kupna koraliki. Sprzedawca zachwalał swój produkt jako wykonany z prawdziwego koralowca i zaśpiewał astronomiczną kwotę stu dolarów czy też dinarów tunezyjskich. Zaprotestowałem, podałem kwotę niższą, ostatecznie zgodziliśmy się na dolarów czy dinarów 10.

Duma z przekorzystnej transakcji prysła rychło, jeszcze w autokarze powrotnym, kiedy z jednego z koralików odlaźła farba.

Cóż, bywa, pies się topi, łańcuch pływa – mawiają starożytni. Wyjazd i tak był kapitalny, a bazarową wtopę przypominam, bo dzisiejsza „Weekendówka” poświęcona będzie wielkim oszustom. 13 sierpnia bowiem zmarł niejaki Otto Witte, akrobata cyrkowy.

Otóż ów Witte utrzymywał, że swego czasu udał się do Albanii, gdzie 13 lutego 1913 r. (później zmienił datę na... 13 sierpnia) koronowano go na króla. Miał być uderzająco podobny do Halima Eddine, bratanka sultana Abdula Hamida II, któremu albańscy muzułmanie zaoferowali tron. Władzę Witte zachował ponoć pięć dni, zabawiał się w haremie, wypowiedział wojnę Czarnogórze, wreszcie prysnął wraz z kamratem Maxem Schlepsingiem, polykaczem noży, z częścią królewskiego skarbcza.

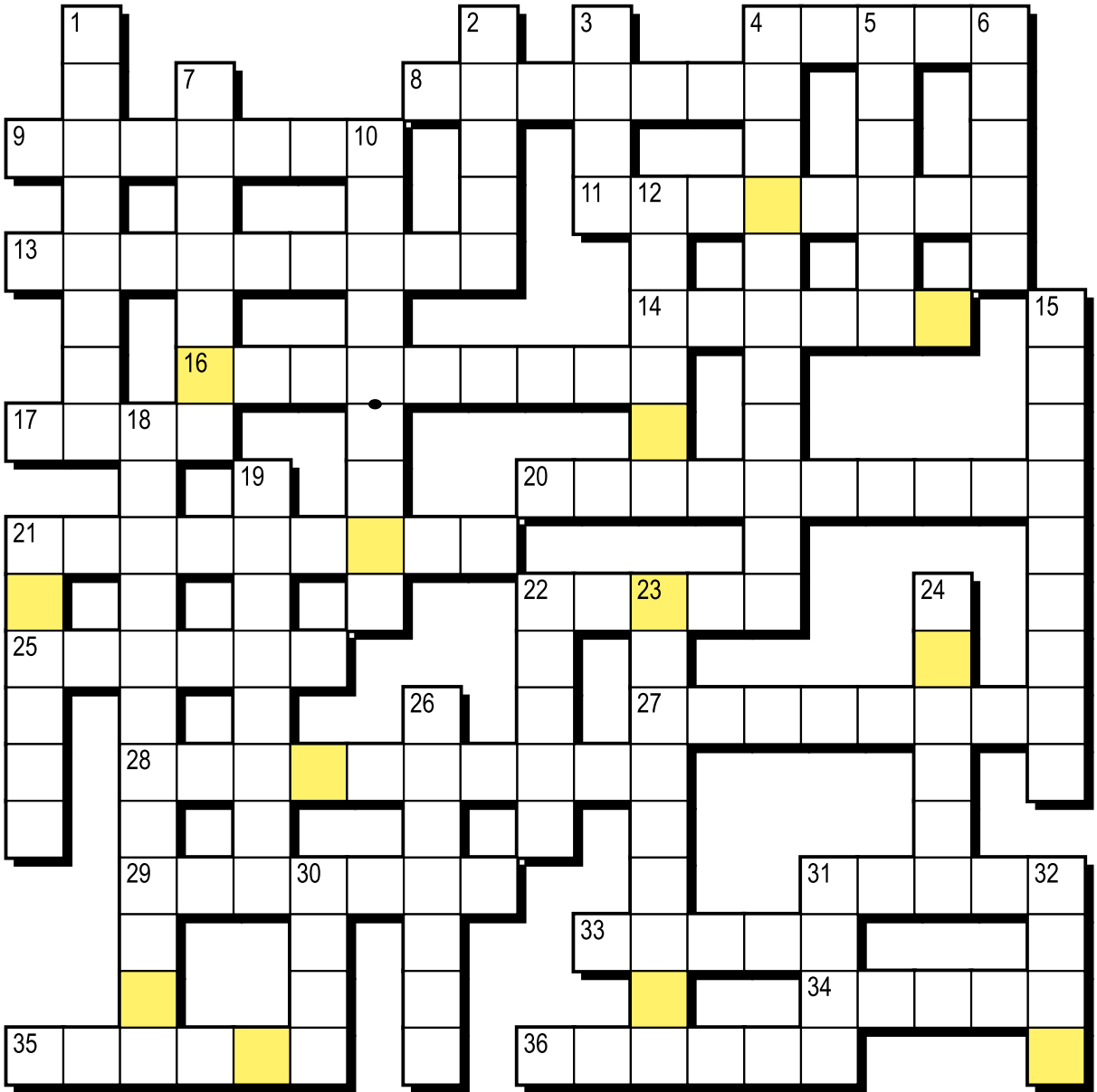
Na opowieść, która oczywiście była totalną lipą, nabrało się całkiem sporo osób. Dość powiedzieć, że na nagrobku Wittego na cmentarzu w Hamburgu widnieje napis: ehemaliger König von Albanien – były król Albanii.

W „Weekendówce” znajdziecie więc pytania o sławnych hochsztaplerów i przekręty. A o pomoc w ułożeniu pytań poprosiliśmy Piotra Bojarskiego, kiedyś dziennikarza, dziś pisarza, autora wielu książek, m.in. serii kryminałów retro, których bohaterami są przedwojenny Poznań i inspektor Zbigniew Kaczmarek. Inspektor w trakcie kariery niejednokrotnie musiał oddzielać blagę od prawdy, więc wybór autora haseł jest perfekcyjny.

Najnowsza, siódma opowieść o funkcjonariuszu państwowej policji, „Mora”, ukazała się dopiero co, więc pan Piotr znalazł czas na „Weekendówkę”. A my zapraszamy do zabawy i lektury! Bądźcie czujni! ●

Andrzej Kulasek, andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 13 z 6.08: **REPUBLIKA**



OSZUŚCI

Hasła Piotra Bojarskiego oznaczono inicjałami (PB). Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 4)** ... Abagnale, mistrz w podrabianiu czeków, bohater filmu „Złap mnie, jeśli potrafisz”
- 8)** kraj, do którego ciągnie coraz więcej Polaków (PB)
- 9)** ... Zygmunta, w 1931 r. „sprzedana” naiwnemu przez niejakiego Cynjana za 45 zł
- 11)** ... Austrii we Wrocławiu, fałszywa instytucja założona przez postać z określenia 2 pionowo
- 13)** uwodził, okradał, na koniec łąpała go milicja (PB)

- 14)** ... inteligencji, wysoki u wielu sprytnych naciągaczy
- 16)** przekręty to jego chleb powszedni (PB)
- 17)** ... Ruffo, dokonał oszustw bankowych na kwotę ponad 350 mln dolarów, skazany w 1998 r., do dziś nieuchwytny
- 20)** skutek ignorowania siódmego przykazania (PB)
- 21)** arogancki i bezczelny
- 22)** Otto (zm. 1958), oszust, który skutecznie podawał się za króla państwa ze stolicą w Tiranie
- 25)** lokal, w którym niejeden próbował wykiwać krupiera
- 27)** działanie niezgodne z prawem, będące dla kogoś źródłem utrzymania
- 28)** operacje handlowe

- 29)** nazwisko skazanego w aferze z określenia 10 pionowo
 - 31)** włoski wkład nie tylko w literaturę sensacyjną (PB)
 - 33)** niedobór pieniędzy w kasie
 - 34)** zwykle broń słabszego (PB)
 - 35)** imię skazanego w aferze z określenia 10 pionowo
 - 36)** mistyfikator, fałszerz, kanciarz
- Pionowo:**
- 1)** ... DiCaprio, zagrał główną rolę w filmie „Złap mnie, jeśli potrafisz”
 - 2)** Czesław, oszust, którego losy stały się kanwą filmu „Konsul”
 - 3)** niejeden poniósł straty w wyniku wyłudzeń kredytów
 - 4)** podrabianie np. banknotów, czeków
 - 5)** kraj, w którym w 2001 r. uodwodniono oszustwo zwyczajcy

- teleturnieju „Milionerzy” (podpowiadano mu kasznięciami przy dobrych odpowiedziach)
- 6)** potocznie: przekręty, machlojki
- 7)** serial inspirowany losami osoby z określenia 13 poziomo
- 10)** polskie przedsiębiorstwo finansowe, które okazało się piramidą finansową i upadło w 2012 r., powodując u inwestorów ponad 850 mln zł strat
- 12)** osoba, która padła ofiarą oszustwa
- 15)** Steven, reżyser filmu z określenia 1 pionowo
- 18)** oszust, aferzysta
- 19)** wykazują się przebiegłością i chytrą; spryciarze
- 21)** ... karny, jedynie słuszne miejsce dla naciągaczy i złodziei

- 22)** był nim Charles Ponzi, emigrant uważany za twórcę pierwszej w historii piramidy finansowej
- 23)** potocznie o kimś bezczelnie śmiałym, zuchwałym
- 24)** Bernie, amerykański finansista, twórca jednej z największych piramid finansowych w historii
- 26)** fałszywe dowody zakupu, wystawiane np. w celu wyłudzenia podatku VAT
- 30)** karalny – to np. wyłudzenie
- 31)** ... Brookliński, „sprzedany” naiwnym przez niejakiego George’a Parkera
- 32)** ... sprawy, wertowane przez sędziego

Byłe do

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z App Store

POBIERZ Z Google Play